

EDGAR WALLACE

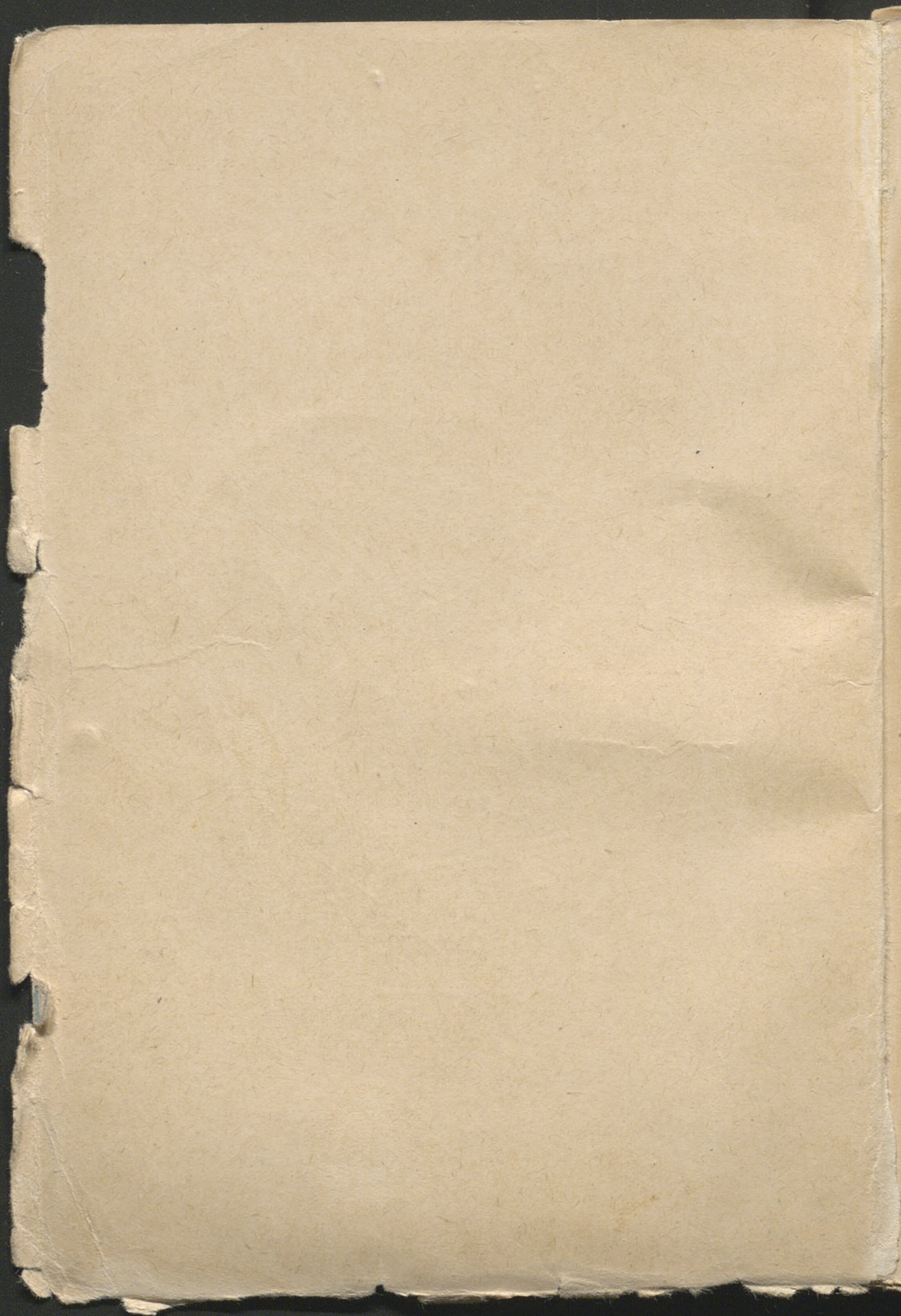
OWIESC KRYMINALNA



Tajemniczo

kula

EDGAR WALLACE - Tajemniczo kula



EDGAR WALLACE

TAJEMNICZA
KULA

POWIEŚĆ

Skarucha

WYDAWNICTWO J. KUBICKIEGO

10k. 1920/

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

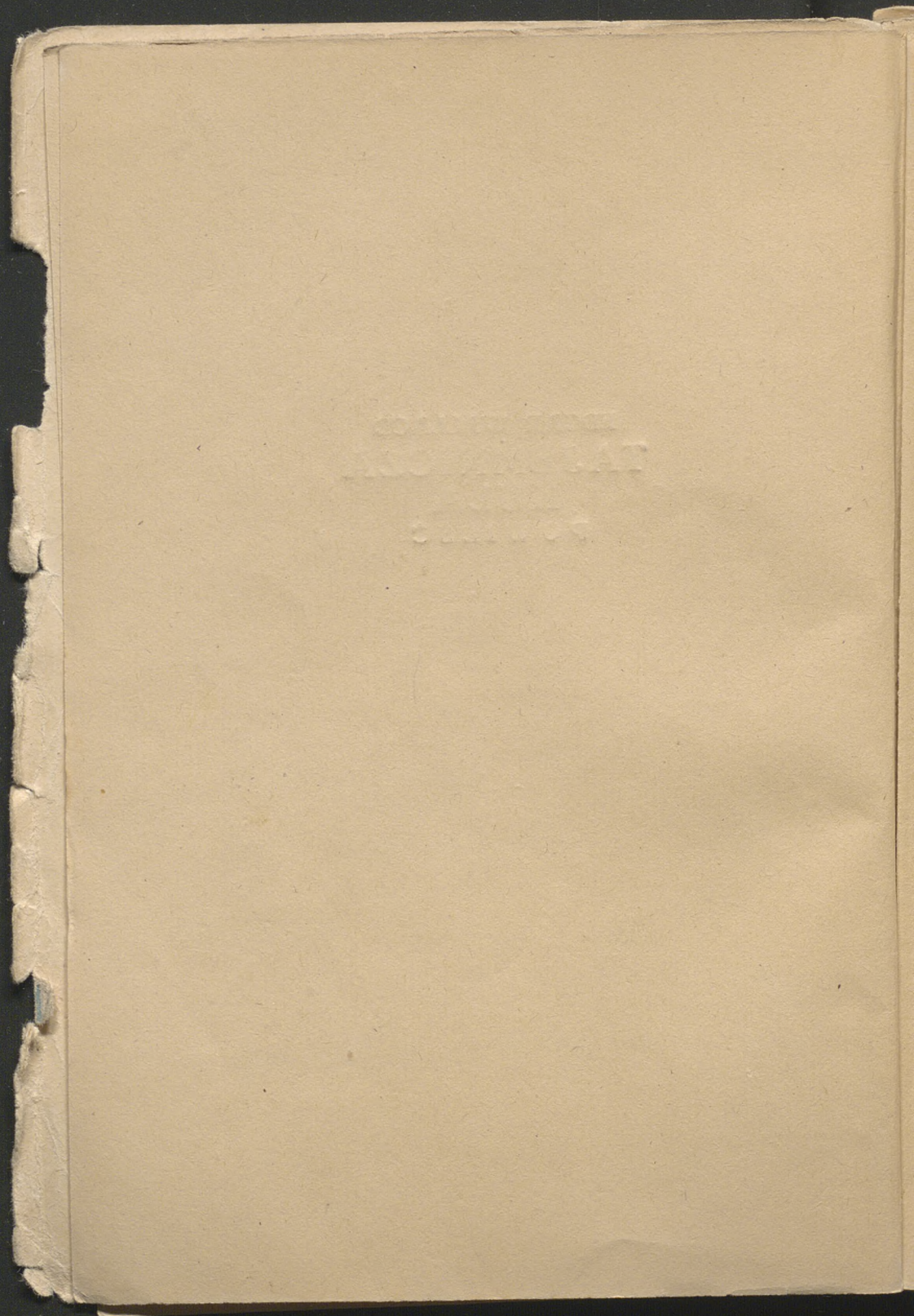
2.887.210

Ⓐ

Sp. „Gryf“. Zam. 1260/321 — 3200.

2016 K. 490/46

EDGAR WALLACE
TAJEMNICZA
KULA
POWIEŚĆ



ROZDZIAŁ I.

Strzał w nocy.

Zabrzmiało ostro strzał i kapitan Hurley Brown zerwał się na równe nogi.

Nie potrzebował znać kierunku odgłosu, aby zwrócić się do drzwi Reggie Weldrake. Utorował przeciąć drogę temu białolicemu chłopcu, który odepchnął go i wszedł do pokoju zatraskając drzwi i zamykając je na klucz.

Hurley Brown widział już przedtem wyraz ten na twarzy człowieka. A ten człowiek — taki sam obiecujący młody oficer jak Reggie Weldrake — także powracał z ostatniego z licznych spotkań z Emilem Loubą. Wtedy także padł strzał...

Trwając pod drzwiami niespokojnie palił papierosa po papierosie, niezdolny do powrotu do swego pokoju, mając w pamięci tę uderzającą swym wyrazem twarz i rozmyślał, czy ma nalegać na to, by chłopiec otworzył mu drzwi, gdy ciszę przeszył strzał i kapitan przesadził sześć płytkich schodów, dzielących go od zamkniętych drzwi.

Nie było odpowiedzi na jego głośne kołatanie i wołanie — i on właściwie nie czekał na odpowiedź. Plecyma zaparłszy się o drzwi starał się wysadzić je z zawiasów, gdy Mc Elvye i kilku innych oficerów i żołnierzy przybiegło i wspólnymi siłami wyważyli drzwi i poskoczyli do wnętrza.

Nie potrzeba go było podnosić. Na pierwszy rzut oka było widoczne, że Reggie Weldrake nie żyje. Pokój wypełniała ciepka woń prochu. Sztynniejące palce zacisnęły się na rewolwerze.

— Ten przeklęty Louba! — szepnął Brown przelamując milczenie, a niejeden z towarzyszących rzucił przekleństwa.

— Gdyby ktoś go zastrzelił, Malta byłaby o wiele czystsza — oświadczył ze wściekłością Mc Elvye. Nie zaprzeczyli temu. Przyjęli bez zastrzeżeń to, że Louba był przyczyną tragedji. Nie był to fakt odosobniony.

Hurley Brown nienawidził Louby. Widział już zbyt wielu ludzi zniszczonych przez niego i jego klikę. Postanowił uwolnić Malte od niego i podjął już kroki, celem zainteresowania wojskowych władz złym wpływem, jaki wywierał na ludzi stacjonowanych na wyspie.

Widział przepaść, do której zbliżał się Reggie Weldrake. Próbował pozyskać jego zaufanie, ostrzec go, ale chłopiec ten był zbyt głęboko zaplątany, aby go można było wypłatać.

Gdy nic nie można było zrobić więcej, pozostawili samotności cichą postać. Brown odłączył się i szybko poszedł ku kwaterze Louby.

Gdy wszedł do kabaretu, który ostentacyjnie maskował dalszą, ważniejszą część kwatery, spostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego.

Muzyka przestała grać i ucichły rozmowy. Kieliszki były puste — i wszystkie głowy zwrócone w tym samym kierunku. O ile Hurley Brown mógł zauważyć, było to coś jakby sprzeczka między jednym z gości a jedną z aktorek, krótko ubraną tancerką czy śpiewaczką, która wciąż trzymała jeszcze nogę na niskim podwyższeniu w głębi pokoju.

Człowiek, do którego była zwrócona, był tęgi i obrotny w języku, ciemnooki, z pełną kwitnącą twarzą i wpadającym w oko ubraniem.

Gdy Brown podszedł do drzwi prowadzących do pokoju gry, rozsunęły się zasłony i wyszedł Emil Louba, a za nim jakiś mężczyzna o twarzy łasicy, który natychmiast powrócił na swe miejsce w nielicznej orkiestrze, przylegającej do podwyższenia.

— Cieszę się, że pański człowiek znalazł pana! — zawołał ów mężczyzna. — To oszczędza mi trudu odnalezienia pana!

— A, da Costa! mój przyjaciel da Costa — zauważył Louba z łaskawą słodyczą.

— Będę pańskim mordercą! — ryczał da Costa podchodząc do niego. Wydawał się niskim przy wielkim, barczystym Loubie. I drżał w nowym napadzie wściekłości, gdy ten popatrzał z góry na niego z uśmiechem z pod czarnych wąsów. — Znow pan to zrobił! — Kiedyż będzie pan już zaspokojony? Czy przypuszcza pan, że gdziekolwiek odwróć się, stanie mi pan w drodze?

— Wszystko jest w porządku — w miłości i interesie, drogi mój da Costa — napewno wie pan o tem! My możemy być rywalami w zawodzie, a jednak pozostać najlepszymi przyjaciółmi. Ale przerwaliśmy przedstawienie!

Ujął da Costę za ramię ze wściekłością mimo uśmiechu na twarzy i próbował go odsunąć na bok od gapiącego się tłumu.

— Ja chcę je przerwać — wołał da Costa oswobadzając się. — Ta dziewczyna jest związana ze mną kontraktem — płacę jej pensję wartą trzy razy tyle, co ona — trenowałem ją — zawdzięcza mi wszystko. —

— To kłamstwo! — krzyczała dziewczyna. — Jestem zupełnie wolna i mogę iść, gdzie mi się podoba i...

— I pani ta woli Malte od Tripolis — zawołał Louba.
— I na tem koniec!

— To nie wszystko, co pan mi zrobił! — wybuchnął da Costa. — Gdziekolwiek jestem w jakimś dobrem miejscu, przychodzi pan i staje przeciw mnie, albo odbiera mi pan moich ludzi — albo...

— Albo na inny sposób okazuję się lepszym — przyznał Louba. — Interes to dobra zabawa, da Costa, jeśli się tylko umie grać! Chodź pan teraz i pozostawimy przedstawienie w spokoju. — Palce jego zatopiły się w tuste ramię da Costy. Pociągnął go przez kilka schodów do zasłoną zakrytych drzwi.

— Ty niewdzięczny szurgocie! Powrócisz do Tripolis, albo zapłacisz za zerwanie kontraktu i cały ten okres, gdy uczyłem cię, gdy nie mogłaś zarobić sobie ani jednego penny! — groził da Costa wyrywając się z chwytu Louby i przyskoczywszy do dziewczyny wywijał pięścią przed jej twarzą.

Ona aż nadto dorównywała mu w obelgach krzycząc i gestykulując, wyzywając go odłamkami półtuzina języków — aż znów wmieszał się Louba.

— Idź tam i rób, co do ciebie należy! — rozkazał biorąc ją za ramię i wypychając ją na wzniesienie.

Dał znak muzykantom, a także dwu kelnerom. Jakgdyby nie było żadnej przerwy, śpiewaczka i orkiestra zaczęły równocześnie — a ona serdecznie roześmiała się, zaczęła podtańcować i strzelać oczyma z wielkim zapalem. Kelnerzy ujęli da Costę i wyprowadzili go na ulicę i szamotali się z nim w drzwiach, wzbraniając mu wejścia.

Louba uklonił się gościom, a górne światła odbijały się w jego gładkich, czarnych włosach.

— Tysiąckrotnie przepraszam — rzekł — nie możemy mieć najlepszej imprezy bez rywali!

Właśnie miał odejść, gdy zbliżył się do niego Hurley Brown.

— O, kapitan Hurley Brown? — Louba uklonił się z kpiącą przesadą. — To bardzo uprzejmie, panie kapitanie. Nieczęsto mam przyjemność widzenia pana tutaj, chociaż... pański młody przyjaciel, porucznik Weldrake, jest tu częstym gościem.

— Już nim nie będzie — odrzekł kapitan ponuro.

— Nie? — Louba zaśmiał się łagodnie. — Zobaczymy! Zdaje mi się, że próbował go pan powstrzymać już dawniej, ale — chyba, że pamięć mi nie dopisuje — bez wielkiego sukcesu — co?

— Tym razem uda mi się. Obiecuję to panu!

— Naprawdę? No więc — wzruszył ramionami — jeśli tylko przedtem załatwi wszystko jak gentleman, to nie będę żałował. Opuszcza więc nas?

— Już nas opuścił. I pan nas wnet opuści! Opuści nas pan, Louba, choćbym miał ci uwiązać kamień na szyi i wrzucić cię do morza!

— Co pan ma na myśli mówiąc, że on nas opuścił? Nie uregulował swych zobowiązań! Zaledwo przed godziną przypominałem mu całą tę historję — o oficerach angielskich, o gentlemanach...

— Louba! — rzekł Hurley Brown bardzo zniżonym głosem: — Nie wiem naprawdę, jak mogę jeszcze opanować swe ręce!

— Może dlatego, że wie pan, iż kazałbym pana wyrzucić, gdyby pan podniósł jeden palec na mnie, drogi przyjacielu!

— Ty —! — nagle ktoś wstrzymał mu rękę, gdy wznosił ją w górę.

— Naprawdę, nie uzyska pan niczego gwałtownością — rzekł Louba — i zresztą byłoby to bardzo niestosowne... Co ma pan na myśli mówiąc, że chłopiec ten już nas opuścił?

— Właśnie został zamordowany!

— Zamordowany? Przez kogo?

— Przez pana, Louba!

— O — o — rozumiem — rzekł Louba po chwili. — A więc to tak... A czego pan tutaj chce w takim razie?

— Chcę panu powiedzieć, że jeśli władze nie wyrzucą pana z Malty, to ja sam to uczynię — i wyrzucę z każdego miejsca, gdziekolwiek pana znajdę. My już gdzieśindziej spotkaliśmy się, Louba — a im dłużej pan żyje, tem podlejszy się pan staje!

— Co za nonsens! Chce pan powiedzieć, że im dłużej żyję, tem więcej warjatów spotykam — oczywiście! A co do pańskich władz — to tyle sobie z nich robię — strzelił palcami. — Nie można mnie pociągać do odpowiedzialności za głupca, który nie umie na siebie uważać. Jeżeli chce pan dać komuś kopniaka, to daj pan im — zapewniam pana, że to dobry sport, kapitanie Brown! Próbowałem tego — zaśmiał się.

— Kiedyś — rzekł Hurley Brown — spróbuje pan tego o jeden raz za dużo.

Drwiący uśmiech przeszedł po grubych rysach Louby.

— Jeśli to jest groźbą — rzekł — to chce mi się śmiać! Jestem Emil Louba. Idę swoją drogą tratując albo przeskakując to, co mi stoi w drodze. Rzeczą innych jest wybierać, czy mam ich stratać, czy przekroczyć, ale ja nigdy nie zbaczam!

Szepnąwszy przekleństwo Hurley Brown odwrócił się od niego i przeciskał się przez tłum, który teraz oklaskiwał głośno zasapaną i uśmiechniętą aktorkę.

Wiedział, że jego przyście tutaj nie miało celu — ale powodowało nim oburzenie. To było okropne pomyśleć, że Reggie Weldrake leży sztywny i cichy na swem wąskim łóżku, podczas gdy Emil Louba kontynuuje swój bezczelny pochód — bezkarnie!

Uskoczył na bok, gdy zabrzmiał w wąskiej ulicy silny głos:

— Zapłacisz mi! zapłacisz mi! zapłacisz, choćbym miał czekać na to dwadzieścia lat!

Był to da Costa, grożący pięścią w kierunku budy Louby, rozczochrany i zadyszany wściekłością i szarpaniną z kelnierami.

ROZDZIAŁ II.

Mały człowiek, który spowodował awanturę.

Nie było przyjemnie spotkać się z ojcem Reggie Weldrake, gdy przybył na Malte.

Umarły był bardzo lubiany zarówno przez żołnierzy jak kolegów oficerów i doznano pewnego zadowolenia, gdy się dowiedziano, że ma przyjechać jego ojciec. Mc Elvye wyraził ogólne życzenie, gdy rzekł, że mr. Weldrake jest silnym człowiekiem znającym swe pięści i że przybywa w wyraźnym zamiarze rozmówienia się z Emilem Loubą.

— Niema innego powodu jego przybycia — zauważył Mc Elvye z nadzieją. — Niema na sobie uniformu i doskonale może odplacić Emilowi Loubie!

Jednak przywitania go i udzielenia mu szczegółów o śmierci chłopca, podjął się Hurley Brown ze złem przeczuciem.

Spodziewał się, że Weldrake będzie to wysoki, zdecydowany człowiek — toteż zdziwił się, gdy spojrzenie jego padło na małą, skurczoną postać.

Jeżeli panowało już przedtem ogólne zburzenie, to teraz zwiększyło się na widok tego wzruszająco małego człowieka, na którego spadł ten cios. Było widoczne, że syn był jego światem — a śmierć jego niszczącym wstrząśnieniem.

Nie wyraził żadnej skargi — nie żądał żadnego współczucia. Był wzruszająco wdzięczny za okazaną mu uprzejmość. Drżał słysząc choćby najmniejsze, drobiazgowe opowiadanie o synu. Siedział w pokoju umarłego — sam, godzinami całemi — dotykając się jego rzeczy, czytając jego ostatnie notatki. Chodził codzień na jego grób — mała, samotna postać...

Sympatja dla Reggie Weldrake przeniosła się teraz na jego ojca. Na sam widok tego nieszczęśliwego małego człowieka zapalała się wściekłość, jaka żarzyła się w nich przeciw Loubie.

Da Costa rozdmuchał ten ogień.

Spotkawszy pewnego wieczoru błądzącego bez celu Weldrake zatrzymał go i wskazał na budę Louby.

— Tam syn pański został śmiertelnie ranny! — rzekł. — Tam i wielu innych zostało zniszczonych! Tam Emil Louba wzbogaca się niszcząc ludzi i doprowadzając ich do samobójstwa!

Wąta twarz Weldrake zwróciła się ku czerwonym światłom.

Da Costa zasiał ziarno i nie zdziwił się, gdy Weldrake kontynuując swój nerwowy spacer zmierzył wprost w tamtą stronę... Zwiedził wszystkie miejsca, w których bywał jego syn, z wyjątkiem tego jednego...

Da Costa wiedział, jak się z nim obejdzie Louba, więc pobiegł do baraków.

— Wasz mały człowiek poszedł do Louby! Prawdopodobnie Louba wysadzi go na scenę i każe mu tańczyć!

To wystarczyło.

Wyprzedzili go żołnierze, ale on przyszedł jeszcze na czas, by ujrzeć, jak wynosili oszołomionego Wel Drake z cięciem na twarzy.

W środku było piekło!

Orkiestra grała dziko w widocznym wysiłku złagodzenia wzburzenia. Ludzie stali na stołach. Inni protestowali przeraźliwie. Pośrodku zaś kelnerzy i jakaś tancerka starali się powstrzymać rozwścieczonych żołnierzy.

— Chcemy Louby! — krzyčili.

— Louba nie miał z tem nic wspólnego — wołała dziewczyna. — On nawet go nie widział! Kazał powiedzieć, że nie chce go widzieć! Był zajęty!

— Tak? Zajęty przy kole na górze i rujnowaniu tyłu, ilu tylko potrafi!

— Kazał go wyrzucić!

— Nieprawda! Bo ten mały człowiek nie chciał zrozumieć i nie chciał odejść!

— Naprzód usunęliśmy go łagodnie...

— Powrócił!

— Gdzie jest Louba?

Gwar doszedł do punktu kulminacyjnego, gdy zjawił się Louba:

— Istotnie, panowie, istotnie! — Zachowanie się jego było oliwą na ogień ich wściekłości.

Coraz więcej żołnierzy gromadziło się. Da Costa podskakiwał tu i tam, by coś zobaczyć. Wiedział, że nadzieje jego zaczynają się realizować.

Louba nie chciał się dać zbić z tropu i kpił dalej. Ale gdy ryknął, że to za wiele hałasu o jakiegoś zwarjowanego degenerata, który nawet nie miał na tyle uczciwości, by zapłacić swe długie honorowe, padły pierwsze ciosy. Louba oddał je natychmiast. Kelnerzy przyłączyli się do bijatyki. Żołnierze przyjęli to chętnie.

— Wszystko zniszczymy w tej budzie!

Groźbę tę podjęto z entuzjazmem i przypieczętowano z głośnym trzaskiem, rozbijając duże lustro rzuconą butelką z wina. Rozradowane ręce chwytaly flaszki, naczynia i krzesła z braku lepszych pocisków. Ogłuszający trzask szkła świadczył o rozbiciu wszystkich luster w okazałym lokalu.

Kobiety krzyczały i uciekały, a niektórzy z mężczyzn czynili to samo.

Z ulicy wbiegali ludzie przyczyniając się do zamieszania.

— Na górę, chłopcy! I powyrzucać jego rzeczy przez okno!

— Zagarnąć jego zyski póki czas!

Szulerzy bronili się przed inwazją niszczycieli nie wiedząc, co to ma znaczyć i zamieszanie nie ustawało.

Rozradowany da Costa wskoczył na podwyższenie i popędził do małej garderoby w tyle. Była pusta. Świece używane do ogrzewania szminek stały na ławce służącej za toaletę. Liche suknie szyfonowe wisiały na ścianach. Lustro udrapowane było muślinem.

Da Costa wnet rozjaśnił pokój!

Wychodząc znów na pusty korytarz ujrzał tłum przy wejściu na schody, który próbował złączyć się ze zgrają na gorze, albo starał się zrozumieć, co to wszystko znaczy. Da Costa rzucił na podłogę deszcz zapalonych zapalek, gdzie jeziora palącego spirytusu przepajały dywan między szczątkami strzaskanych butelek.

Płomienie wspinały się już wzdłuż ścian aż do niezapalnych dekoracyj sufitu, gdy krzyk jakiś zwrócił na nie uwagę.

Nikt nie próbował gasić pożaru! Przedewszystkiem własne bezpieczeństwo!

Da Costa jeden z pierwszych wy dostał się na ulicę na bezpieczną odległość. Stamtąd śledził, jak głęboka niebieskość nieba zaczynała się zapalać od żaru do płomieni, łyskających na zmiany ponure i intensywniejsze, gdy pożar budynku objął też dach.

Nie było późno. Napływali ludzie pytając, co się pali. Oficerowie i policja wojskowa przybiegli na wiadomość o awanturze.

Nadbiegł przerażony Hurley Brown. To, że dom Louby spłonie i zginie — to jedna sprawa, ale żeby za to mieli pokutować żołnierze?

Da Costa wdychając za kims, z kim mógłby się cieszyć, przyłapał Weldrake, gdy ujrzał jego małą postać.

— To Louba! — zawiadomił go radośnie. — To jego buda się pali!

Niebo rozplonęło złą czerwienią żarzącą się i uciekającą w wietrze. Otaczające budę domy stały wyraźnie podcienione ogniem.

Gdy czerwień stała się posępna, zaćmiona czarnym dymem, powrócił Hurley Brown i stanął koło Weldrake. Tylko da Costa był rozmowny.

Ludzie powracali do baraków. Louba był bez płaszcza; zdjął go bowiem, by osłonić głowę, a przedzierając się na ulicę, podszedł do nich ze złowróżbną miną.

— Trzeba będzie zapłacić coś za to, kapitanie Brown — zawołał. — Zobaczymy, co powiedzą te wojskowe władze, o których pan wspominał!

— Jeśli ma pan trochę rozumu, Louba, to nic nie mówiąc zabierze się pan stąd! — rzekł da Costa. — Jeżeli pozwoli

im pan stawiać pytania, to mogą dopytać się więcej, niżby pan pragnał!

— Co? A, pan do tego przyłożył swą rękę, da Costa! Ja wiem o tem! Eulalja pana tam widziała!

— Czy chce powrócić do Tripolis? — zaszydził da Costa.

— Może — i ja też! Słyszysz pan? Wykadziłem pana z Port Said i wykadzę z Tripolis!

— Nie groź mi, Louba! Ja jestem więcej niż zapalką! Wyrządził mi pan krzywdę — ale będzie pan tego żałował — wołał da Costa dziko, uniesiony triumfem.

— Nigdy nie żałuję niczego — odrzekł Louba odwracając się. — Jeżeli sądzi pan, że mnie to wypędzi z Malty, kapitanie Brown, to przekonaj się pan o swym błędzie!

— To nie było potrzebne, Louba! Powiedziałem, że pan odejdzie — i odejdzie pan — rzekł Brown. — Dziś jest jeszcze jednym dodatkiem do krzywd, jakie wyrządziłeś. Ludzie w tę sprawę wmieszani zaliczą się do liczby tych, którzy cierpieli z powodu ciebie!

— A ja dopilnuję tego, by cierpieli — rzekł Louba zaciiskając zęby. — Pożalują, że podnieśli na mnie ręce!

— Jedynie żałować mogą tego, że nie spalił się pan razem ze swą budą — rzekł da Costa.

Louba zwrócił nań swe groźące oczy.

— Bardzo dobrze — rzekł. — Mam czas...

— Czas i Nemezis — dodał Hurley Brown.

— Czas i mnie — dodał da Costa.

— Przyjmuję — zaszydził Louba — Nemezis i pana i co jeszcze chcecie!

Weldrake, który milczał chłonąc całą tę scenę popatrzał na bezczelną twarz Louby, a potem na tych dwu, którzy go nienawidzili: na kapitana Browna, ponurego, z zaciśniętymi wargami, i na da Costę płonącego niepowstrzymaną nienawiścią.

Weldrake zniknął.

W godzinę później, gdy Hurley Brown zaniepokojony dopytywał się o niego, klęczał on w ciemności na grobie syna.

— Wszystko w porządku, Reggie — szeptał zapewniająco — będziesz pomszczony! Ja tego dopilnuję! Nigdy nie zapomnę! Nie będę w domu, póki nie zapłacę... Wiem, że wszystko będzie w porządku. Będziesz pomszczony, Reggie!...

ROZDZIAŁ III.

Kobieta, która uciekła.

Pokój był mało podobny do mieszkania w West-End w Londynie.

Wschodnie tapety, haftowane jedwabie, upiękzone oddechami barw, porozrzucane były dookoła — poduszki leżały wszędzie świecąc egzotycznymi deseniami. Koło szerokiego fotela stał złoty hookah, mieszając bladoniebieski dym z perfumowanym dymem papierosa, jaki paliła dziewczyna, siedząc wśród poduszek, trzymając nogi na rzeźbionym stołeczku.

W wysokim, smukłym trójnogu z brązu paliły się zioła odurzające, a jedyne oświetlenie szło z groteskowo rzeźbionej w brązie latarni, zawieszanej na łańcuchach, której bladzielone światło rozpościerało się prószyć lśnią na czarnej głowie człowieka, siedzącego koło hookah. Jego zachodnie ubranie okryte było haftowaną suknią, a dla dziewczyny, której sny o Wschodzie zrealizowały się w niesamowitych efektach dokoła, z tem światłem i wonią tego dymu i ziół, był on postacią jak z fantastycznej powieści. Jego niedoskonały angielski język dodawał mu tylko uroku.

— Ale ty wiesz już coś o Kairze — rzekł.

— Nie — troszeczkę tylko z tego, co opowiadał mi Jimmy. Opowiadał mi zajmujące rzeczy.

— Teraz nie są już zajmujące? — zapytał Louba.

Skrzywiła się.

— Wnet stał się rozmowniejszy w kwestji zbrodni i pracy policji, aniżeli o samem Kairo i Bagdadzie. Nie mówmy o nim. Gdy jestem tu, chcę zapomnieć, że jestem w Anglii. Chcę zapomnieć o tej monotonii miejsc, o szarości ludzi — i żyć w pięknym śnie.

— To bardzo ładnie, że mówisz, że stwarzam ci piękne sny. Teraz nie żałujesz już naszych spotkań? nie martwisz się już temi drobnymi niekonwencjonalnościami, jakie zawierają?

— Wszystko mi jedno, gdy mogę choć na godzinę wymknąć się do nowego, cudownego świata!

— Ale to szkoda, że musisz się do niego wymykać — zauważył. — Czy nie było piękniej, gdybyś tu wciąż żyć mogła? Gdyby ten Wschód nie był zaczarowany w kilku wschodnich dywanach i rzeźbach w tych czterech murach — gdybyś stanęła w samem jego tajemniczem sercu, weszła do duszy tajemnicy wieków!

— O, nie mów! wzbudzasz we mnie taką zazdrość i tak mnie unieszczęśliwiasz! Bo ja tego nigdy nie zobaczę! A chcę zrobić więcej, niż coś, na tym świecie!

— Dlaczego nie, Kate? To tylko wina tego, czego nie możesz się pozbyć — kajdany nudnego społeczeństwa, którego nie lubisz, a które cię powstrzymuje! Gdyby tylko —

— Kto to? — przerwała. Usta otworzyła w przerażeniu. Odsunęła papieros, jakby chciała odrzucić go.

Odwrócił głowę na dźwięk dzwonka.

— Nie oczekuję nikogo. Załatwi to już Miller.

Jednak Miller otworzył drzwi dwu gościom, których nie odważył się odprawić na własną odpowiedzialność. Poprosił, by poczekali i zapisał ich nazwiska.

— Kto to taki? — zawołał Louba, gdy Miller zapukał do drzwi, zamkniętych na klucz.

Dziewczyna zerwała się przerażona, gdy usłyszała nazwiska:

— Ojciec! O, wypuść mnie stąd! którądy?

Porwała swój płaszcz i kapelusz, ubierając się w drżącym pośpiechu.

— Nie możesz pójść teraz schodami dla służby. Pozostaje okno. Może lepiej nie będę się z nimi widział — rzekł Louba.

— Musisz! Inaczej mógłby podejrzewać. W jaki sposób mogę się wydostać przez okno?

— Przez wyjście na wypadek pożaru. Spuszczę drabinę. Ale gdy dostaniesz się na dół, zadzwoni alarm. Musisz pobiec dokoła domu szybko, zanim ktoś cię nie ujrzy. Nie bój się, dojdiesz bezpiecznie.

Wściekle szarpał okno, by otworzyć. Opierało się. Podszedł do drzwi, za którymi czekał Miller.

— Co jest z tem przekłętym oknem? — zapytał.

— Zakrętki na dole, proszę pana...

Louba zaśwycił elektrykę i powrócił do okna, które próbowała otworzyć przerażona dziewczyna, łkając prawie, gdy daremnie szukała małych zakrętek.

— On nie może podejrzewać, że to ty — rzekł Louba, gdy rozdzierał sobie palce i klął w myślach, usiłując odkręcić zakrętki. — Lepiej odprawię ich.

— Nie! nie! — dziewczyna przerażała się. — On widział, jak wtedy rozmawialiśmy — obawiałam się zawsze, że się domyśli! Muszę odejść, choćbyśmy mieli rozbić okno!

Odkręcił wkońcu i okno otwarło się. Bez słowa pożegnania, opanowana tylko chęcią ucieczki od winy, zbiegła przez

wyjście w razie ognia, pędząc po ostatnich schodach w przerażonym strachu, gdy zabrzmiał donośny alarm na włamywaczy. Popędziła w mglistą ciemność.

— Wprowadź ich — zawołał Louba do Millera, otwierając drzwi.

Pozbierał szybko trochę poduszek i rzucił przez drzwi do swej sypialni, zatraskując drzwi i owijając zraniony palec chusteczką.

— Proszę wybaczyć, że kazałem wam czekać, drodzy przyjaciele — tłumaczył. — Zasnąłem i byłem bardzo daleko w krainie snów. Ale panowie przynosicie mi przyjemne przebudzenie.

Goście jego mieli pewne wątpliwości i mimo wysiłków Louby jasne było, że źle się tu czuli i pragnęli się pożegnać jak najprędzej.

Po krótkim czasie wstali. Odprowadził ich do drzwi, mówiąc z ożywieniem i wyrażając żal, że nie chcą dłużej pozostać.

Ale gdy drzwi zamknęły się za nimi, słodycz jego twarzy zastąpiła chmura gniewu.

— Miller!

— Słucham — rzekł służący, zjawiając się na rozkazujące zawołanie.

— Co to znaczy, że to okno jest tak silnie zamknięte, jakby nigdy nie miało być otwarte. Połamałem sobie paznokcie i zdarłem sobie skórę, próbując je otworzyć. Dlaczego było tak zaśrubowane?

— Zawsze tam były na noc zakrętki, proszę pana. To bezpieczniej z powodu tego wyjścia na wypadek ognia.

— Czy musisz je tak zakręcać, żebym musiał trząść domem, by je otworzyć? — zapytał Louba, widocznie wściekły i nerwowo podniecony poprzedniemi hamowaniami się.

— Ja tylko silnie zakręcę, jak zawsze robię, szczególnie w taką mglistą noc. Kiedyś może pan być zadowolony z tych zakrętek — dodał. Ale jeżeli próbował rozchmurzyć swego pana, to mu się to zupełnie nie udało.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zawołał Louba podejrzliwie.

— Nic, proszę pana — odrzekł niewinnie. — Chciałem tylko powiedzieć, że jest to przeszkodą dla włamywaczy — czyż nie?

Louba zaklął niecierpliwie i wrócił do swego pokoju.

Spojrzał na okno — podszedł do niego i wyglądał, aż ujrzał słaby zarys wyjścia w razie ognia. Napewno łatwo byłoby dostać się tędy, gdyby nie sygnał alarmowy połączony z drabiną.

Zasunął starannie story i stanął w środku pokoju, wysysając krew z palca.

Nienawidziło go wielu... Byli ludzie...

— Ba!

W złości wzruszył ramionami.

Któżby się odważył tknąć Loubę!

ROZDZIAŁ IV.

Dziewczyna, która uciekła.

W kilka dni po ucieczce z mieszkania Louby, ta sama dziewczyna stała rozmawiając zniżonym głosem z człowiekiem, ubranym w białe, płócienne ubranie, trzymającym w ręce próbówkę, z szeroko rozpostartą na ciężkiej i nieujmującej twarzy purpurową plamą słońca, przedostającego się przez liljowe szyby okna.

Oczy miał zwrócone na próbkę, jakgdyby pragnął wyglądać na zajętego pracą. Dziewczyna przechyliła się przez drzwi i szepnęła szybko:

— Jeżeli wiesz, idź już lepiej — rzekł, nieodwracając głowy. — Nie trzeba, by nas widziano rozmawiających ze sobą.

— Nie. Obawiam się, że widział nas już przedtem — odwróciła się i skamieniała, gdy ujrzała poważne, miłe oczy człowieka, którego najmniej pragnęła tu ujrzeć. — Jako, ojciec... Nie słyszałam cię... Zajrzałam do laboratorium, by zobaczyć, czy cię niema — głos jej drżał. — Czy nie chcesz napić się herbaty, nim nie zabierzesz się do pracy?

— Owszem, Kate. Właśnie chciałem zapytać, czy dasz mi herbaty. Obawiałem się, że cię niema w domu. — Rzekł coś do asystenta, potem odszedł z dziewczyną.

— Zdawało mi się, że niezbyt lubisz Berry'ego — zauważył, siadając do herbaty.

— No tak... z początku nie — odrzekła. — Ale zdaje mi się, że tylko nie rozumiałam jego sposobu zachowania się...

— To możliwe. On dużo ma jeszcze do nauczenia się — chociaż to dobry pracownik. Trochę niepunktualny — ostatnio — no i...

Zmarszczył czoło i skrzywił usta.

Nie powiedział nic więcej, ale miał coraz większe wątpliwości w prawość swego asystenta Mr. Karola Berry. Cenne narzędzia znikaly od czasu jego przybycia do laboratorium.

Dziewczyna nazajutrz wstała wcześniej i napisała list, który włożyła potem do swej torebki. Wychodząc spotkała się z gospodynią.

— Jako, miss Kate? Pani wychodzi tak wcześniej — zawołała — przed śniadaniem?

— Tak. Wychodzę. Idę do Covent Garden, aby kupić kwiaty, a potem mam się spotkać z przyjaciółką. Może zostaną też na obiedzie — rzekła, śpiesząc do drzwi.

— No — coś dziwnego chce zrobić! — napewno! — myślała kobieta, patrząc za Kate.

Dopiero wieczorem został w domu wręczony list, jaki dziewczyna napisała przed wyjściem; na kopercie jego widniał stempel pocztowy z Dover.

Karol Berry nie przyszedł tego dnia do pracy — i już nie ujrano go w domu pracodawcy.

Zapytywania nie dały żadnego rezultatu, ale dziewczyna, której niechęć do niego została zmieniona na uprzejmość i szybkie rozmowy, zatapiała swą romantyczną duszę we Wschodzie, który zapełniał tyle jej marzeń, a obok niej siedział Louba, patrząc na miasto o płaskich dachach z jego labiryntem wąskich ulic, z migotem barw i ubrań, błyszczących w słońcu Południa. Poniżej miasta rozciągała się kurzem zawleczona równina, na której delikatna linja zaznaczała powolne posuwanie się wielbłądziej karawany.

— O! nie mogę w to uwierzyć! nie mogę uwierzyć, że to jest istotnie — nawet teraz! — zawołała Kate.

— To jest bardzo prawdziwe — odrzekł z głębokim zadowoleniem — za sobą pozostawiłaś to bagno — i teraz dopiero zaczynasz żyć! Wiedziałem, że kiedyś będziemy razem na Wschodzie!

— Jak mogłeś wiedzieć? Bo ja —

— Bo ja chciałem cię tu sprowadzić, a osiągam zawsze to, czego chcę! I chciałem też oddalić cię od tego człowieka — i zrobiłem to...

— Jimmy?

— Tak. — Zęby jego zabłyśły złośliwie.

— Jako, Emiliu? Mówisz tak, jakbyś go nienawidził?

Zaśmiał się lekko:

— Nie! Nie warto nienawidzić nawet tych, którzy robią mi na złość. Wystarczy, że zawsze ich zwyciężam.

— Ale Jimmy nigdy nie wyrządził ci krzywdy?
Wzruszył ramionami.

— Jimmy — jak ty go nazywasz — nie istnieje. Mówmy o czemś innym.

O zachodzie poszli do Bazaru, gdzie radowała się widokami, dźwiękami i zapachami — wszystkim równie zachwycającem jej wyobraźnię odurzoną Wschodem. Nawet brudni nędzarze w nieopisanych łachmanach nie zdołali urazić jej zachwytu. Czyż nie należeli oni do Wschodu?

Targowanie się, które raziłoby ją w Londynie, wciąż te usiłowania przerwania targu, podniesione ręce i protesty, gdy Louba zaproponował zapłatę za rzeczy, które podobały się mu lub jego towarzysze — wszystko to czarowało ją. To była metoda kupowania i sprzedawania Wschodu — więc była zachwycająca.

Wzdrygała się przed intruzem angielszczyzny, dlatego też spojrziała nieprzyjawnymi oczyma na tego najwidoczniej Anglika, który pociągnął ją za ramię, gdy Louba zniknął w ciemnym otworze, prowadzącym do wnętrza składów sprzedawacza, którego oglądała bogate towary.

— Przepraszam, ale czy z panią jest wszystko w porządku?
— zapytał człowiek zarówno nieśmiało, jak gorliwie. — Pani zdaje się jest tu bez znajomych — z Loubą... To długa droga stąd do Anglii i —

— To długa droga, ale nie uważam tego za dostateczny powód do bezczelności — odrzekła Kate, rumieniąc się.
— Nie znam pana!

— Nie! ale widzi pani: ja znam Loubę, a pani nie wygląda, jakby go znała.

— Znam go dosyć dobrze, by cieszyć się jego... przyjaźnią, nie potrzebując pomocy obcych ludzi — rzekła odchodząc.

Była tem bardziej rozgniewana, że się zarumieniła — wyraźny dowód jej położenia stosownie do pojęć Zachodu! Przypomniała sobie te pozostałości domu i wszystkie konwencjonalności, jakie odrzuciła! Pomyślała sobie, że jest to tak, jakby przebudzono ją z tych egzotycznych radość bogatego snu zapomocą dzwonka mleczarza podmiejskiego!

— Tak! Wiem, że jestem pani obcy — rzekł łagodny głos — i nie żądam, by mi pani ufała i wierzyła. Tylko chciałem poradzić pani, by pani wróciła do domu. Jakikolwiek jest ten dom i cokolwiek oczekuje panią po powrocie, niech pani rzuci Loubę i powróci, zanim nie zostanie pani złamana, jak długo jeszcze życie pani cokolwiek jest warte!

Zanim zdołała znaleźć odpowiedź, mignęły jego łagodne oczy, rzucił się w tył, by nie być widzianym, poza stos dywanów i mat i odbiegł jedną z wąskich uliczek, wiodących od bazaru.

Ujrzał Loubę. Loubą stanął w progu drzwi, obok młodego handlarza, patrząc za klientem, który przedzierał się przez tłum, trzymając coś pod ręką i idąc nerwowym krokiem.

— Coś w tem jest interesującego! — zauważył Loubą, podchodząc do Kate. — Błaha, bezwartościowa rzecz — lecz dał za nią ogromną cenę i idzie, jakby się bał, że mu odbiorą! Patrz no na tego chłopca!

Chłopiec, to znaczy syn właściciela, pocierał ręce z radości, gdy patrzył, jak znikala w tłumie wysoka postać dziwnego gościa. W chwilę potem opowiedział o tym dobrym interesie ojcu o kaprawych oczach, który słuchał z obojętnością, szybko przechodzącą w złość.

— Co? On ofiarował taką cenę — i ty wzięłeś od niego tylko podwójnie? — wołał — a Louba tłumaczył to Kate. — Tylko podwójnie? On tyle dawał od początku i ty sprzedajesz mu tylko za podwójną cenę! Ty durniu!

— Ależ to było dwanaście razy tyle, aniżeli jest warte!

— Skąd wiesz o tem, błaznie? Czy zaproponowałby ci sześć razy tyle, jeżeli to było warte tylko tyle, jak się nam wydaje? Głupcze! durniu! — I tak zależało mu na nabyciu tego, że — o, co za przekleństwo! mieć takiego syna!

Pozostawiwszy go lamentującego, Louba i Kate poszli dalej.

— Co to było? — zapytała Kate.

— Poprostu taka szkatułka, wykładana paciorkami i kolorowemi szkiełkami.

Zmrużył oczy. Jeżeli można było coś uzyskać, to nie lubił, by ta wygrana przypadła komu innemu.

— Chciałbym wiedzieć, co to znaczy...

Kate była mniej wesoła w powrotnej drodze, niż gdy szli tutaj. Chociaż z niechęcią i złością przypominała sobie ten epizod z małym Anglikiem, jednak zaciemniał on blask tej romantyczności.

Słońce zachodziło, gdy wspinali się na pagórek. Gdy obejrzeliby się, miasto wydało się im płaskie i płowe.

Przytuliła się do Louby.

— Nienawidzę takich małych, nic nie znaczących ludzi — rzekła.

Przycisnął do siebie jej ramię. Nie powiedziała mu, że wyraża tu swą niechęć do kogoś innego, a swój podziw dla niego samego.

Słuchała nawet z większą niż zwykle zachłannością jego dzikich pochwał i uwag, czepiając się tem namiętniej tego romansu, że dotknął ją zimny chłód rzeczywistości.

Chociaż uśmiechała się, gdy zbliżali się do murem otoczonego ogrodu domu na pagórku, jednak przystanąła nagle, gdy postać Karola Berry wyłoniła się przed nimi. Cofnęła się do Louby, ujrzawszy w oczach tego człowieka nienawiść. Jeżeli próbowała zapomnieć odrazy do niego, to on nie zapomniał jej poprzednich sądów o nim.

Uśmiech jej zamarł. Drżała.

— Chodźmy — rzekła do Louby. — Jest mi zimno.

ROZDZIAŁ V.

Perłowa szkatułka.

— Moja droga Kate! Nic nie sprawi mi większej przyjemności, jak uwolnić cię od moich wad. Proszę cię, nie martw się już tem więcej.

Spojrzała na niego ponuro, przyzwyczajona już do szydlerczego uśmiechu jego ust i gładkich kpín jego głosu. Nawet jego obrażające spojrzenie, jego jawna pogarda w odważnych oczach dawno przestała działać na nią i nie spuszczała już wzroku.

Z rozchyłonymi ustami czekała na wytłumaczenie ostatnich słów, przeczuwając nowe podłości. Lekka kpina jego tonu i jego dobry humor nie wróżył jej nic dobrego. Bo po jego widocznych objawach, że ona mu się znudziła, następowały jego szorstkie złe humory — szczególnie po jego złości, która wybuchła dopiero przed godziną.

— Miałem nieszczęście nie podobać ci się ostatnio — mówił dalej i zrobił lekki gest. — Boli mnie to! Ale mam nadzieję, że będę zawsze stawiał na pierwszym planie szczęście kobiety, a nie szczęście własne.

Zapalił cygaro, rzucając zapałkę w zamglony ogród.

W pokoju nie było światła, tylko tyle, ile wpadało przez długie, otwarte okna. Uciekła z tych błyszczących, sztucznie oświetlonych pokoi, w których Louba kontynuował swe stare metody wzbogacania się na rachunek innych i przeszła do małego pokoiku w tyle domu. Siedziała tam, aż światło dnia nie zemdląło i nie zapadła letnia noc.

— Nie myślałeś tak, gdy kazałeś mi przed chwilą patrzeć, jak oszukujesz tego młodego Amerykanina — rzekła.

— Nie będziemy mówili o tem, moja droga Kate — odrzekł z złowróżbnym tonem w głosie. — Twoje zachowanie się było... niedyskretne i mogłoby być zgubne, gdyby nie moja szybka interwencja. Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły... lepiej nie... Wystarczy, że ty nie przydajesz mi się na nic. Gdybym zażądał, abyś tańczyła w kabarecie, mogłabyś sądzić, że jest to odchylenie bardzo wielkie od twych zwyczajów — ale ja żądałem tylko, byś przewodniczyła przy stole i ładnie wyglądała. — Wzruszył ramionami. — To już nie jest może twoją winą, jeżeli nie wyglądasz ładnie, ale nie ma powodu, dlaczego nie miałabyś wyglądać uprzejmie i miło.

— No? — zapytała. Wiedziała, że to wszystko jest tylko wstępem.

— Zdecydowałem, że ponieważ nie mogę już cię uszczęśliwić, to lepiej będzie, jeśli oddam cię komuś, kto to potrafi.

— Oddać mnie — napół podniosła się i jej blada twarz zarysowała się w mroku.

Podniósł rękę.

— Nie bądź niesprawiedliwa i zrozum mnie dobrze, Kate. Mówię o mężu i sam dbam o to, byś była szczęśliwa w zamężciu...

Rękę podniosła do gardła. Nie mogła mówić.

— Taki stary przyjaciel — Karol Berry. Prawda? — zapytał Louba słodko.

— Wyjść zamaż za Karola Berry? — zaszeptala. — Nigdy!

— O tak, wyjdiesz za niego, moja droga, bo ja chcę tego!

— Nie wyjdę!

— I pomyśleć, że ja robię, co tylko mogę, jako twój opiekun — zawołał z wyrzutem. — Jakże bym mógł kiedykolwiek powrócić do Anglii, gdybym wiedział, że zostawiłem cię tu bez opieki? Czy sądzisz naprawdę, że nie mam sumienia?

Najwyraźniej rozkoszował się sobą, ale zanim zdążył mówić dalej, drzwi otwały się, ukazując oświetlony korytarz, a w głębi wspaniałą pokój. Zamknęły się za nowo przybyłym.

— Louba! Jesteś tu? — zapytał chrypliwy głos bez tchu.

— Tak. Kto tam?

— Vacillesco. Schowasz mi tu coś? Tylko póki się ich nie pozbędę...

Zatrzymał się, nadsluchując. Przyśpieszone kroki doszły z korytarza — szły od wielkiego pokoju.

— Oni idą za mną! Śledzili mnie — byli za blisko. Schowaj to! Dostaniesz swą część!

Gdy drzwi otwały się, odskoczył, rzucił coś w rozłożone ręce Louby, przeskoczył przez okno i popędził przez ciemny ogród. Louba rzucił przedmiot na najbliższą poduszkę i rzekł do przybyłych:

— Co to? Kto tu?

Podszedł do kontaktu i zaświecił elektryczność.

Kate ujrzała trzech ludzi o łajdackim wyglądem, zasapanych jak człowiek, za którym pędzili.

— Tu ktoś wszedł. On skradł... Widział go pan?

— Wszedł z taką samą zachwycającą bezceremonjalnością, jak wy, moi panowie. Wytrąciliście go drzwiami, wchodząc tu...

Louba wskazał im ogród. Popędzili i zniknęli w ciemności.

— Zostań tu i uważaj, by tego nikt nie tknął — rozkazał Louba i skoczył za nimi. Vacilesco obiecał mu jego część, ale on nigdy nie był zwolennikiem podziałów.

Tamci przeskoczyli przez niski mur na łąkę, ale Louba, dbając o swe ubranie bez skazy, zatrzymał się, by otworzyć bramkę.

Biegł za odgłosem kroków po ścieżce, prowadzącej za tyły ogrodu. Słyszał te kroki, odbijające się o kamienie.

Nieco dalej zaczynał się wysoki mur, okalający szeroki ogród domu, większego od otaczających go, a po przeciwnej stronie wyciągało ramiona kilka drzew ponad wąską ścieżką, zamykając światło.

Do tego miejsca dobiegli ścigający za zwierzyną. Louba stał nieruchomo, a jego uważne oczy i uszy wchłaniały walczącą masę postaci, szurgotanie stóp i krzyki. Potem urwany odgłos — krzyk stłumiony i — cisza...

Gdyby wracali tą samą drogą...

Podszedł w cień najwyższego drzewa i stanął na małym wzgórku.

Mógł odgadnąć, co robili tam pod wysokim murem... Usłyszał nawet kilka wyszeptanych przekleństw i pytań, gdy poszukiwanie okazało się bezowocne.

Po chwili podeszli na środek ścieżki, gdzie na tle bladego nieba mógł odróżnić ich trzy postacie. Wahali się widocznie naradzając się, potem pobiegli w przeciwnym kierunku — od domu Louby.

Czekał kilka minut, potem podszedł do leżącej postaci, jaką zostawili i dotknął jej.

Lekkim krokiem powrócił do domu.

Kate siedziała tam, gdzie ją pozostawił.

Popatrzał na swe ręce i białą koszulę, gdy podszedł do światła. Były niesplamione.

— Co się stało? — spytała szybko, zaniepokojona znaczącym jego ruchem.

— Zadźgali Vacilesco — zdaje mi się. Ale to niema nic wspólnego z nami — rozumiesz? — zapytał grożąco. — My nic nie wiemy!

— Masz to, za czem pędzili...

— Nie mam! On tego tu nie zostawił! Nie myl się co do tego, droga Kate. Byłoby mi to nie na rękę. Przyjrzałaś się temu? — zapytał, zbliżając się do poduszki, za którą schował pozostawiony skarb Vacilesco.

Wstrząsnęła głową.

Zamknął okna i zapuścił zasłony, zanim nie obejrzał lupu.

Była to szkatułka, pokryta różnokolorowemi perłami w efektowny deseń, a w środku największego wzoru widniały imitacje drogich kamieni. Otworzył ją i stanął rozczarowany, ujrawszy puste wnętrze.

— Zdaje się, że Vacilesco czmychnął z tem zapóźno — zauważył. — A jednak nie była zamknięta... On na pewno musiał zajrzeć do środka...

Obramowana była białą skórką, ale dno było inkrustowane perłami i kolorowemi szkiełkami, jak góra. Przyglądając się uważnie, Louba krzyknął w nadziei i zaczął badać dno. Zostało to nagrodzone znalezieniem nacisku, który otworzył fałszywe dno.

Okrzyk zadowolenia — i okrzyk złości, gdy ujrzał, że i tam nic nie było.

Patrzył na szkatułkę ze wściekłością, aż przewyciężył złość i wzruszył ramionami.

— No! w każdym razie zapłacił za to Vacilesco — uważał — nie ja...

Położył szkatułkę na stół. Zapalił cygaro.

— Czy chcesz dokończyć tego, co zaczął mówić? — spytała Kate. — Co masz na myśli mówiąc, że mam wyjść za Karola Berry.

— To... My rozłączamy się, ale chcę, byś wyszła za niego. Mieszkanie Nr. 2., Braymore House, London, gdzie spędziłaś tyle przyjemnych godzin, wciąż jest moje i ja tam powrócę. Z powodów łatwych do odgadnięcia, wygodniej mi jest, byś ty była panią Berry.

— Ale przecież nie myślisz tego na serio! To nawet byłoby za podle jak na ciebie! — wybuchnęła.

— Podłe? Niewdzięczna! Kate, pomyśl, jakbym mógł cię pozostawić! — jakto... — przerwał, a oczy jego spoczęły na szkatułce, która najwidoczniej wypędzała z jego myśli ją i jej sprawy. — Teraz przypominam sobie! Widziałem ją już przedtem! To było u —

— Nie chcę słyszeć o tem! — zawołała. — Czy odpowiesz mi?

— O, ale to było za czasów, o których chętnie będziesz słyszeć — zakpił, — za czasów czułych wspomnień... Czy nie przypominasz sobie, jak w tych słodkich pierwszych dniach ktoś zapłacił ogromną cenę za niewartą szkatułkę. Było to w Bazarze. —

— O, przestań! — sprawiło jej to ból niedozniesienia. Zaśmiał się.

— Powiedziałem, że były to słodkie dni! Co za szkoda, że takie dni nie trwają wiecznie!

— Wcale nie żałuję tych dni — odrzekła gorzko. — Był człowiek, który mnie ostrzegł i którego radą wzgardziłam... owego dnia...

Odwróciła drżące oczy od jego okrutnej twarzy.

— Owego dnia? Nie przypominam sobie, ktoby ci mógł dawać rady... Ale to nic. Muszę wracać do mych gości — mych ofiar, jeśli wolisz.

Wzrok jego spoczął znów na szkatułce.

— Zachowam ją na pamiątkę o tobie... kochana Katy... jako wspomnienie naszej tak czarującej idylli...

Odwrócił się od drzwi, by rzucić ostatnie szyderstwo.

— Ty oczywiście nie potrzebujesz pamiątek! Do tego stopnia sobie pochlebiam!...

Zaśmiał się. Drzwi zamknęły się za nim.

ROZDZIAŁ VI.

Człowiek, który służył.

— Nie poznajesz mnie, Miller?

Lata nie obeszły się uprzejmie z mr. Berry, ale Miller poznał go łatwo. Raz skarcił go Louba dlatego, że chciał zaspokoić swą wrodzoną ciekawość w sprawie wizyt Berry'ego w tem mieszkaniu i jego roli w stosunku do Louby, tak więc miał osobisty powód pamiętania go.

— Jak się masz, Miller? — mówił dalej uprzejmie Berry wyciągając rękę.

— O, dobrze... a jak idą sprawy? — odrzekł Miller.

Przedtem Berry nie był serdeczny w stosunku do niego, ale teraz było widoczne, że pragnął być uprzejmy.

Stali przed Braymore House. Był zimny, wilgotny wieczór.

— Powróciłem właśnie do Anglii — rzekł Berry. — Gdzie idziesz?

— Chcę zanieść listy mr. Louby do Elect-Club.

— A! on tam jest?

— Tak. Pragnie pan go widzieć?

— Poto przyjechałem do Anglii. Nie postępuje ze mną tak, jak powinien i jeśli nie zmieni postępowania, to zdaje mi się, że będzie to dość nieprzyjemne dla niego. Ale — pójdziesz na jedną... dobrze? Chciałbym z tobą pomówić. Nie śpieszysz się specjalnie, co?

— Tak z pięć minutek...

Szli obok siebie, a mokry deszcz bił im w twarz.

— Co to znaczy, że mr. Louba nie postępuje z panem jak powinien? — zapytał Miller widząc, że Berry okazuje inklinację do rozmowności.

— No — nie płaci mi tego, co mi winien. Jak myślisz, jak się mają jego finanse? Popsuło się coś?

— Dlaczego?

— Czy wiesz coś wogóle?

Niepewnie popatrzyli na siebie.

— Słuchaj — rzekł Berry — możemy być ze sobą szczerzy. Może będzie to dla naszego wspólnego dobra... On zalega w wypłatach i zastanawiam się, czy nie jest mu za krótko z pieniędzmi. A jak z tobą?

— No — rzekł Miller — moja pensja także zalega...

— O? — mr. Berry zamyślił się.

Odwróciwszy się, zwrócił Millerowi uwagę na małego człowieka, który szedł tuż za nimi.

— Kto to taki? — zapytał. — Zdaje mi się, że widywałem go często — ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie?

— Nie wiem. Widzę go często, jak włóczy się w okolicy. Ale on wygląda nieszkodliwie.

Weszli do najbliższego baru, a gdy usiedli przy stoliku ze szklankami pełnemi, Berry zdecydował się jeszcze więcej wtajemniczyć Millera.

— Prawdą jest — rzekł — że widziałem się już z Loubą.

— Co? Po powrocie?

— Tak. Ciebie nie było. Powiedział mi, że jest zrujnowany i zwiewa z kraju z sumą, jaką zdoła zebrać.

Miller świsnął.

— To ładnie. Ale co z moją pensją?

— Myślałem, że jest to bluff, dlatego, że nie chce mi płacić. Ale jeśli to jest prawdą, to zła sprawa... co?

— Podła sprawa — odrzekł Miller ponuro.

— Jeśli to prawda, to zabierze wszystko, co będzie mógł i my nie ujrzymy ani penny z naszych pieniędzy.

Twarz Millera wyrażała wściekłość i przytakiwanie.

— To ładny ptaszek ten Louba — rzekł Berry.

— Wierzę — przytaknął Miller. — Jeżelibym sądził, że on naprawdę chce mi —

Berry zaśmiał się.

— On nie obejdzie się z tobą lepiej, niż z kimkolwiek innym — rzekł. — O tem możesz być przekonany. — Nagle przerwał.

Mały człowiek, którego widzieli na ulicy, wszedł za nimi i siadł przy stoliku tuż obok. Na ostry wzrok Berry'ego odpowiedział spokojnem spojrzeniem.

— Widzisz go? — mruknął Berry. — Wszedł tu, by się napić lemonjady. — Nie wątpiąc wcale w nieszkodliwość tego człowieka, czuł się jednak nieswojo w jego pobliżu.

— I pomyśleć, że po tylu latach służby — zawołał Miller, myśląc wciąż o Loubie i własnych swych zmartwieniach. — Ale podejrzewałem już...

— Co podejrzewałeś?

— Wiem, że jego towarzysze też są niebardzo i musiał dosyć zapłacić. A także widziałem coś przed paru dniami, czem się bardzo zdziwiłem: ale on woli zawsze coś niesamowitego, więc nie jestem pewny, czy to był znak zwiewania...

— Co to było? — spytał Berry gorliwie.

— Wyrobiony paszport na inne nazwisko, ale z jego fotografią.

— Więc to prawda! On ucieka! — Berry wypił do dna i uderzył szklanką o stół. — A my zostaniemy jak durniel! Jesteś żonaty?

— Chcę się ożenić.

— Ładny prezent ślubny dla ciebie! Bezrobotny! Napij się jeszcze...

Napili się jeszcze po dwie, a Miller zwykle zadowolający się wszystkim, zaczął czuć się potwornie nabranym!

— Przez tyle lat byłem z nim! — zawołał.

— Jeśli kto, to ty przedewszystkiem zasłużyłeś sobie na ładny prezent ślubny! — współczuł mu Berry.

— A ta pensja, którą mi winien!

— Podły łotr! mógł ci wypłacić przynajmniej!

Berry był bardzo zadowolony ze stanu Millera, gdy znów zezłościł go ten mały człowiek, który nie ukrywając tego, nadśluchiwał ich rozmowy.

— Przepraszam — rzekł Berry głośno. — Czy mówimy o czemś, co pana interesuje?

— Przepraszam — odrzekł mały człowiek. — Nie mogłem nie słyszeć, że mówicie panowie o mr. Loubie.

— To pański znajomy?

— O, nie, ale interesuję się nim.

— Tak? Wielu ludzi się nim interesuje...

— Tak. Ale właśnie teraz interesuję się nim specjalnie.

— Dlaczego?

Mały człowiek przeniósł swą szklanę i usiadł przy ich stoliku.

— Bo — tłumaczył — wykryłem, że da Costa ma mieszkanie nad jego mieszkaniem w Braymore House.

— Tak — odrzekł Miller. — Ale on nie jest przyjacielem mr. Louby!

— O nie! — odrzekł mały człowiek. — Dlatego jestem teraz właśnie pełen nadziei. Powiedział, że gdyby nawet miał czekać 20 lat... lecz niema jeszcze dwudziestu lat...

— Nie zdaje mi się, by pan miał powód do nadziei — rzekł Miller w przygnębieniu.

— Co pan wie o Loubie? — zapytał Berry.

— O, niewiele — odrzekł łagodnie mały człowiek. — Spotkałem go lata temu... O, dawno! Ale nie straciłem nigdy wiary — szczególnie w da Costę. Oni kłócili się znów — rywale, pan rozumie — a da Costa nie zapomina.

— No, ale do czego to zmierza? — zapytał Berry, pragnąc dalej manipulować koło zmartwień Millera.

Mały człowiek popatrzał na niego szczerze.

— Czy ma pan do nas jakiś specjalny interes? — spytał Berry szorstko.

— O, nie — proszę wybaczyć, że panom przeszkodziłem. Zajmuje mnie wszystko, co dotyczy Louby. To mi jakoś pomaga. Nie, żebym kiedykolwiek stracił wiarę — rzekł wstając — wiara to wielka rzecz, panowie! Od lat już żyję nią tylko! Podtrzymuje mnie, bo bez niej umarłbym... Ale ja zawsze jestem wesoły... Mam nadzieję — i czekam...

Dopił lemonjady, uklonił się i wyszedł.

Berry uderzył się w czoło.

— No, słuchaj, Miller — rzekł — Louba źle się z nami obchodzi — i to jest łotr! Dlaczego mielibyśmy pozwolić, by zagrabił wszystkie pieniądze i zwiął?

— Jak możemy temu zapobiec?
— Nie możemy zapobiec jego ucieczce, ale możemy podzielić się, ograbiwszy go...

— On już dogładnie tego! Będzie miał dosyć, aby móc żyć wystawnie. O to niema obawy!

— Jeżeli będziemy na tyle głupi, że pozwolimy na to! Ty jesteś z nim w domu, Miller.

Miller odstawił szklanę tak szybko, że część zawartości rozlała się po stoliku.

— Więc co z tego? Czy ma pan mnie za złodzieja?

— Nie siedziałbym tu i nie rozmawiałbym z tobą, gdyby tak było — odrzekł Berry z przesadną dumą.

— Więc w takim razie, co ma to wspólnego z naszą sprawą, że jestem u niego w domu?

— Otóż masz dogładnać, by to nie on skorzystał z pieniędzy, które mu się uda zagrabic. Jako? raczejbym oddał wszystko na szpital i odszedł bez centa, aniżelibym pozwolił, by ten pies miał pieniądze! — oświadczył Berry cnotliwie. — Zabranie pieniędzy temu, który używa ich tylko ku zniszczeniu innych, to tak jak odebranie nabitego rewolweru mordercy! Jest kradzenie — i jest branie. Millerze, a ja ci powiem, że to nie jest źle zabrać pieniądze takiemu łotrowi, jakim jest Louba!

— Hm... to w teorji jest bardzo dobrze — odrzekł Miller. — Zgadzam się... Ale jeśli chodzi o praktykę...

Potrząsnął głową.

— Nie narażę się na sposobność tłumaczenia sędziom różnicy między kradzeniem a braniem!

— Jeżeli chcesz mi ułatwić to, ja biorę na siebie ryzyko! — obiecał Berry. — Jeśli zechcesz trzymać oczy otwarte i dać mi znać, gdy wpłynie wielka suma — to my już to załatwimy ze sobą! Ja wykonam to branie, jeśli ty będziesz

mi pomagał i ułatwisz to — i pójdzie 50 na 50, jakbyśmy się narażali na to samo ryzyko. No, co ty na to?

Przez pewien czas Miller milczał. Nie był skłonny do brania tego projektu na poważnie. Ale pił dalej i twarz jego ciemniała w miarę, gdy krzywdy jego stawały się większe.

Karol Berry nie tracił cierpliwości i zamawiał dalsze szklanki.

ROZDZIAŁ VII.

Beryl Martin.

— O co chodzi, mr. Louba?

— Jeżeli zechce mnie pani zaszczyścić... tylko na dziesięć minut, miss Martin. Mam coś ważnego do powiedzenia...

Beryl Martin podeszła do okna w głębi pokoju, zdala od pełnych stołów.

— Pani dzisiaj nie gra? — szepnął.

Potrząsnęła głową. Była zaniepokojona.

— Mr. Louba — pragnęłabym, by mi pan powiedział dokładnie, ile jestem panu winna. Muszę przestać grać. Nigdy już nie odegram tego, co przegrałam. Muszę już postanowić coś definitywnego, by wyjść z długów. Pan mówił zawsze, że to nie wiele i odraczał pan — ale chcę, by mi pan jasno powiedział. Byłam szalona, że brnęłam tak dalej — i teraz właśnie zorientowałam się.

— W tej sprawie chciałem z panią pomówić — odrzekł; — ale nie tu. Chodźmy tam, gdzie będziemy mogli pomówić spokojnie.

Zawahawszy się wyszła do małego pokoiku na parterze. Okno wychodziło na ulicę.

Byli w domu sir Harry Marshley'a. Ale Louba wydawał się tu gospodarzem.

— Niech mi pan wierzy, że jestem bardzo... w rozterce ze sobą, by mówić z panią o takiej sprawie — rzekł Louba — a jeśli bym sądził, że to panią zmartwi, raczejbym poniósł wszystkie straty sam, aniżeli mówił o tem... Ale mam inne nadzieje...

Ona cofnęła się trochę przed spojrzeniem jego bezczelnych oczu.

— Oczywiście nie chcę, by pan ponosił jakies straty — odrzekła szybko. — Zdaje mi się, że ma pan wszystkie kwity, jakie podpisałam...

— Oczywiście — mruknął.

— Zechce mi pan powiedzieć, na jaką sumę one opiewają?

— 50 tysięcy funtów.

— Co?

Wstała z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— To być nie może! 50 tysięcy! — mówiła bez tchu i pobladła.

Patrzył na nią, jak opadła na krzesło, złamana, z oczyma szeroko otwartymi, wpatrzona w niego jakby błagała go, by zaprzeczył swym słowom.

— Czy to możliwe! — zawołała wkońcu.

— A tak... Jeśli sobie pani życzy, pokażę pani kwity. Ale proszę, niech się pani nie martwi...

— Ale ja — ja — nie mam tyle pieniędzy! A matka moja ma tyle tylko, ile potrzeba jej na życie... Pozatem jest chora — nie odważyłabym się jej powiedzieć, że tyle przegrałam! Toby ją zabiło!

— Prawdopodobnie — zgodził się. — Ale pocio jej mówić?

— Czy jest pan pewny tej sumy? — zapytała rozpaczliwie.

— Najzupełniej pewny.

Wyjął paczkę kwitów z jej podpisami i podał jej.

— Nie miałam pojęcia, że podpisywałam na tak wielkie sumy! — zawołała i podała mu z powrotem. — I pan chce tych pieniędzy — dlatego chciał się pan widzieć ze mną...

— Droga pani! Wszystko to dawno byłoby spalone, gdyby nie nieszczęśliwy stan mych interesów — odrzekł. — Ale ja sam poniosłem wielkie straty i zmuszony jestem ściągnąć wszystkie wierzytelności.

— To znaczy, że pan nie może czekać?

— Nie mogę. Wnet opuszczam Londyn i potrzebuję pieniędzy na spłacenie długów przed wyjazdem.

— Oczywiście — ma pan prawo. Żałuję, że przedtem nie uręgulowałam, ale ja — ja —

Drżąc zagryzła wargi.

— Niema pośpiechu — dzień — dwa — rzekł łagodnie.

— Naprawdę, nie wiem, jak to panu zapłacę — zawołała z rozpaczą — to znaczy w kilku dniach... Ja —

— O, pani może! Zupełnie łatwo! — odrzekł przysuwając krzesło tuż do niej. — Może mi pani stokrotnie zapłacić — jeśli pani zechce...

— Jak? — zapytała odsuwając się tak daleko, jak pozwoliła poręcz krzesła, a strach przed finansową grozą ustąpił chwilowo wstrętowi, nieufności i bojaźni, jaką wywołało jego zachowanie się.

Starał się ująć jej rękę, ale cofnęła ją.

— Są skarby większe od pieniędzy — rzekł. — Są te, w których niema długów — żadne moje lub twoje... Gdyby pani była moją żoną, dziesięć tysięcy razy po pięćdziesiąt tysięcy funtów to byłby drobiazg, którego — bym się nie zawahał wydać na przyjemności pani. I wnet byłbym znów bogaty, Beryl... z tobą u boku nie ma rzeczy,

którejby nie potrafił zrobić — nie potrzebujesz się obawiać, że naraziłbym cię na nędzę... Zdala od Anglii są jeszcze —

— Ależ ja jestem zaręczona! Pan wie o tem! — zawołała i wyciągnęła lewą rękę.

Usta jego złożyły się w grymas, gdy ujrzał pierścionek:

— Ten biedny szaleniec! Wnet pani zapomnie o nim!

— Nie pragnę go zapomnieć, mr. Louba. Ja wyjdę za niego!

— Nie zdaje mi się — odrzekł.

— Ależ na pewno! Zresztą to niema nic wspólnego z tą sprawą.

— Nawet bardzo dużo. Mówiłem pani: jeżeli — zostanie pani moją żoną, pani długi zostaną mojemi i spalę kwity w dzień naszego ślubu, który odbędzie się, zanim nie opuścę Londynu. Ale jeśli pani odmówi — jeśli będzie pani chciała dalej wyjść za tego Leamingtona, to jego żona, naturalnie, jest niczem dla mnie — i zechcę, by mi zapłacono — i to szybko! Ponieważ pani niema dość pieniędzy, by mi zapłacić, to jutro rano odwiedzę matkę pani —

— O, nie! nie! Ona nie zniosłaby takiego wstrząsu!

— No — rzekł chrypliwie — gdy zostanie pani sierotą, może da się pani pocieszyć przeze mnie...

Odwróciła głowę ostro, gdyż instynktownie, podświadoma niechęć do niego rozbudziła się w nagły, okropny wstręt.

Prawie natychmiast zerwała się z krzesła.

— O! kto to! — zawołała.

— Gdzie? — spojrzał szybko dokoła.

— Za oknem. Ktoś przycisnął twarz do szyby. Wyglądała okropnie!

Wstał i szybko podszedł do okna wyglądając.

— Nie widzę nikogo — rzekł.

— Znikł, gdy ujrzał, że go ujrzałam — rzekła, ochłonnawszy z przerażenia. — Może ktoś ze służby — może ktoś miał coś oddać w kuchni, i zajrzał, widząc szparę w zasłonach. Zaskoczyło mnie to — oto wszystko. Zawsze twarze, przyciśnięte do szyby, wyglądają tak okropnie.

— Tak, istotnie. — Otworzył okno. — Ale nie lubię ludzi, którzy przylepiają się do szyby.

Zimne powietrze ogarnęło pokój, gdy otworzył okno i wyrzwał. Beryl zadrżała i otuliła nagie ramiona płaszczem. Chciała już odejść, gdy Louba rzekł.

— Nie widzę nikogo — cofnął się do pokoju i zamknął okno. — Jak on wyglądał?

— Nie mogłam go widzieć dobrze. Twarz przyciśnięta do szyby...

Zapуścił starannie zasłony.

— Czy miał wąsy i czerwoną twarz, co?

— Nie zdaje mi się — ale naprawdę nie spostrzegłam.

— To szkoda. Lubię wiedzieć, kto się interesuje mną — rzekł, marszcząc się.

Nastala cisza. Na chwilę zapomniał o niej i szarpał wąsy, zatopiony w myślach.

Beryl nawiązała przerwana rozmowę.

— Może mi pan udzielić zwłoki — dzień lub dwa? — zapytała.

— Nie. Jutro rano idę do matki pani. POCO pani dzień lub dwa. Skąd wzięłaby pani pieniądze?

— Ja... mogłabym je dostać — szepnęła.

— Ma pani na myśli Leamingtona? To młody człowiek, ambitny, idący ku triumfom... Chce mu pani okazać miłość, rujnując go? Nie przypuszcza pani, że mógłby wydobyć 50 tysięcy funtów, nie zastawiwszy majątku, nie rujnując się?

Pochyliła głowę nad zaciśniętymi pięściami.

— Nie... Ma pan rację... Nie mogłabym go zrujnować na początku życia jego... Nawet, gdyby mógł uzyskać te pieniądze — szepnęła.

— A dlaczego miałyby pani to uczynić? Czy przypuszcza pani, że nie mogę pani uszczęśliwić więcej od niego? To taki przeciętny młodzieniec... W samej Anglii takich jest sto tysięcy... Jeśli spojrzy pani na to potem, śmiać się pani będzie z marzeń wyjścia za takiego jak on!...

Ujął jej rękę, pochylając się ku niej. Odwróciła głowę.

— Jeżeli wydadę się okrutny, Beryl, to tylko po to, by być dobrym... Ja takie szczęście ci stworzę — szepnął.

— Gdyby pan tak myślał istotnie, nie nalegałby pan teraz! — zawołała. — Jeżeli może się pan obejść bez pieniędzy, gdy wyjdę za pana, to może się pan też obejść, jeśli nie wyjdę — obejść się chwilowo!

— Mogę się obejść bez pieniędzy, Beryl, a nie mogę bez ciebie!

— Musi pan! — zawołała, wrywając się. — Musi pan, gdyż ja nie poślubię pana!

— W takim razie — odrzekł chłodno — ja nie mogę przedłużyć pani terminu zapłaty.

— I pan twierdzi, że chce mnie pan uszczęśliwić!

— Pani, zdaje mi się, twierdzi, że kocha swą matkę! Jednak nie chce pani zaoszczędzić jej tego, co się może okazać fatalne!

Siedziała, wpatrując się w dywan.

— I pani twierdzi, że kocha pani Franka Leamingtona — mówił dalej. — Ale będzie się pani patrzeć, jak padnie ofiarą pani szalonej gry!

— Nie miałam pojęcia, że zadłużyłam się na taką sumę — zawołała. — Byłam pewna, że to suma łatwo spłacalna!

— To tylko dowodem większego szaleństwa! Czyż nie, Beryl?

Zacisnęła usta.

— A więc jest nas dwoje — zauważył. — Tylko, że ja nie jestem tak wielkim winowajcą jak pani, gdyż jeśli jestem bezwzględny, to tylko przez wzgląd na panią! Ale jeśli pani zabije swą matkę i zrujnuje tego człowieka, to jedynie ze względu na samą siebie! Bo koniec końcem, to jedynie pani szaleństwo! Czy nie powinna pani zapłacić?

— Tak — rzekła zniżonym głosem.

Wstała.

— Powinam zapłacić — i zapłacę.

Podniosła rękę, by powstrzymać go, gdy uczynił krok naprzód — chwycił ją i ucałował gorąco.

— Niech mi pani wierzy — to zapłata, która przyniesie dużo korzyści — rzekł — obiecuję pani! Zdaje mi się, że nie spalimy tych kwitów, gdyż kiedyś będą pani bardzo cenne! I pewnego dnia, gdy się pani dowie, co to jest szczęście, powie pani, że to one panią doń doprowadziły...

Nie odrzekła nic. Wyrwała rękę i zapięła płaszcz.

— Muszę teraz odejść — rzekła. — Jest już późno.

ROZDZIAŁ VIII.

Dziewczyna, która przegrała.

Z cierpliwością, na jaką się może zdobyć młody, dobrze wychowany człowiek, czekał Frank Leamington, by dziewczyna zesza. Westibul wielkiego domu lady Marshley był napełniony odchodzącymi gośćmi. Ale nie zjawiała się ani Beryl, ani tamci członkowie partji bridge'a.

Sir Harry wyszedł z sali balowej. Był to łysy, zwiędły człowiek ze stereotypowem, podejrzliwem spojrzeniem.

— Hallo? Leamington! Jeszcze pan nie odszedł? Dobrze się pan bawił?

— Tak, dziękuję.

— Dlaczego nie gra pan? Lady powiada, że nigdy nie udaje się pan do pokojów gry. Beryl gra — to dziewczyna do rzeczy!

Frank zgniótł słowa, jakie mu się cisnęły na usta i zauważył:

— Nie mogę sobie pozwolić na takie stawki, na jakie grają pańscy przyjaciele — i Beryl zresztą także nie. Lubię bridge'a, ale bridge grany funt za punkt — to ruina!

Sir Harry zmarszczył czerwony nos w złośliwym grymasie.

— Zdaje mi się, że Beryl może o tem sama wyrokować. Ma własne pieniądze. Ojciec zostawił jej majątek, kochany chłopcze!

— Zostawił jej bardzo mało! — rzekł Frank, a sir Harry wzruszył ramionami.

— Czy mogę zauważyć wobec tego, że Beryl jest zaręczona z panem, że nikt nie jest bardziej kompetentny do dawania jej rad, niż pan sam — rzekł sarkastycznie. — Bo nie prawdopodobne, by mnie się mogło udać powstrzymać ją, jeśli się to panu nie udaje!

Mężczyźni i kobiety schodzili szerokimi schodami, zapinając płaszcze i futra. Frank przyglądał się im, ale nie było między nimi Beryl. Wkońcu nadeszła ostatnia z wysokim, tęgim mężczyzną, mówiącym z nią z pewnego rodzaju poufnością, która wywołała rumieniec na twarzy młodzieńca.

Zatrzymali się na dole schodów, a wysoki człowiek mówił zniżonym głosem. Frank widział, jak dziewczyna skinęła, a potem szybko pośpieszyła ku niemu.

— Bardzo mi przykro — rzekła szybko — żeś czekał, ale ja doskonale mogłam sama pójść do domu.

Wyglądała blada i zmęczona. Gdy znaleźli się w alicie, rzekł:

— Beryl, kochanie! martwię się. —

— Naprawdę? Martwisz się?

— To ta piekielna gra w karty... Nie mam prawa, gniewać się na ciebie i nie zamierzam... ale ty znasz Marshley'ów — wiesz, że ich dom jest budą karciarską, a bale, jakie wydają, są tylko maską tych pokoi gry — tam, na górze. Ludzie mówią, że poza tem stoi Louba. Przed pięciu laty Marshley był bankrutem — a teraz nagle wyrasta jako właściciel tego ogromnego domu, wydaje bale, ma własne auta i oczywiście uzyskuje klientelę, jakiej pragnie. Tam grają nietylko w bridge'a...

— Wiem o tem — rzekła.

Ujął jej rękę, ale wysunęła ją łagodnie.

— Frank, chcę ci coś powiedzieć... Weź to...

Poczuł coś na swej dłoni — coś okrągłego i twardego — wiedział, nim palce dotknęły diamentu, że jest to jej pierścionek zaręczynowy.

— Beryl!

— Żałuję — naprawdę żałuję... ale ja muszę wyjść za Emila Loubę — nie, nie, nie pytaj, dlaczego — Frank, proszę...

Siedział jak skamieniały, niezdolny do myślenia nad tem.

— To — zwierzę! — rzekł wkońcu. — Jesteś szalona, Beryl! Ten Turek — winna mu jesteś pieniądze?

Nie odrzekła.

— Nie zrobisz tego! Na Boga! zabiję go przedtem! Więc po to zwabiono cię do tej piekielnej jamy! Louba cię potrzebował — chciał cię zniszczyć — a teraz, gdy cię oszukał, stawia ci warunek poślubienia go lub zapłacenia.

— Trzeba wziąć pod uwagę — matkę — rzekła ledwo dosłyszalnym głosem. — Byłam szalona — o, jak szalona, Frank! O Boże!

Zakryła twarz rękoma i wybuchnęła namiętne łkaniem — a on siedział milczący i bezradny, słuchając tego smutku dziewczyny, dla której poświęciłby życie i duszę.

Teraz podniosła się i osuszyła oczy.

— Jestem zmęczona — rzekła słabo. — Nie mów już o tem, Frank... Rzeczy takie działy się już — i dzać się będą... Nie, nie, nie całuj mnie — przyjdź do mnie jutro, gdy będę trzeźwa — gdy oboje będziemy trzeźwi...

Wyprowadził ją z auta aż do bramy małego domu przy Edwards Square, gdzie mieszkała ze swą chorą matką.

— Dobranoc, Frank — rzekła i pocałowała go.

Wyśliznęła się z jego ramion i zatrzasnęła drzwi, zanim nie zorientował się, że jej już niema... Przez chwilę stał wpatrzony w drzwi, potem odwrócił się i powoli podszedł do auta, a serce jego pełne było morderczej nienawiści. Przeczekał pewien czas, nogę trzymając na stopniu auta, a potem zapytał:

— Piotrze, czy znasz Braymore House?

— Tak, sir — odrzekł szofer ze zdziwieniem.

— Zawieź mnie tam — nie, nie pod same drzwi. Zatrzymaj się w pewnej odległości.

Braymore House był to blok mieszkań, wychodzących na Regent Park, a od tyłu na Clive Street. Był sześciopiętrowy, a każde piętro zawierało jedno mieszkanie.

Frank znał ten budynek i jako zdolny i wzięty architekt zajęty był przy budowie tego najluksusowniejszego bloku mieszkaniowego w Londynie. Prawie pierwszą pracą, jaką dostał Frank, gdy wstąpił do biura pewnego architekta, było przygotowanie planów fundamentów tego domu.

Budynek z czerwonej cegły, zeszpecony z estetycznego punktu widzenia przez wyjście na wypadek pożaru, dobudowane po ukończeniu domu, by zadość uczynić prze-

pisom miasta, był teraz cały ciemny, z wyjątkiem szerokiego pasma światła na drugim piętrze.

Wiedział, że jest to mieszkanie Louby. Miał nadzieję, że nadjedzie przed zamknięciem bramy. Widzieć się z nim teraz było niemożliwe, gdyż wielka brama hallu będzie zamknięta, taksamo jak tylne drzwi dla służby. Popatrzał na wyjście w razie ognia. Po chwili namysłu wszedł przez bramę do ogrodu, w którym wznosił się Braymore House, i idąc boczną ścieżką, doszedł do sztywno wyciągniętej żelaznej drabiny, prowadzącej do wyjścia w razie pożaru. Ciężkie przeciwwagi trzymały ją w pozycji poziomej. Przypomniał sobie, że do drabiny przymontowany był automatyczny alarm na wypadek włamania. Gdy skończył oględziny, powrócił do auta.

— Do domu, Piotrze.

Jutro obejrzy to miejsce w świetle dnia! Ciekawy był, gdzie był przymocowany drut alarmowy. Cieńka mgła wznosiła się nad Regent Parkiem, gdy dojeżdżał do swego mieszkania w Gate Gardens.

— Tem lepiej! — pomyślał.

ROZDZIAŁ IX.

Człowiek za zasłoną.

Louba powrócił do Braymore House bardzo zadowolony.

Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu zapłacić za kobietę tak wysoką cenę, jak małżeństwo.

Ale Beryl Martin, tak inna od tamtych szalonych kobiet, które w rozmaitych okresach czasu wciągał swą niezdrową sensacją! Ona była warta! Nie ze względu nawet na pieniądze, jakie wniesie ze sobą.

— Nie będę cię już więcej potrzebował, Miller — rzekł wesoło, wchodząc do mieszkania i zasiadł do lekkiej kolacji.

Zapalił papierosa i stanął przed kominkiem, paląc i rozpatrując z zadowoleniem swą sytuację.

Finanse jego doznały niemiłego wstrząsu, ale radzi sobie jakoś.

Usiadł przy stole i zaczął jeść.

Plecyma odwrócony był do okien i za chwilę doznał niepokojącego uczucia. Kilka razy odwrócił głowę, ale pewny był, że okna są zamknięte. Miller zamykał je zawsze przed jego przyjściem.

Przypomniał sobie zapewnienie Beryl, że widziała twarz za oknem w domu sir Harry Marshley'a.

Słyszał, jak Miller zamyka drzwi swego pokoju. Gdy odsunął od siebie tacę i zapalił cygaro, zdał sobie sprawę z ciszy — i czegoś jeszcze...

Przeklinając swą bujną wyobraźnię, wstał niecierpliwie i podszedł do okna, rozsuwając jedwabne zasłony, by się upewnić, że okno jest zamknięte.

Cofnął się z okrzykiem.

Potem rozsunał zasłony i wyciągnął człowieka, ukrytego za niemi.

— Da Costa!

— No i co? — zapytał da Costa, a ręka jego zbliżyła się machinalnie do tylnej kieszeni.

Lata, jakie upłynęły od czasu, gdy pojechał na Malte, przyprószyły białą jego faliste, gęste włosy i policzki jego opadły pod zwiędłymi, czarnymi oczyma i ociężał trochę, ale pozatem zachował swą krzepkość. Usta jego były czerwone i wilgotne pod pełnym wąsem.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — zawołał Louba, wskazując mu gestem, by zostawił broń w spokoju. — Ja zapytam się tylko, czego pan szuka w moim mieszkaniu?

— Chciałem tylko przeczekać, póki się pan nie położy.
— A potem? — zapytał Louba tonem, który wywołał śmiech da Costy.

— Nie bój się pan — nie przyszedłem tu, by pana zamordować — rzekł.

— Rozumiem! tylko po to, by mnie okraść!

— Nie. Po to, by otworzyć okno i pójść sobie do domu. Bo widzi pan — wszedł Miller i zamknął, zanim mogłem wyjść — a potem wszedł pan. Wobec tego, że tak lubię pańskie towarzystwo, więc czekałem, póki nie pójdzie pan do łóżka.

— Kradzieży dokonuje pan, gdy mnie niema! Tak! Mogę sobie wyobrazić, że nie jest pan złodziejem zbyt odważnym.

Da Costa podszedł do niego grożąco.

— O jeden raz za często! — ostrzegł. — Drogo pana będą kosztować te kpiny!

— Nigdy nie będę miał do zapłacenia więcej, aniżeli stać mnie na to. Gdy przyłapałem pana myszkującego koło okna przed tygodniem, zaprzeczył pan, że miał pan zamiar tu wtargnąć... Wdychiwał pan poprostu świeże powietrze!

— Nie miałem też żadnego zamiaru wejść. Wchodzę wtedy, gdy okno jest otwarte, a pana niema — odrzekł da Costa obelżywie.

— A więc wchodzi pan? Udawał pan, że odjeżdża pan, że zamyka mieszkanie — tak mi odpowiedział pan wtedy, by mnie oszukać i odwrócić moją uwagę.

Da Costa wzruszył ramionami.

— Interesuje mnie coś w pokojach pańskich, a pan mi przeszkadza tylko tem tropieniem mnie, jak podejrzliwy pies! — rzekł.

Louba chwycił go za ramię i pociągnął do światła tak, że twarz była w pełnym blasku.

— Masz to, czego szukałeś — warknął — dlatego taki pan odważny i w tak dobrym humorze!

— Jeśli mam, to i tak pan tego nigdy nie znajdzie! — zaśmiał się da Costa.

Louba potrząsnął nim.

— Mów pan, co ukradłeś! Powiedz!

— Puść!

Nastąpiła szarpanina. Da Costa oswobodził się i dyszał z oczyma i policzkami nabiegłymi krwią.

— Zrób to znów, Louba — wykrztusił z za ostrych, białych zębów — a ja uporam się z tobą w końcu ostatecznie!

— Oddasz, coś wziął?

— Oddasz mi to, co mi zabrałeś? nie raz jeden w tych minionych latach! — zawołał da Costa i nagle uśmiechnął się. — Tak, oddasz!

Louba spojrzał nań posępnie i oczy jego zwięzły się tak, że stały się szparkami.

— Nie opuścisz tego pokoju, póki nie oddasz tego, coś ukradł — rzekł.

— Dobrze — jeśli znajdziesz to, kochany Louba — przytakiwał da Costa wesoło. — Chodź, nie bój się i przeszukaj mnie!

Uśmiechając się podniósł ręce odkrywając zapraszająco swe kieszenie.

Podejrzliwie, po chwili niezdecydowania, Louba przeglądnął jego kieszenie, a da Costa rozkoszował się jego rozczarowaniem. Spojrzał na jego nogi.

— O, oczywiście — rzekł da Costa — zagłędnij do moich trzewików — to nie trudno. — Są to właściwie pantofle — a może tam być ładny zwój banknotów — prawda? może być?

Zrzucił pantofle.

— Mieszkamy w tak przyjemnej bliskości, że nie muszę się przebierać przed złożeniem ci wizyty.

Louba patrzył jak da Costa wciągał pantofle.

— No — zauważył — po tym żarciku może zechce mi pan powiedzieć, dlaczego istotnie się tu pan znajduje?

— Nie, nie czuję się usposobiony do dalszej rozmowy — odrzekł da Costa podchodząc do okna i odkręcając zakrętki ze swobodą, jaka świadczyła o poprzednim zaznajomieniu się z niemi.

— W takim razie zobaczymy, może będzie pan rozmowniejszy na policji!

— Chce mnie pan tem straszyć? — zapytał da Costa otwierając okno.

— Albo wytłumaczy się pan, albo oddam pana w ręce policji! — groził Louba wściekle i skoczył na da Costę, który przechylił się w tył i jedynie osztabowanie okna zatrzymało go przed spadnięciem na dół.

Louba skoczył za nim i pchnął go, aż ten oparł się plecami o sztabę wyjścia w razie pożaru. Louba wcisnął palce w jego szyję.

— Co zabrałeś mi! — zawył. — Powiedz mi, albo przetrzęcę cię w dół! — Przegiął głowę da Costy tak, że szyja jego nabrzmiała.

— Nie mogę — jeśli mnie dusisz — wykrztusił da Costa.

— Więc teraz! — rzekł Louba rozluźniając trochę chwyt.

— Nie wziąłem nic — widziałeś sam.

— Więc co tam robiłeś?

— Przyszedłem poszukać czegoś.

— A! Więc tak! A czegoż ty szukasz?

Da Costa ulepszał stopniowo swą pozycję — i teraz uderzył Loubę tak, że ten wpadł do pokoju, gdzie uderzył ciężko o stół i padł na podłogę, uderzając głową o krzesło.

— Na drugi raz, gdy podniesiesz na mnie rękę — rzekł zadyszany da Costa — będzie to ostatni raz, gdy na cokolwiek podniesiesz rękę! Pamiętaj!

Louba podnosił się z trudem.

— Przeklęty —

— A jeśli nie mam tego, poco tu przyszedłem — przerwał mu da Costa — to wiem, gdzie tego szukać. Możesz już wykręcić zakrętki z okien, bo ja tu już więcej nie przyjdę!

— Wykręcę je, ponieważ dogładnę tego, byś się dostał w ręce policji! — rzekł Louba podchodząc do telefonu.

— O! posyłaj po policję — kpił da Costa. — To tylko wymiana słów między nami! A jeśli nawet zechcę się przyznać, że tu byłem, że chciałem coś zabrać... to nie zdaje mi się, byś chciał, by policja zażądała sprawozdania w sprawie tego, co posiadasz, Louba! Pomyśl nad tem! Dobranoc!

Wbiegł żelaznymi schodami i zniknął w ołanie swego pokoju.

Louba odłożył słuchawkę. Miał więcej rzeczy, z których nie pragnąłby zdawać sprawozdania!

Zmarszczył brwi rozglądając się. Próbował domyśleć się, na co czyhał da Costa?

Podnosił jedną rzecz po drugiej wając w rękach, odwracając, szukając...

Podszedł do schowka w ukrytym rogu pokoju i wyjął rzeźbioną skrzynkę mosiężną, której już dawno nie otwierał: pełna była drobiazgów o względnie małej wartości, które mu się sprzykrzyły, więc usunął je ze swego widoku.

Zaczął wyjmować je ze skrzynki. Zauważył, że są w nieładzie, ale nie mógł być pewny, że to skutek poszukiwań da Costy.

Mały obrazek o nieproporcjonalnej ciężkości przyniósł do stołu, ale po skrobaniu nożem i usunięciu górnego pokładu pozłacanego metalu ujrzął ołów, który tłumaczył wagę.

Zawiedziony powrócił do skrzynki, w której pozostało tylko kilka rzeczy.

Pochyliwszy się, by wziąć coś błyszczącego się, podniósł wykładaną paciorkami szkatułkę, która wpadła w jego ręce w zaciemnionym pokoju w Bukareszcie. Nacisnąwszy fałszywe dno spojrział na pusty schowek. Powolny uśmiech skrzywił jego wargi. Czy to było możliwe? Czy da Costa sądził naprawdę, by rzecz ta mogła pozostawać w jego rękach, a on nie zdołałby odkryć tak małej tajemnicy? Czy ci, którzy wiedzieli o skarbie, jaki zawierała, sądzili, że on się tam jeszcze znajduje?

Nie wiedział, ale nie mógł nie skorzystać ze sposobności do żartu.

Włożył drobiazgi do skrzynki, a na samej górze położył szkatułkę. Pod fałszywe dno włożył kartkę papieru, na której napisał kilka słów do da Costy.

„Moje pozdrowienia! Gdybym tylko mógł wiedzieć, czego pan pragnie, to proszę, niech pan uwierzy, że prosiłbym pana o przyjęcie tak małego dowodu mojej życzliwości!”

— On ma rację — szepnął Louba wchodząc do sypialni.
— Nie ma pogo zabezpieczać okien, jeśli to jest wszystko, czego on pragnie!

ROZDZIAŁ X.

Człowiek, który przeciął drut alarmowy.

Następnego ranka Frank Leamington wstał niezdecydowany, czy ma się zobaczyć z Beryl, czy nie.

Jeśli dalej obstawać będzie przy poślubieniu Louby — lepiej, by się z nią nie zobaczył. Mogłaby tylko osłabić jego postanowienie uratowania jej za wszelką cenę.

Prosiła jednak, by przyszedł, gdy oboje będą trzeźwi: może właśnie osłabnie jej postanowienie? Trzeźwa myśl mogła ją skłonić do rozpatrzenia tej decyzji! Z rozpaczą powierzając się nadziei, poszedł.

Zastał ją czekającą na niego.

— Nie powinnam była prosić cię, byś przyszedł — rzekła, ujrawszy jego bladeść. — Lepiej było zakończyć wszystko wczoraj wieczór. I właściwie, ta rzecz jest zakończona — rzekła opadając bez sił na krzesło.

— O nie! Bardzo daleko do końca, Beryl!

— Frank! Uwierz! Musisz! Wyjdę za Loubę! Więc między nami — wszystko jest skończone!

— Być może — że narzeczeństwo nasze skończone. Ale napewno nie wyjdiesz za tego człowieka!

Spojrzała na niego bystro.

— Frank! nie będziesz próbował — utrudniać! — rzekła wstawiając to ostatnie słowo w miejsce innego, więcej znaczącego.

— Ja to uniemożliwię! Nic mnie nie skłoni, bym stał z założonymi rękami i patrzył, jak poślubiasz Loubę! Nie wiesz, kim on jest!

— Nie mów mi... Zaślubię go, kimkolwiek jest!

— Dlatego, że mu winna jesteś? tak? — Zaciśnęła wargi.

— Nie potrzebujesz odpowiadać! Mogę się domyśleć! Ale jednak... czy nie mogłaś przyjść do mnie, Beryl —

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Niema powodu, dla którego miałbyś płacić me długi!

— Niema? Sądziłem, że są powody — rzekł z wyrzutem.

— Powody, dla których muszę cię brać pod uwagę — rzekła.

— Brać mnie pod uwagę — to u ciebie znaczy zawodzić mnie dla takiej bestji?

— Tak... naprawdę, że tak... Może teraz nie uwierzysz, ale... — szarpała chusteczkę.

— Nie, Beryl! Czy zechcesz mi powiedzieć, wiele mu winna jesteś? Wierz mi, jak wysoką byłaby ta suma — to będzie mniejsza, niż to, ile będę mógł być zmuszony zapłacić za twoją wolność...

— Frank! Co chcesz uczynić?

— Wszystko, co będzie potrzebne, by cię uratować przed Loubą! Wszystko, Beryl!

— Nie! — położyła rękę na jego ramieniu. — Frank! Staram się nie niszczyć twego życia! Staram się, byś nie odpokutowywał za me szaleństwo — ty i moja matka! Ty napewno nie — nie unieścisz —

— Nie unieścisz twojej ofiary? Więc ty poświęcasz się, przyznajesz to? I czy sądzisz, że stracić ciebie dla mnie nie znaczy więcej, niż stracić — wszystko?

— Nawet, jeśli bym na to pozwoliła, nie będziesz mógł tego zapłacić! — zawołała — a jeśli byś mógł, to zrujnowałoby to ciebie. A pozatem mama — ty wiesz, jak muszę być ostrożna — a on nie chciał czekać — ani dnia! Zresztą — teraz za późno. Przyrzekłam...

— Przyrzekłaś!... Człowiekowi, o którym wiesz, że jest tak podły, że zmusza cię do małżeństwa szantażując twymi długami! Chociażbyś nie wiedziała o innych rzeczach dotyczących go, to jednak wiesz to jedno — i chcesz wyjść za niego!

— Robię to, co uważam za najlepsze, Frank — i staram się ponosić konsekwencje tego! — Głos jej drżał.

— To twoje ostatnie słowo? — zapytał. — Zerwanie?

— Tak — odrzekła słabo. — Zapomnisz, Frank... wnet... i będziesz szczęśliwy z kim innym... lepiej dla ciebie przejść ten ból teraz, gdy masz czas przyjść do siebie i zacząć nowe życie, aniżeli być zniszczonym bez nadziei dźwignięcia się!

Zaśmiał się ostro.

— Wszystko jedno, co się stanie ze mną, Beryl, o ile uratuję cię od tego łotra. Nie wyjdiesz za niego. Jeśli ty z nim nie zerwiesz — ja to zrobię!

— Frank! Co chcesz uczynić! — zawołała podbiegając za nim do drzwi. — Nie idziesz przecież do niego! To byłoby bezużyteczne! Pewna jestem, że ani chwili nie słuchałby ciebie!

— I ja też! On chciałby mnie widzieć na kolanach przed sobą! cieszyłby się wchłaniając moje prośby o litość, gdybym był na tyle szaleńcem, by je wznosić ku niemu! Wiem o tem, Beryl! Nie sądź, że będę z nim rozmawiał!

— Więc co możesz zrobić, Frank? — Wpatrzyła się rozszerzonymi oczyma w jego bladą twarz. — Tybys — tybys —

— Jabym go zabił! — zawołał gwałtownie. — I zabię! Raczej, niż widzieć cię żoną tego łotra!

Wyszedł pozostawiając ją z rękoma na ustach, oddychając nerwowo, próbującą powstrzymać płacz cisnący się jej do gardła.

Podbiegła do okna; mignęła przed nią jego zaciśnięta twarz.

Ubrawszy się szybko w płaszcz i kapelusz, porwała parę rękawiczek i wybiegła z domu, pędząc w kierunku, w jakim odszedł Frank Leamington. Biegła, gdy ujrzała, że zbliża się do Braymore House.

— Frank! — zawołała bez tchu kładąc rękę na jego ramieniu. — Nie idź! Nie wolno ci iść! Jeśli tak, to pójde z tobą!

— Nie bój się — rzekł gorzko. — Narazie nie grozi mu nic. Patrz!

Ruchera głowy wskazał przejeżdżającą taksówkę. Ujrzała ciemne, grube rysy Emila Louby, czytającego gazetę poranną.

— Czy mam cię odprowadzić do taksówki?

— Nie, wróćę pieszo. Nie wrócisz ze mną... choćby do bramy...

— Nie. Mam pewną sprawę... tutaj...

— Więc jednak idziesz do Braymore House?

— Mam tam pewną sprawę. Louba pojechał zapewne odwiedzić swą narzeczoną... wróć do domu!...

— O Frank...

Przycisnął jej rękę z goryczą i żalem.

— Wybacz mi, Beryl. Wiem, że chcesz jak najlepiej. Idź teraz. Nic nam nie pozostaje, jak tylko, by każde z nas robiło to, co uważa za najlepsze. Nie mamy już nic do powiedzenia sobie...

Uchylił kapelusza i stał trzymając go w ręce, aż odwróciła się i odeszła.

Idąc w kierunku Braymore House wszedł do budynku i zwrócił się do portjera z udaną swobodą i wesołością.

— Dzień dobry — wciąż tu jeszcze? — zauważył uśmiechnięty.

— No tak, ja — ależ to mr. Leamington! — zawołał portjer.

— Przypomina mnie pan sobie? Ale to już dawno temu, gdy brałem udział w budowie tego bloku!

— Tak. Czas leci, sir.

— A ognia nie mieliście — poco te nalegania, by wybudować to wyjście, które tak zeszpeciło budynek!

— Nie, na szczęście nie mieliśmy — zaśmiał się portjer. — Oczywiście, to jest brzydkie z architektonicznego punktu widzenia — ale takie wyjście jest w razie pożaru miłą, wygodną rzeczą, sir!

— Ma pan rację — a to specjalnie, o ile sobie przypominam, jest świetnie urządzone. Dlatego też tu przyszedłem. Zakładam takie w nowym budynku, przy którym pracuję,

i chciałem się przypatrzeć jeszcze, jak to jest urządzone. Czy może mi pan pokazać?

— Oczywiście, proszę pana. Pan wie, jaki jest mechanizm alarmu na wypadek włamania, prawda?

— Tak, wiem o tych kołach, gdy ktoś spuszcza drabinę aby dostać się na dół. Czy może mi pan pokazać, gdzie jest umocowany drut alarmowy?

— Proszę, sir.

Portjer był dumny, że przychodzi o naradę do niego sławny, młody architekt, toteż gorliwie tłumaczył wszystko, co wiedział i gotów był uczynić wszystko.

— Przypuszczam, że jest w porządku ten sygnał?

— O tak, doglądam go i próbuję co tydzień.

— Byłoby panu nie na rękę spróbować teraz? Oczywiście, jeśli nie, to —

— Ależ nie! tylko muszę ostrzec lokatorów... zechce pan poczekać.

— Owszem. Jest pan bardzo uprzejmy.

Wyjął parę stalowych nożyc i czekał w naprężeniu, aż zadzwoni sygnał. Zdawało mu się, że czeka długo i włosy jego były wilgotne, gdy sygnał wkońcu rozbrzmiał. Poskoczył — przeczekał w naprężeniu chwilę, by upewnić się, czy portjer nie powtórzy próby, potem szybko przeciął drut i włożył nożyce do kieszeni.

— Tak, działa świetnie — zainstaluję ten system — rzekł, gdy portjer wrócił. — Czy jest tu ktoś ze starych lokatorów?

Rozmawiał jeszcze z nim dość długo, by odwrócić uwagę portjera od alarmu, idąc z nim powoli ku głównemu wejściu. Wsunął mu mile widziany banknot do ręki.

— Dowidzenia! Dziękuję bardzo!

— Dowidzenia, sir. To drobnostka...

Portjer patrzył za nim długo.

ROZDZIAŁ XI.

Człowiek, który wziął to, czego chciał.

Wyciągając swe błyszczące trzewiki do żaru ognia na kominku, Hurley Brown w zamyśleniu patrzył na płomyki, które wybłyskiwały dokoła nowego kawałka węgla, dorzuczonego przez służącego.

— Pańskie poglądy są fundamentalnie niemoralne, Louba. Używam słowa niemoralne w szerszym znaczeniu — mianowicie uważam, że pańskie poczucie krzywdy i sprawiedliwości odstąpiło od normalnych osądów.

Emil Louba zaśmiał się. Jego wielka, szerokobarczysta postać, ciężko zbudowana i jego grube rysy tworzyły kontrast z postacią i rysami jego towarzysza. Włosy jego były gęste, czarne i błyszczące, wąsy szerokie i ułożone jak wówczas, gdy Hurley Brown spotkał go przed laty poraz pierwszy, a decorum londyńskiego klubu nie przyczyniło się do form ich rozmowy. Louba nigdy nie przestał znajdować przyjemności w okolicznościach, które pozwoliły mu na należenie do tego samego klubu z człowiekiem, który niegdyś okazywał tyle wzdąry dla niego, ani też w fakcie, że ich wspólna przyjaźń dla doktora Jana Warden obowiązywała Hurley'a Browna do uprzejmości różniącej się od dawnego jego sposobu traktowania Louby.

— To zależy od sposobu patrzenia — odrzekł Louba. — W życiu miałem tylko jedno prawo, którego się trzymałem: uzyskać to, czego chciałem i unikać przyznawania komuś czegoś... Czy to źle, czy dobrze — dla mnie to jest dobre. Jestem sobą. Świat dokoła mnie obraca się raz na dwadzieścia cztery godziny. Jestem bogiem mego wszechświata i odpowiadam tylko przed sobą. Zniszczyłem ludzi wielu dlatego, że to był jedyny sposób wzbogacenia się. Pragnę

bogactw! Ażeby uzyskać pieniądze, trzeba drugich ranić. Więc ranię. Rozumie pan, panie Hurley Brown?

— Rozumiem — rzekł bez przekonania kapitan Hurley Brown.

— Tam pisząc tak pilnie siedzi nasz przyjaciel Warden. To dobry człowiek, który nigdy nikogo nie zrujnował. I jest biedny. Ale przypuśćmy, że pan lub ja ulegniemy katastrofie w autobusie. Czy ręka jego zadrży przy ucinaniu naszych nóg? Nie! On umie już nie zwracać uwagi na ból. Jutro, gdybym skradł zegarek lub włamał się do jakiegoś domu, czy zawahałby się pan aresztować mnie? Nie! Posłałby mnie pan na szafot nie dbając wcale o to! To jest mózg wytrenowany.

Była to sobota, popołudniu mglistego grudniowego dnia, a palarnia Elect-Clubu była opuszczona. Byli tylko ci dwaj i doktor Jan Warden, którego zatrzymała w mieście operacja. Teraz zakleił list, który napisał i podawszy go służącemu, by zaniósł na pocztę, podszedł do rozmawiających, napelniając po drodze fajkę.

— Szkoda, że nie było cię tu przedtem, Warden. Ten pan wyluszczał swą filozofję.

— Co oczywiście było nieco niesmaczne — rzekł doktor z uśmiechem. — Nigdy nie wiem dobrze, czy Louba jest tak zły, jak powiada, czy wygłasza tylko sądy te, by szokować drugich.

— Żeby mnie szokować, trzebaby bardzo wiele — odrzekł cierpko Brown. — Zdawałem egzamin w szkole bardzo trenującej — i nawet Scotland Yard mało mnie nauczył w dziedzinie okrucieństw.

Louba zaśmiał się znowu.

— Jednak ja mógłbym panu opowiedzieć rzeczy — zrobiłem majątek na Wschodzie jak zdaje mi się wie pan —

rzekł odważnie patrząc na niewzruszoną twarz Browna — Tak, mógłbym panu opowiedzieć rzeczy —

— Niech pan nie mówi — rzekł doktor. — Niech pan opowie coś pięknego. Przez trzy godziny żyłem w atmosferze chloroformu i środków antyseptycznych i pragnę odpoczynku.

Louba skrzywił się.

— To okropnie — rzekł ostrząsnawszy się — i przypomina mi to ból, jaki wycierpiałem — właśnie tu — dotknął się nad biodrem. — Kiedyś musi pan to zobaczyć. Boję się wprowadzić lekarzy... Jeżeli mam coś, co jest bardzo niemiłe, to nie chcę o tem wiedzieć: Jeżeli nie jest to złe, to może mi pan powiedzieć.

Doktor Warden zaśmiał się łagodnie.

— Oglądnę pana dzisiaj. Mam czas. Spodziewam się, że wszystko to jest tylko sprawą przekarmienia i braku ruchu. Na koniec tygodnia zostaje pan w mieście, Brown?

Brown skinął głową.

— Poramy się teraz ze sprawą rabunku klejnotów na Berkeley Square i spodziewam się dzisiaj dokonać aresztowania. Niesłychana zbrodnia! Człowiek, który ją popełnił — ale czytał pan o tem w gazetach?

Mr. Louba popatrzał na zegarek i wstał.

— Zbrodnia jest dla mnie równie interesująca jak operacja — rzekł. — Może pan przyjdzie dziś wieczór, doktorze?

— Przed kolacją, ponieważ umówiłem się tu na kolację.

— Czy o siódmej — to za późno?

— Nie. Więc o siódmej. Pan mieszka wciąż w Braymore House? Dobrze, przyjdę i zbadam pana.

Gdy Louba odszedł, Hurley Brown zwrócił się do doktora z wyrazem wybitnej niechęci odbijającej się na jego łagodnej twarzy.

— Nie lubię Louby...

— Nie? — zapytał doktor leniwie. — On prawdopodobnie jest przechwalony. Niektórzy ludzie lubią przesadzać swe podłości. Louba należy do nich. Nigdy nie studjowałem specjalnie tego rodzaju typów — nie przestudjowałem specjalnie jego charakteru — ale on nie jest gorszy od ludzi swego rodzaju. Jest niezmiernie bogaty i niezmiernie wschodni. Matka jego była Turczynką — opowiadał mi kiedyś — ojciec zaś pochodził z Malty, był synem Greka i Smyrnenki.

— Jak dawno zna go pan? — spytał Brown po długim milczeniu.

— Co? — doktor zdrzemnął się. — Kogo, Loubę? O, lata już... Naprawdę, wszystko z nim jest w porządku. Lubię go do pewnego stopnia. Był mi kiedyś bardzo pomocny. Nigdy nie zapomnę jego uprzejmości w krytycznym okresie mego życia.

Zamknął oczy i znów drzemał, a Hurley Brown powrócił do swego wpatrywania się w żarzący się węgiel i myśli, skupiających się koło zdarzenia w Berkeley Square.

— Louba żeni się.

Doktor rozbudził się. Był on po słonecznej stronie sześćdziesiątki, kiedy to ludzie pracujący umysłowo łatwo drzemają.

— Co takiego? Żeni się?

— Tak, z Beryl Martin, tą bardzo ładną dziewczyną.

— Tak? Mocny Boże! nigdy nie pomyślałbym, by Louba mógł się ożenić! — Doktor chciał się utrzymać w pozycji siedzącej i poprawił szkła. — A Beryl Martin — zdawało mi się, że jest ona zaręczona z Leamingtonem. Hohoho!

— Ja też tak sądziłem. Widocznie zerwała z nim. Ona wychodzi za Loubę za specjalnem pozwoleniem we czwartek i jadą do Paryża na miodowy miesiąc.

Doktor w zamyśleniu tarł brodę.

— Dziwna rzecz — rzekł. — Louba — żonaty...

ROZDZIAŁ XII.

Człowiek w mieszkaniu.

O szóstej doktor Warden przybył do swego mieszkania przy Devonshire Street i przebrał się w ubranie wieczorowe. Umówił się na kolację ze starym przyjacielem doktorem i zapomniał o swem umówieniu się z Loubą, aż przypomniał sobie w połowie schodów. Wrócił po swój stetoskop i wsunął go do kieszeni płaszcza.

Louba! Nie, nigdy nie wyobrażał go sobie jako żonatego! Doktor raczej lubił Loubę — z jego wspaniałemi wadami i dziwnym akcentem i ową silną metodą oponowania.

Mgła zrzędła w okolicy Braymore House — fakt, który zauważył w liberję ubrany portjer w hallu.

— Pan jest doktor Warden — prawda? — zapytał.

— Tak — uśmiechnął się doktor — ma pan dobrą pamięć.

— Powiniennem mieć — odrzekł portjer. — Jestem tu od zbudowania domu. Był tu dziś rano jeden pan, którego przypominałem sobie, chociaż nie widziałem go od czasu, gdy Braymore House był w rękach malarzy — mr. Leamington. Był pomocnikiem architekta — choć teraz pracuje na własną rękę.

— Mr. Leamington! — doktor był zainteresowany. — Czego on tu chciał?

— Chciał poprostu obejrzeć — powiedział, że buduje nowy blok i chciał widzieć, jak skonstruowane jest wyjście w razie pożaru i sygnał. Pokazałem mu. Czy mam pana odwiedzić?

Doktor potrząsnął głową. Przedtem już zapoznał się z windą automatyczną. Drzwi mieszkania Nr. 2 były trochę wgłębione w oszklonym korytarzu, a po naciśnięciu dzwonka otwarły się.

— Doktor Warden? proszę wejść.

Służący o twarzy wychudłej poznał go natychmiast. Ku zdziwieniu doktora miał na sobie płaszcz, ale pierwsze słowo Millera wytłumaczyło to:

— Mam dziś wychodne — mr. Louba powiedział mi, że mogę pójść, lecz wiedziałem, że ma pan przyjść — a także chciałem poczekać, aż tamten pan pójdzie.

— Mr. Louba ma gościa?

Brwi Millera podniosły się.

— Gościa? Czy nie słyszy ich pan?

Doktor usłyszał już, chociaż między przedpokojem a pokojem Louby były ciężkie drzwi i portjery. Doszły go niezrozumiałe słowa — ale słyszał wyraźnie ryk Louby i chrypliwe słowa gościa...

— Oni tak już od kwadransa młóca zęb za zęb — rzekł Miller. Popatrzał na zegar. — Panie doktorze — czy zechciałby pan tu poczekać. Mogę pana poprosić do jadalni, tylko —

— Nie martw się tem — poczekam tutaj. Wychodzisz?

— Moja młoda pani czeka na dole — rzekł Miller. — Nie mogę jej tam zostawiać samej. Umówię się z nią na później — wrócę najdalej za kwadrans.

Było trzy minuty po siódmej. Doktor umówił się na pół do ósmej w klubie.

— Niech pan słuca! — rzekł Miller przerażonym szeptem.

Głosy podniosły się. Doktor usłyszał słowa:

— Ona uczyni to, co ja chcę — wołał Louba.

— Możesz iść, Miller i nie kaź mi tu czekać dłużej, niż kwadrans.

Zadowolony Miller wysliznął się i wrócił za czternaście minut. Zastał doktora siedzącego pod lampą i czytającego. Krzyki kłócących się ustały.

— Chciałbym, byś powiedział panu, że nie mogę czekać dłużej — rzekł, składając gazetę. — Gość już poszedł zapewne, gdyż nie słyszałem krzyków od jakich pięciu minut.

Miller zdjął płaszcz i ułożył włosy ręką. Doktor Warden słyszał, jak zapukał i czekał. Miller powrócił.

— Nie odpowiada, proszę pana — rzekł — to czasem tak bywa — jest zbyt zły, by kłać nawet. Czy zechce pan sam spróbować?

Doktor Warden ruszył się niecierpliwie i poszedł za służącym. Nacisnął klamkę — drzwi były zamknięte.

— Louba! — zawołał.

Nie było odpowiedzi.

— On jest w sypialni — tłumaczył Miller — ale zdaje mi się, że nie przyjmie pana. Czasem jest on okropny. Widziałem, jak ciskał meblami, gdy mu się coś nie powiedzie. Czasem siedzi w sypialni i nie chce widzieć nikogo.

— Nie słyszałem, by gość odszedł — rzekł doktor.

— Może pan poczeka. — Miller pobiegł korytarzem do kuchni. Wąskie przejście kończyło się drzwiami, które były otwarte. Naprzeciw były kamienne schody dla służby. — Musiał odejść tędy — przyszedł też tędy i zdawało mi się to śmieszne.

— Kto to był?

— Elegancki mężczyzna około 35 lat, wyglądał sportowo — wydawał mi się trochę upity. Nie widziałem go dobrze, gdyż światła w korytarzu nie było. Ale gdy tylko pan usłyszał go, wyszedł i poprosił go do pokoju.

Doktor dotknął stetoskopu w kieszeni płaszcza.

— Jeżeli zechce mnie zobaczyć, to wpadnę tu po jędnastej. Zatelefonujesz do Elect-Clubu.

Gdy wrócił do klubu, zastał bilet, ale nie od Louby. Jego przyjaciel przeziębził się i żałował bardzo, lecz nie mógł się stawić. Hurley Brown spojrzął na doktora, gdy wchodził do jadalni.

— Gość zawiócił? Siadaj pan ze mną. Nudzę się. Jak się ma Louba?

Warden uśmiechnął się:

— Louba, stosownie do słów Millera, grymasi. Gdy przyzedłem, nasz przyjaciel ze Wschodu awanturował się z kimś i nie chciał czy nie mógł przyjąć mnie.

Skończyli kolację i przeszli do palarni. Byli jedynymi tu gośćmi — doktor z fajką, a Brown z papierosem w cienkich wargach. Przez pół godziny milczeli. Wkońcu Brown rzekł:

— Gdy byłem z mym pułkiem na Malcie, Louba był tym bankierem, który miał w łapach połowę ludności.

— O! Jest pan jakiś zły na Loubę dzisiaj?

— Jestem — odrzekł ponuro. — Poprostu ogarnia mnie wstręt, gdy widzę go tu, w tym klubie — jako członka! I pomyśleć, że on ma poślubić narzeczoną Franka!

Poczuł nacisk trzewika doktora na swoim i spojrzął. Właśnie wszedł do pokoju Frank Leamington.

Pierwszą rzeczą, jaką doktor zauważył, była śmiertelna bladość tego człowieka. Zdawał się nie wiedzieć, co się dzieje dokoła niego. Przeszedł do półki z książkami i wyjąwszy książkę, przekartkował ją szybko. Znalazł to,

czego szukał i wyszedł. Hurley Brown wstał i przejrzał tę samą książkę. Był to rozkład jazdy...

— Ciekawy jestem, dokąd Frank jedzie — rzekł, wracając do doktora.

O pół do dziesiątej Hurley Brown udał się do Scotland Yard.

— Pojadę do Louby — może już przyszedł do siebie po tym złym humorze — rzekł doktor, strzepując popiół z fajki. Wyszli razem.

Znowu wyjechał Warden na drugie piętro, ale tym razem portjer wyjechał z nim. Dzwonek windy zadzwonił po chwili. Spojrzawszy na wskazówkę, portjer podjechał na trzecie piętro. Doktor stał wciąż cierpliwie przy drzwiach, gdy winda minęła go. Nie było nikogo na trzecim piętrze, więc portjer spuścił windę.

— Czy dzwonił pan?

— Nie. Zdaje mi się, że ktoś jest na górze, ale nie będę czekał dłużej. Właśnie przypomniałem sobie, że Millera niema w domu.

— Pewnie zeszedł schodami służbowymi — rzekł portjer.

— Nigdy nie widzę, gdy wchodzi, czy wychodzi. To jest jedyny blok, gdzie jest specjalne wejście dla służby.

Doktor spojrzął na zegarek.

— Trzy na dziesiątą — rzekł. — Pana zegarek stanął zdoje się.

Portjer obejrzał się.

— Tak, ale szedł dziś popołudniu.

Doktor Warden czekał chwilę na schodach. Potem wyszedł w mgłę. Gdy szedł ku czekającej taksówce, minął go jakiś człowiek. Białe promienie lampy ulicznej pokazały mu jego twarz na mgnienie sekundy. To był Frank Leamington!

Doktor oglądał się — nie ulegało wątpliwości. Miał szary płaszcz, jak wtedy, gdy wszedł do klubu.

Jan Warden był przerażony, gdy przyszło mu na myśl, że człowiek ten musi nienawidzić Loubę! POCO szedł tam? Przypuśćmy, że chęć zemsty na człowieku, który odebrał mu Beryl Martin — przypuśćmy, że wszedł do mieszkania...

To była nieprawdopodobna hipoteza! Podeszedł z powrotem kilka kroków, ale Frank już zniknął.

— Zbieg okoliczności — pomyślał doktor i zapalił fajkę.

Gdy powrócił do klubu, Hurley Brown siedział przed ogniem.

— Czeka na pana list. Przyszedł też przed moim powrotem — rzekł Hurley.

Służący przyniósł na tacy arkusik papieru. Doktor włożył okulary i czytał:

„Odebrane o 9.50.

Mr. Louba chciałby widzieć się z dr. Warden'em jutro o 11 godzinie.“

— To dziwne! — Doktor przeczytał głośno. — Musiał telefonować kilka minut po odejściu mojem z Braymore House.

— Niech go diabli! — rzekł Hurley Brown tak dosadnie, że doktor aż wzdrygnął się. Nie dał jednak żadnych komentarzy, i po chwili zaczął mówić o innych sprawach. Zaaresztował rabusia, a wyprawa, planowana na domek w Lambeth, została uwięczona powodzeniem.

Najwidoczniej niechętnie myśleli o wyjściu w tak mglistą noc i przedłużali siestę przed kominkiem. O kwadrans na dwunastą doktor zerwał się.

— Chodźmy, Brown! Służba musi też iść spać.

Pomagano im ubierać się, gdy telefon w hallu zadzwonił gwałtownie.

— Do mnie? — spytał doktor, śpiesząc do oszklonej budki.

— To pan, doktorze? — był to głos Millera. — Proszę przyjść natychmiast, dobrze? — Głos ten był pełen przerażenia i Warden prawie że mógł słyszeć szczękanie jego zębów.

— Co się stało?

— Lokatorzy pierwszego piętra przyszli zawiadomić, że z sypialni mr. Louby spadają przez sufit krople krwi!

ROZDZIAŁ XIII.

Czuwający.

Gdy ponury dzień zimowy chylił się ku zachodowi, wzrastały obawy Beryl Martin. Jaką sprawę mógł mieć Leamington w Braymore House? Nie mogła tego pojąć... Tylko mając w pamięci jego twarz, nie mogła się uwolnić od podejrzeń, że udał się, by obejrzeć budynek za dnia z zamiarem wynalezienia sposobu wtargnięcia tam w nocy...

Rozsunąwszy zasłonę, wyrzała w mgłę i zdała sobie sprawę, że jest to noc doskonała dla wykonania tak rozpaczliwych planów. Chodziła z pokoju do pokoju w stanie niezmiernego podniecenia, odpowiadając w roztargnieniu na pytania matki.

W końcu, gdy dalsze czekanie stało się niemożliwe, zamieniając obawy jej w pewność tak, że prawie widziała go, jak wchodził do mieszkania i stawiał czoło Loubie z tą bladą, skurczoną twarzą, której nie mogła zapomnieć, ubrała się i wyszła na ulicę, prawie biegnąc w stronę Braymore House, jakby on w tej chwili miał tam wejść i ona bała się, by nie było zapóźno na powstrzymanie go.

Gdy przybyła, nie mogła złapać tchu.

Liczne okna budynku błyszczwały przez mgłę. Łatwo było jej obserwować, nie będąc widzianą, ale równie łatwo było Leamingtonowi, przejść tuż koło niej tak, by o tem nie wiedziała. Gdybyż tylko dokładnie wiedziała, które były okna Louby! przynajmniej mogłaby wpoić w nie swe oczy i patrzeć, czy ktoś w tę stronę nie idzie!

Teraz, gdy stała w miejscu, zdała sobie sprawę z daremności tej obecności i nieprawdopodobieństwa z tak dziwnego zbiegu okoliczności, by mogła go przyłapać i uprzytomnić. A było to także zarówno za wcześnie, jak i zapóźno na to, by Louba był w domu. Jeśli Frank ma przyjść, to napewno przybędzie w nocy, długo po powrocie Louby z jego wieczornych rozrywek.

Jednak nie mogła się oderwać.

Ilekrót zabrzmiały kroki, udawała, że tylko przechodzi koło domu, ale wciąż powracała do miejsca, skąd zdawało się jej, że może obserwować okna Louby.

Zgniotła okrzyk, gdy jakaś ręka spoczęła na jej ramieniu.

— O! — kto to? — wyszeptwała drżąc i odetchnęła lżej, gdy zobaczyła, że nie jest to policjant.

— Musi pani być zimno — czeka pani już długo — rzekł łagodny głos i ujrzała, że jest to mały człowiek o delikatnej, miłej twarzy.

— Skąd pan wie?

— Bo ja także czekam — odrzekł.

— Czekają pan? Na co?

— Poprostu, by zobaczyć, co się dzieje. Pani śledzi okna Louby, prawda?

— Jakto — nie... ja nic nie śledzę... Ja tylko... przechodzę tędy — rzekła i odeszła, a mózg jej wirował w zamieszaniu.

Kto to mógł być? Czy było możliwe, by był to ktoś z policji, czyhający na Franka? Odrzuciła tę myśl jako absurdalną, a jednak obawy jej wzrosły.

Obeszła szybko blok budynków i powróciła znów tam, do miejsca, gdzie przemówił do niej mały człowiek.

Nie było nikogo. Pochyliła się nad barjerą, otaczającą ogrody, i zastanawiała się, czy nie ostrzec Louby, by do końca swego pobytu w Anglii trzymał się zdala od swego mieszkania. Ale odrzuciła tę myśl. Tę tylko wplątało Franka, a ona chciała go ratować.

— To są okna Louby — rzekł ten sam łagodny głos.

— Dlaczego stoi pan tutaj? — zapytała. — Mówi pan, że czeka, by zobaczyć, co się dzieje... Czego się pan spodziewa?

— O, nie wiem — ale czuję się ostatnio bardzo podnieśiony na duchu. To było długie czekanie, ale czuję, że teraz prawie już skończone.

— Jak długo czekał pan?

— O, wiele lat! wiele lat!

— Lat? Ja chcę zapytać, jak długo czeka pan tutaj...

— Prawie od zmierzchu...

— I widział pan, by ktoś wszedł? — spytała bez tchu.

— Pani ma na myśli — przez okno? — zaśmiał się.

— Owszem, oczywiście... także i przy innych sposobnościach... Przypominam sobie już lata temu — —

— Kto wszedł przez okno?

— Jakiś człowiek... jakiś człowiek, w którym pokładałam wielkie nadzieje... I wyszedł — i nie jestem zupełnie pewny —

— Jak dawno temu — jak dawno temu wyszedł?

— O, dawno już — popatrzał bacznie na nią, gdy ona wahała się między ulgą a przerażeniem. — To nie był ten, o którym pani myśli — dodał.

— Co pan ma na myśli — skąd pan wie! — zawołała.
— Czy pani nie jest tą dziewczynką, którą Louba zmusza do poślubienia go?

— Co... pan... — przerwała w osłupieniu...

— Patrzałem zeszłego wieczoru przez okno — rzekł spokojnie. — Nie słyszałem ani słowa, ale dokładnie wiedziałem, co się dzieje. Widziałem wasze twarze. Widziałem papiery, jakie pani pokazywał... Ja znam Loubę bardzo dobrze! — zakończył z pewnego rodzaju zadowoloną dumą.

Cofnęła się.

— Kim pan jest? — zapytała.

— Nazywam się Weldrake. Nie jestem kimś specjalnym... Tylko niegdyś miałem syna — on był inny — on był wielki, ładny chłopiec... On —

— Pan patrzył przez okno? — spytała.

— Tak — odrzekł zamyślony — przypuszczam, że się to wydaje bardzo źle... Wiem, że niegdyś wydawałoby się tak... Ale to już dawno temu... Widzi pani, jeśli żyje się nadzieją, jak ja — to czasem musi się mieć —

— Czego się pan spodziewa — przerwała.

— Obiecałem memu chłopcu, że będzie pomszczony. Obiecałem mu, że nie spoczne w domu, aż się tak nie stanie. I czekaliśmy długo — a każdy dzień przysparzał Loubie nieprzyjaciół. Teraz to już nie może długo trwać. Niech się pani nie smuci... Tylko trochę odraczać małżeństwo, i będzie pani uwolniona od niego... Naprawdę, być może, że jutro rano...

Chociaż wyglądał łagodnie, jednak uśmiech jego przerażał ją. Jego poufny sposób mówienia — zdawało się, że jest w nim coś nienormalnego — co on wiedział o Franku? Co podejrzewał?

— Nie chcę być uwolniona — rzekła — stoję tu tylko dlatego, że się o niego boję.

— Tak. Pani była zaręczona z tym młodym chłopcem, z którym wczoraj wracała pani do domu. Pani boi się, że on zabije Loubę.

— Nie — nigdy nie myślałam o czemś podobnem! — zawołała. — Nie rozumiem tego, co pan mówi — ani dlaczego pan tu czeka... Zdaje mi się, że byłoby lepiej, by pan odszedł, zanim policja nie przyjdzie się dowiedzieć, co pan tu tak śledzi...

Chociaż próbowała nadać siłę głosowi, to jednak drżała cała, gdy odchodziła.

Nie miała odwagi powrócić do tego samego miejsca, więc przeszła przez ulicę, patrząc na szparę światła, związając się w storach okna Louby, oczyma, które pragnęły przesyć te mury i zobaczyć, co się tam wewnątrz dzieje.

Gdyby była w stanie uczynić to, ujrzałaby coś takiego, że wołałaby pozostać ślepa.

Emil Louba leżał martwy w swem łóżku z oznakami gwałtownej śmierci. Obok łóżka, wpatrzony w niego, stał Frank Leamington.

Przysiągł, że zabije Loubę raczej, niż zezwoli na poślubienie go przez Beryl. Ale teraz, gdy czyn ten był dokonany, groza ogarnęła go, gdy patrzył na te ohydne zwłoki człowieka, którego nienawidził...

Cofnął się do okna, jakby w zamiarze ucieczki — ale z wysiłkiem powstrzymał się. W każdym razie człowiek ten zasłużył na śmierć! Beryl była wolna! Ale zakończy swą sprawę...

Przeszedł do następnego pokoju i słuchał w naprężeniu. Przycisnął ucho do zamkniętych drzwi, ale słyszał tylko ciszę.

Powrócił do biurka i gorączkowo zaczął przeszukiwać szuflady. Nie znajdując kwitów, jakich szukał, naprężając uszy na każdy szelest, zrezygnował z poszukiwań i powrócił do sypialni. Nie spojrzawszy nawet na sztywną postać

na łóżku, pośpieszył ku oknu i wyszedł wyjściem na wypadek pożaru, połączonem teraz z drabiną, którą tak bezszelestnie ustawił.

Mgła była gęstsza niż wtedy, gdy Beryl opuściła dom i ciemność opuściła się czarna. Chroniło go to przy przedstawianiu się do bramy.

Wyciągnięta jego ręka dotknęła ręki innej osoby — i gdy ochłonął, zawołał:

— Kto to?

Beryl zgmiotła okrzyk.

— Frank!

— Beryl, o, chodź stąd!

Ujął ją za rękę i popędził na ulicę.

— Co tu robisz, Beryl? — zapytał.

— Chciałam iść... do Louby... Nie mogłam znieść już dłużej...

— Chciałaś iść do Louby!

— Tak. To wydawało mi się jedynem... Widziałam jak ktoś czekał i chciałam powiedzieć mu... Był to mały człowiek i nie byłabym wspomniała o tobie...

— Chciałaś iść do Louby o tej porze w nocy?

— Nie wiedziałam, czy ty jesteś tam... czy byłeś... czy przyjdiesz... Nie mogłam wrócić do domu, zanim nie dowiem się... Więc chciałam się z nim zobaczyć — i gdyby był w domu, mogłabym mu powiedzieć, że widziałam człowieka czekającego na dole — i ostrzec go. Czy on jest tam — Louba czy jest? u siebie?...

— Tak... On jest tam...

— Widziałeś się z nim? Frank? pokłóciłeś się z nim... Ty... — Nie miała odwagi zapytać wyraźnie o to, czego się bała.

— Musisz wrócić do domu, Beryl i nie mów nikomu, żeś tu była. Czy ktoś widział cię?

— Nie wiem — zdaje się, że nie. Ale powiedz mi, co ty zrobił, Frank?

Gdy tuliła się do niego, w głosie jej było dziwne przeżalenie.

— Proszę powiedz mi... ja muszę wiedzieć... Frank!

— Nic nie zrobiłem — idź do domu, Beryl. Ja chcę namyśleć się nad temi rzeczami...

— Mówisz, że Louba jest tam? Coś musiało zajść między wami!

— Beryl, nie mogłem znaleźć twych kwitów. Na ile opiewały? On je miał, prawda? Widziałaś je sama?

— Tak — 50 tysięcy funtów. Miał ze sobą wczoraj u sir Harry Marshley'a.

— I nie zniszczył ich, gdyś obiecała wyjść za niego?...

— Nie — chciał dopiero po ślubie — powiedział, że mi potem je da. O, nie martw się ani niemi, ani mną... To o ciebie chodzi, Frank. Powiedz mi, co się stało?

— Zdaje mi się, że to nic, czy znajdą się, o ile chodzi o ciebie... Niktby cię nie mógł oskarżać... I on niema spadkobierców, o ile wiem... — Popatrzał na Braymore House, jakby myślał o powrocie i powtórnem poszukiwaniu.

— Jak mogłeś szukać, jeśli on tam był — chyba że... — słowa zamarły na jej ustach.

— Idź do domu, Beryl, idź do domu! — błagał, wskazując w kierunku Edward Square. — Ale nic nie wiesz o dzisiejszej nocy! Nie przyszłaś tu! Nie widziałaś mnie! Idź szybko do domu!

— Nie mogę, Frank — póki nie będę wiedziała — nie mogła wypowiedać słów w drżeniu warg i zlitował się nad nią.

— Beryl — rzekł, pochylając się ku niej. — Widziałem Loubę — ale przysięgam, że nie zrobiłem mu nic złego... Nie pytaj o nic — tylko uwierz w to i idź do domu!

Uwierzyła z wdzięcznością, z niewypowiedzianą ulgą. Nie chciała stawiać dalszych pytań o jego odwiedzinę u Louby. Była więcej niż zadowolona, że może uchwycić się jego zapewnienia i zniszczyć wszystko, co mogłoby tem zachwiać.

— Więc nie odprowadzisz mnie — zapytała.

— Nie, Beryl — wybacz — ja —

— Dlaczego chcesz tu czekać?

— Nie, nie będę. Mam się spotkać z przyjacielem — i to wszystko!

Prawie odbiegł od niej, znikając tak nagle we mgle, że podniecenie jego głosu zdawało się drżeć jeszcze w powietrzu, gdy zamarł już dźwięk jego kroków.

Zmusił się teraz do chodzenia i odskoczył nerwowo, gdy zabrzmiały za nim lekkie, drobne kroki. Przycisnął się do muru, czekając, by minęły go. Lecz zatrzymały się przy nim.

— Co z Loubą? — zapytano gorącym szeptem. Pot oblał Franka.

— Co — — czego pan chce —

Wpatrzył się w twarz stojącego przed nim.

— Jestem tak zainteresowany Loubą — szepnął łagodny głos. — Widziałem, jak pan wchodził i wychodził. Cieszę się, że odesłał pan tę dziewczynę do domu. To niema sensu, by była w to wmieszana.

— W co? — rzucił ostro Leamington.

— Jakto... Czy nie powiedział pan, że Loubie coś się stało?

— Nie! nie mówiłem tego!

— Oczywiście — ma pan rację nie mówić o tem — zgodził się uprzejmie mały człowiek.

Gardło Franka ścisnęło się, ale zmusił się do walki:

— Myli się pan — rzekł — nie znam nikogo o tem nazwisku i nigdzie nie byłem.

— Nie, oczywiście, że nie — rzekł z taką zgodliwością, że dla przeciągniętych strun nerwowych Franka zawierało to maximum groźby. — Ale niech pan teraz stąd idzie — jak najprędzej!

— Dlaczego mam odchodzić? O czem pan mówi? — zawołał Frank. Opuszczało go panowanie nad sobą.

— Cicho... Cicho... On zamordował mego syna — i ja wiedziałem, że zapłaci za to — nigdy nie straciłem wiary — ani na chwilę przez tyle lat! Nie można mordować i bezkarnie umrzeć! Morderstwo nie może być zmyte nawet na takim świecie. Czekałem. Poszedłem za nim — szedłem długą drogą — ale — zdaje mi się, że wkońcu mogę wrócić do domu — rzekł z uśmiechem, który w swej szczęśliwości był upiorny dla Franka Leamingtona. Ogarnęło go przerażenie. Chciał odejść od tego małego człowieka, który wyłonił się z mgły, by zająć mu w duszę. Pragnął oddalić się od mieszkania Louby.

— Pan jest obłąkany! — rzekł z wysiłkiem i odbiegł...

ROZDZIAŁ XIV.

Człowiek, który spalił list.

W kilku słowach Dr. Warden zdał sprawozdanie czekającemu komisarzowi i Hurley Brown wyszedł po taksówkę.

Mimo gęstości mgły dostali się do Braymore House w przeciągu 10 minut i zastali w hallu dwu policjantów, rozmawiających z portjerem i bladym, drżącym Millerem.

— Dzięki Bogu, że pan przyszedł, doktorze! — wykrztusił. — Próbowałem dostać się do pokoju mr. Louby, ale był zamknięty. Posłałem po policjantów —

— Dobrze zrobiliś — rzekł uspakajająco Brown. — Niech jeden z was pójdzie ze mną — drugi niech zostanie na dole. Jestem komisarzem — Hurley Brown ze Scotland Yard.

W windzie opowiedział im Miller — wyszedł z przyjaciółką i wrócił o jedenastej. Nie zauważył nic nadzwyczajnego, tylko to, że drzwi jego pana były wciąż zamknięte. Chciał się już położyć spać, gdy przybył portjer ze służącym z mieszkania na pierwszym piętrze. Wtedy zatelefonował. Nie wiedział nic więcej.

— O której wróciłeś? — spytał Brown.

— Dokładnie o pół do jedenastej — godzina była, gdy wchodziłem.

— O 9.50 żył jeszcze napewno. O 10.30 nie słyszałeś nic? W kwadrans potem mieszkańcy pierwszego piętra ujrzeni czerwoną plamę na suficie. Musiało upłynąć przynajmniej 10 minut, nim przemokło.

— Może to jednak nie jest krew — może wywrócił czerwony atrament — poddał doktor.

— Czy jest atrament w jego sypialni?

— Tak, sir, tam jest biurko.

— Spodziewajmy się jaknajlepiej.

Próbowali wyważyć drzwi, ale oparły się.

— Przynieś siekiere — rozkazał, a w kilka minut później policjant zaczął uderzać siekiere w drzwi.

Po drugim uderzeniu odleciała deska, a Brown włożył rękę szukając klucza.

— Niema klucza — rzekł — trzeba rozbić zamek.

Nastąpił deszcz ciosów krzepkiego policjanta i drzwi otwarły się.

Wejrzeni w wielki, bogato umeblowany pokój — głębokie fotele stały oparte o mury, a podłoga pokryta była wspinałym tureckim dywanem. Na środku pokoju stało biurko

z drzewa imitującego bronz, z telefonem. Koło wgłębień okiennych zasłoniętych jedwabiem, stało małe biurko. Rozglądnęli się, ale nie było Louby.

— Co to?

Policjant wskazał. Był to jedwabny szlafrok zarzucony na krzesło. Brown podniósł go i krzyknął — popatrzał na rękę, gdyż rękawy szlafroku przesiąknięte były krwią.

— Nie dotykać się tego — rzekł. — Proszę uważać, doktorze — więcej jest czerwieni na podłodze.

Spojrzeni na piękny kominek. Był pusty. Pośrodku leżał tylko mały stos popiołu. Na lewo od kominka wskazał Miller na drzwi.

— Tam jest sypialnia, tam — szepnął drżącym głosem.

Brown otworzył drzwi i wszedł. Światło płonęło w srebrnych świecznikach. Na niskim łóżu leżał trup Emila Louby. Nie potrzeba było badania lekarskiego. Głowa jego była okropnie strzaskana.

— Okno jest otwarte — rzekł Brown — dokąd prowadzi? — Przeszedł i wyglądął. — Wyście w razie pożaru? Proszę zejść do drugiego policjanta i dokładnie przegłądać ogród. To tłumaczy nieobecność klucza w zamku. Morderca uciekł tędy — z kluczem w kieszeni.

Ujął słuchawkę i zażądał centrali.

— Jestem urzędnikiem policyjnym — rzekł — i chcę wiedzieć, kto telefonował tu dziś wieczorem.

Czekał przez chwilę.

— Raz telefonowano o 9.50 do Nr. 12703 Mayfair.

Brown skinął — to był Nr. Elect-Clubu.

— Teraz poproszę o Scotland Yard — rzekł — Treasure 850.

Wrócił do sypialni.

— Posłałem po inspektora Trainor. To sprawa, której nie chcę sam rozpoczynać. Byłem uprzedzony do Louby

i chcę kogoś, kto więcej serca włoży w te poszukiwania. Nie widział pan nikogo, doktorze, gdy był tu pan ostatni raz?

Dr. Warden przypomniał sobie twarz we mgle, ale potrząsnął głową:

— Nie widziałem nikogo, tylko portjera — odrzekł. Przerwał im telefon. Zgłosiła się centrala.

— Przykro mi, sir, ale pomyliłem się. Jedna rozmowa była jeszcze o 6.30 dziś wieczór — przejrzałem listę dzienną.

— Od kogo?

— To był numer z Kensington. Przejrzałem i przekonałem się, że telefonowała miss Martin, 303, Edward Square.

— Dziękuję — rzekł Brown i zawiesił słuchawkę.

— Od kiedy nieżyje?

Dr. Warden patrzył w zamyśleniu na zwłoki.

— Nie żyje od godziny — może mniej nawet... Uderzono go czymś bardzo ciężkim...

— Nie przeszukałem pokoju, ale pewnie znajdziemy — rzekł Brown.

Nie musieli szukać długo. Na biurku stał wielki, srebrny lichtarz tak postawiony, że wydawało się pewnym, że pierwotnie były tam dwa takie. Drugi odnaleziono w jadalni — był skrwawiony. To była broń, jakiej użył morderca.

Wkrótce potem przybył inspektor Trainor, który natychmiast zajął się sprawą. Chodził po mieszkaniu węsząc jak dobrze wyćwiczony pies — przyglądał się meblom — rozsunął jedwabne zasłony i wyszedł wyjściem na wypadek ognia.

— Tam nic niema — rzekł wracając. Przyglądał się zwłokom i przygryzł wargi. — Nie zabito go na tem łóżku. Ślady prowadzą do salonu. Przyniesiono go tu. Ten ktoś musiał być silnym mężczyzną! Drugi ciekawy fakt — nie wiem, czy zauważyliście to, panowie — to to, że niema

ani kołnierza ani krawatki. Znajdują się one w salonie, w koszu.

— Nie zauważyłem tego — rzekł krótko Brown.

— Telefon jest ważną rzeczą, sir — rzekł Trainor. — Powinny być na nim ślady palców. Kto ostatni miał go w ręku?

— Obawiam się, że ja jestem tym winnym — rzekł Hurley Brown.

— Po zamordowaniu musiano postawić tu telefon. Sznur prowadzi przez pokój i przeszkadzałby mordercy niosącemu ciało. Zabito go po prawej stronie biurka — prawej licząc od drzwi — lewej od okien... Dywan zaplamiony krwią, która znajduje się też między biurkiem a oknem, a niema jej na sznurze od telefonu.

— To brzmi rozsądnie — rzekł doktor z uznaniem. — Ale dlaczego zdjęto mu szlafrok?

Trainor nie odpowiedział. Patrzył na skrzynkę mosiężną. Była zamknięta. Ale na podłodze obok leżał dywanik i wschodnia szata z liljowego jedwabiu ciężko wyhaftowana złotem i purpurą.

— Co to? — spytał Millera. — Czemu leży na podłodze?

— Nie wiem, sir. Dywanik ten pokrywał skrzynię i zdaje mi się, że szata ta była w środku — ale nie wiem na pewno... już dawno nie ubierał się w nią — i dawno też nie zaglądałem do skrzyni.

— Zamykał ją? — Trainor usiłował otworzyć ciężkie wieko. — Gdzie jest zamek?

— Niema. Otwiera się sprężyną.

Nacisnął palcem na jedną rzeźbę i wieko podniosło się.

W środku było dużo drobiazgów zmieszanych w nieładzie, dywanik i bogaty haft.

— To było zawsze na górze — nigdy nie widziałem tamtych rzeczy — rzekł Miller — musiały być na samem dnie.

— A szata? Czy jesteś pewny, że była zawsze w skrzyni?
— No tak — ale już dawno nie widziałem — ten dywanik był z pewnością na skrzyni... Czasem stawiał tam kawę, by ochronić mosiądz — bo łatwo się robią rysy na gładkiem poterowaniu.

— A dokładnie nie wiesz, co było w tej skrzyni — spytał Brown.

— Nie, sir. Widziałem niektóre z tych rzeczy, ale nie mogę powiedzieć, czy brakuje czegoś.

— Szkoda — szepnął Trainor przerzucając drobiazgi.
— Niektóre rzeczy są tu bardzo cenne. Gdyby był to wypadek rabunku i wiedzielibyśmy, czego brakuje — hm...
Chodził dokoła pokoju.

— Czy zdjął szlafrok na to, by włożyć ten strój? — spytał Dr. Warden.

— Nad tem będzie się można zastanowić, gdy się odtworzy zbrodnię — odrzekł Trainor i zwrócił uwagę na małe biurko koło okna.

— Co sądzicie panowie o tem? Proszę tego nie dotykać — dodał szybko — mogą być odciski palców.

Na biurku leżała kartka z notatnika Louby, a na niej napisana była jedna litera — litera P.

— Temu, kto to napisał, przerwano — rzekł Trainor.
— Pióro tkwi w kałamarzu. Popatrzcie, jak to koślawie napisano.

— Co pan o tem sądzi? — spytał Brown.

Ale Trainor nie wiedział jeszcze nic.

— Może być, że usiadł, by napisać coś po zamordowaniu — i nie miał sił na to... że napisał to potem, dowodzi nerwowość pisma.

— Czy Louba nie mógł tego napisać sam?

Doktor Warden rzekł:

— Absolutnie wykluczone. Śmierć nastąpiła natychmiast — prawie natychmiast. To było niemożliwe, by mógł podejść do biurka!

Trainor przeszukiwał biurko poraz drugi i odsunął krzesło.

— Siedział tu — w szlafroku, co jest zrozumiałe, bo noc jest chłodna, a ogień się nie palił.

— To przypomina mi, że widziałem coś na kominku, gdy wszedłem — rzekł Brown i Trainor wyszedł do drugiego pokoju.

— Prawie nienaruszone — rzekł badawczo. — Gdzie służący? Czy można to wyjąć?

Miller podniósł srebrne zasuwy paleniska, a potem inspektor bardzo ostrożnie podsunął cienki arkusz papieru pod popiół i nienaruszenie zaniósł go do stołu. Na czerni spalonego papieru widniały w miejscach jaśniejszych wyraźne ślady liter.

— Można przeczytać bez fotografowania — rzekł Trainor.

— Ale oderwano róg — chyba, że wypadł z paleniska. Wrócił i zbadał.

— Nie — tu jest wszystko — róg został oddarty — adres prawdopodobnie.

— Adres? — powtórzył Brown nieprzytomnie. — Pan ma na myśli adres piszącego?

— Tak. Zechce pan pisać, a ja będę czytał — pochylił się nad spalonym papierem. — Niema ani adresu ani daty...

„Tylko ty możesz wyratować mnie. Wiesz, jakże życie moje jest z” —

— Tego nazwiska nie mogę odczytać...

„— i wiesz, co mi zawdzięczasz. Emil, ty wiesz —”

— A podpis jest — przechylił głowę, by lepiej widzieć — to wygląda jak K — ale może być R — lub B... Dałbym dużo, by móc mieć ten adres!

ROZDZIAŁ XV.

Rękawiczki.

Trainor otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy —

Clang... clang... clang...

Spojrzeni — pokój zawirował od głębokich tonów uderzenia sygnału....

— Co to? — zapytał Hurley Brown.

— Alarm, sir — rzekł przerażony Miller wskazując przez otwarte drzwi na okno sypialni.

Clang... clang... — zabrzmiał znów dzwon.

— Alarm? Co to znaczy?

— Przymocowany jest do wyjścia w razie ognia, sir, tak, że jeżeli ktoś spuszcza drabinę, to ostrzega tem mieszkańców.

Trainor pobiegł do sypialni, skoczył na żelazny balkon i spojrzał w dół. Ujrzał niejasno jakąś postać skurczoną i posuwającą się po drabinie i bez chwili zawahania się zbiegł na dół, by złapać intruza.

W tej chwili człowiek ten odwrócił się i zeskoczył na ziemię. Zanim zdołał dobiec na dół, nie było już nikogo.

— To ciekawe, że sygnał nie funkcjonował, gdy ja schodziłem przedtem. Przypuszczam, że jest połączony z drabiną, na samym dole — ale i tamtędy schodziłem.

Rozwiązanie tajemnicy przybyło w kilku chwil później. Przyszedł portjer hallu.

— Właśnie przed kilkoma minutami obszedłem dom, by zobaczyć, czy nie mogę w czemś pomóc i odkryłem, że drut złączony z wyjściem w razie ognia został przecięty.

— A teraz złączył pan te druty? — zapytał Trainor.

— Pomyślałem, że to lepiej ze względu na rozmaite okoliczności — odrzekł portjer — ale jak został on prze-

cięty — tego nie rozumiem! Z wyjątkiem tej chwili, gdy pan Leamington posłał mnie do góry, by sprawdzić działanie sygnałów, nie opuściłem swej łóżki.

— Wszystko w porządku, — rzekł Brown. — Oczywiście był przecięty, gdy Trainor schodził i musiał być naprawiony w chwili, gdy intruz zjawił się. Zdaje mi się, że nie mamy na co czekać, doktorze. Pozostawimy tę sprawę Trainorowi. Czy zechce pan zatelefonować po lekarza służbowego, inspektora?

— On jest chory — odrzekł urzędnik. — Prosiłbym, by sprowadzono doktora Lane z oddziału Paddington. Wezwano go gdzieś i gdy tylko powróci, przyjdzie tu. Przypuszczam, że Millera trzeba będzie trzymać pod obserwacją — zapytał szeptem i Brown skinął głową.

— Wątpię, czy ma coś wspólnego z tem morderstwem, ale można go mieć na oku i niech opowie, gdzie był wieczorem.

Trainor uczynił jeszcze więcej. Kazał sobie drzącemu Millerowi podać dokładny opis gościa, który wieczorem wszedł wejściem służbowym, a niedzielne ranne gazety, które zawierały opis zbrodni, zamieściły także następującą uwagę:

„Poszukiwany pod zarzutem zbrodni człowiek nazywany 'Charlie', wysoki, około 5 stóp 6, smukły, w ciemno brązowym ubraniu pod płaszczem jasno jelonkowym, ściśnięty w pasie, w brązowym kapeluszu sportowym, noszonym na baki, w czarnych trzewikach z brązowymi cholewkami, w irchowych rękawiczkach, z jasno zielonym szalikiem. Wiek około 32 lat, cera ciemna, chód lekki i ostry głos.“

Rano przybył do inspektora Trainora jeden jeszcze urzędnik. O piątej przyszedł znużony lekarz służbowy, który obejrzał pokoje i dał polecenie usunięcia ciała do kostnicy. Pozosta-

wiwszy policjanta na warcie Trainor po nocy pracy, gdy przeszukał wszystkie papiery umarłego, udał się na Edward Square i zapukał. Nie czekał długo — otworzyły się drzwi i zapytał głos dziewczęcy.

— Czy to miss Martin?

— Tak — odrzekła Beryl.

— Jestem inspektorem policji i chciałbym pomówić z panią.

Zdawało mu się, że dziewczyna zdrzała.

— Proszę wejść — rzekła.

Zaświeciła światło. Ujrzał, że jest w szlafroku. Prawdopodobnie tylko co wstała. Jednak zapewne zamierzała już się ubrać, gdy zapukał. Szybkość, z jaką odpowiedziała na jego zapukanie i jej wygląd, upewnił go w tej myśli.

— Obawiam się, że mam złe wiadomości dla pani — rzekł, gdy wprowadziła go do pokoju.

— Czy w sprawie mr. Louby? — spytała szybko.

Skinął.

— Czy on —

— Nie żyje — odparł spokojnie. — Zamordowany.

— Zamordowany!

Podniosła się z krzesła i stanęła dziko wpatrzona w niego.

— Nie żyje! — powtórzyła i rękę przycisnęła do gardła.
— O, nie!

— Żałuję, ale muszę potwierdzić, że to prawda. Kiedy widziała się pani ostatnio z mr. Loubą? Słyszałem, że była pani z nim zaręczona?

Nie odpowiedziała. Zdawała się być oszołomiona i sparaliżowana tą nowiną.

— On umarł — czy pan jest pewny tego? — spytała głucho. — Tak, byłam zaręczona z mr. Loubą...

— Czy to pani —

Wyjął z kieszeni zwój papierów i położył je na stole.
Skinęła.

— To są kwity na dużą sumę, miss Martin. Czy może mi pani wytłumaczyć, w jaki sposób dostały się w posiadanie mr. Louby?

Próbowała mówić, ale nie mogła. Ujrzał karafkę i szklanę na kredensie. Nalał wody i przyniósł jej. Podziękowała mu oczyma.

— To są pieniądze, jakie przegrałam w bridge'a i jakie zapłacił za mnie mr. Louba — rzekła.

— To było przed zaręczynami?

Skinęła znów.

— Więc potem w konsekwencji jego uprzejmości dla pani zgodziła się pani poślubić go? — spytał Trainor patrząc na nią badawczo.

— Tak. Zdaje mi się, że to tak było...

— Kiedy to było, miss Martin?

Drżąc jej ręką podniosła znów szklanę wody.

— Przedwczoraj wieczór.

— Przedtem była pani zaręczona z kim innym.

— Nie, nie byłam — głos jej był posępny i zuchwały.

— Zdaje mi się, że była pani zaręczona z mr. Leamington.

— Byliśmy przyjaciółmi — rzekła — ale nie byliśmy zaręczeni!

— Kiedy zaręczyła się pani z mr. Loubą?

— Przedwczoraj wieczór — rzekła rozpaczliwie — powiedziała już panu.

— Kiedy zerwała pani przyjaźń z mr. Leamingtonem?

— Nie zrywałam wcale! Ja — my jesteśmy wciąż przyjaciółmi!

— Kiedy widziała pani ostatni raz mr. Leamingtona?

Chwila ciszy.

— Także przedwczoraj wieczór — rzekła — odprowadził mnie do domu.

— Czy mr. Leamington wiedział, że ma pani poślubić mr. Loubę?

— Tak.

— Czy to go zaskoczyło?

Beryl rozejrzała się bezradnie, jakby szukała jakiegoś sposobu ucieczki przed temi przenikliwymi badaniami.

— Tak — on był zaskoczony — odrzekła.

— Powiedziała mu pani, dlaczego zaręczyła się pani z mr. Loubą — to znaczy o tych kwitach — wskazał.

— Nie wiem — odrzekła szybko.

— A czy mr. Leamington spokojnie przyjął tę nowinę?

— Tak — zrozumiał —

— Zrozumiał, że pani poślubia mr. Loubę dlatego, że winna mu pani dużą sumę? Czy mówił coś przeciw mr. Loubie?

— Ani słowa — odrzekła natychmiast.

— Niech pani przypomni sobie — przenikliwe oczy Trainora nie cofały się z jej twarzy. — Jakiś młodzieniec kocha panią — zaręczony jest z panią — nagle zaręczyny są zerwane dlatego, że — tłumaczy mu pani — zadłużyła się pani u człowieka prawdopodobnie dwa razy starszego od pani, który zaślubi panią i tem zmaże dług. Czy to logicznie jest sądzić, że ja uwierzę, by człowiek taki jak mr. Frank Leamington przyjął taką rzecz spokojnie, nie wypowiedziawszy chęci ukarania człowieka, który zagrał — jak to pozwolę sobie nazwać — brudną grę? Kiedy widziała się pani ostatnio z mr. Leamingtonem? — powtórzył.

— Zapytał mnie pan już o to — zapłonęła się — dlaczego przyszedł pan tu i wypytuje mi się o mr. Leamingtona?

— Czy widziała go pani dziś w nocy?

— Nie — odrzekła — przysięgam, że nie widziałam go dziś w nocy!

— Od kiedy była pani w domu?

— Od dziesiątej.

— Na pewno? — zapytał łagodnie. — Policjant na rogu ulicy powiedział mi, że pani wróciła znacznie później.

— Może było później — przyznała — ale nie widzę, dlaczego miałoby to pana interesować?

— Gdzie była pani wieczorem, miss Martin? — zapytał.

— Byłam w teatrze — w „Apollo“.

— Sama?

— Tak. Często chodzę sama.

Detektyw wstał i włożył do kieszeni paczkę kwitów.

— Czy nie uważa pani, że byłoby lepiej dla wszystkich wmiészanych, gdyby powiedziała mi pani dokładnie to, co pani wie o morderstwie?

— Nic nie wiem! Nie wiedziałam, że stała się tak okropna rzecz!

— A jednak czekała pani na mnie — rzekł Trainor, a w głosie jego drżało oskarżenie.

— Nie oczekiwałam nikogo — rzekła.

Litość brała, gdy się patrzyło na jej rozpacz.

— Przypuśćmy, że powiem pani — Trainor mówił z rozważą — że widziano panią w pobliżu Braymore House między 10 a 11?

Był to najodważniejszy bluff, ale udało mu się, gdy wymyślił owego mitycznego policjanta, który widział, jak wracała do domu. Jeżeli rzeczy miały się tak, jak mu się zdawało, to było prawdopodobne, że wczoraj udała się w pobliże Braymore House.

Odpowiedź jej zaskoczyła go.

— Widział mnie pan! Dlaczego poszłam! O, dlaczego poszłam!

— Poszła pani, ponieważ przypuszczała pani, że mr. Loubie grozi niebezpieczeństwo życia ze strony Franka Leamingtona. I chciała pani być tam, gdy on przyjdzie. Czy nie tak?

Bez słowa przytaknęła.

— I przyszedł?

— Nie — odrzekła. Niezmiernym wysiłkiem woli odzyskała zgubione nerwy. — On nie przyszedł. Czekałam do pierwszej. Potem powróciłam do domu.

Wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia.

— Już nie widzę, o co mógłbym panią jeszcze spytać — rzekł, zmierzając ku drzwiom — ale obawiam się, że będę zmuszony widzieć się z panią znów — może często, miss Martin.

W głosie jego drżała groźba, którą dziewczyna doskonale rozumiała.

Przeszedł przez hall, rozglądając się badawczo. Nagle ręka jego zacisnęła się na małej kościanej rączce parasolki. Wyjął ją.

— To pani?

— Tak — odrzekła zdziwiona.

— Miała ją pani ze sobą?

— Tak, — odrzekła po sekundzie wahania.

— W przedpokoju było ciemno, gdy pani weszła?

— Tak — zastanawiała się, co dalej nastąpi.

— Zechce mi pani pokazać rękawiczki, które pani miała wtedy?

— Są w szufladzie pod lustrem — wskazała. — Zdjęłam je, gdy weszłam. Są to stare, białe rękawiczki, które czasem wkładam, gdy się śpieszę. Zawsze chowam je do tej szufladki...

Wyciągnął szufladkę i wyjął rękawiczki. Gdy spojrzął — oparła się o ścianę, blada jak śmierć, gdyż rękawiczki były poplamione zaschlą czerwienią. Gdy puścił rączkę parasolki, ujrzała, że kościana oprawa jest także poplamiona.

— To ciekawe — rzekł łagodnie inspektor Trainor. — Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, zatrzymam sobie te rzeczy...

Nie odrzekła nic. Stała ogłuszona bólem i przerażeniem, miotana złem przeczuciem jeszcze długo po jego odejściu.

ROZDZIAŁ XVI.

Człowiek, który był podejrzany.

Koło Regent Parku znajduje się podwójny blok mieszkań, znanych pod nazwą Gate Gardens. Każdy blok ma swą bramę zamkniętą przez noc, do której klucze mają lokatorzy. Inspektor Trainor dowiedział się o tych szczegółach od policjanta, pełniącego służbę w pobliżu i powrócił do Scotland Yard celem zdania sprawozdania. Zastał w biurze Browna i zdał mu sprawozdanie z wyników poszukiwań.

— Co do jednej rzeczy jestem pewny — rzekł inspektor — miss Martin nie wiedziała nic o morderstwie, póki jej o tem nie powiedziałem.

— A jak pan tłumaczy te plamy krwi? — zapytał Brown.

— Była w kontakcie z mordercą i ani on ani ona nie zauważyli, że krew znajduje się na jego płaszczu, prawdopodobnie na rękawie. Bo plamy są na dłoni ręki — kobieta może położyć dłoń na rękaw i nie uczuć krwi, mając rękawiczki. Tylko prawa rękawiczka jest poplamiona. Czerwone plamy na lewej dostały się tam z drugiej ręki, gdy były razem złożone. Będę potrzebował może upoważnienia do zaareztowania Franka Leamingtona...

Komisarz gryzł wargi w zamyśleniu.

— Oczywiście. Może go pan zaaresztować, jeśli jest jeszcze w Londynie — rzekł.

— Co do tego mam wątpliwości — rzekł Trainor.

— Kiedy pójdzie pan do niego?

— Gdy tylko będę mógł się dostać do tego mieszkania. Komisarz zamyślił się.

— Może byłoby mądrzej, pozostawić sprawę na później — rzekł — godzina nie odgrywa tu różnicy.

Trainor spoważniał.

— Godzina odgrywa wielką różnicę, jeśli niema go już w Londynie — mógłby się przedostać już przez granicę!

Faktem było, że nie trzeba było żadnych niepokojów w tej sprawie. O ósmej godzinie inspektor Trainor i Hurley Brown udali się do Gate Gardens. Bramy były otwarte; służba czyściła schody, gdy zapukali do drzwi trzeciego piętra.

Starsza kobieta, widocznie gospodyni Leamingtona, otworzyła im drzwi.

— Czy mr. Leamington jest w domu?

— Tak, sir — odrzekła ku zdziwieniu Trainora. — Właśnie zaniósłam mu herbatę. Leży jeszcze w łóżku.

— Spodziewał się nas — rzekł Trainor i poszedł w głąb przedpokoju.

Trzecie drzwi na lewo były otwarte. Ujrzał postać, siedzącą w łóżku z głową objętą rękami.

Frank usłyszał kroki i spojrzał.

— Chce pan się ze mną widzieć, Brown?

— Inspektor Trainor chce panu zadać kilka pytań — rzekł Brown spokojnie.

Trainor rozglądnął się po pokoju i ujrzał to, czego szukał. Była to koszula, zarzucona na poręcz krzesła. Obejrzał

mankiety i bez słowa oddał ją swemu towarzyszowi. Brzeg mankiety był poplamiony rdzawo-czerwonemi plamami.

— Gdzie jest pański płaszcz? — zapytał.

Frank wskazał na drzwi, za którymi wisiał szlafrok, płaszcz i smoking. Trainor wyjął płaszcz i odwrócił rękawy do światła. Na prawym widniały dwie wielkie, ciemnobrązowe plamy. Przód płaszcza był taksamo poplamiony.

— Leamington — rzekł — zdaje się, nie trzeba panu tłumaczyć, co teraz uczynię?

— Nie potrzeba — rzekł Frank. Jego zmęczone oczy były zwrócone na detektywa.

— Zaaresztuję pana pod zarzutem morderstwa z premedytacją Emila Louby w nocy 3 grudnia między 10 a 10.45. O 10 godzinie mr. Louba telefonował do Elect-Clubu. O 10.45 nie żył już.

Ani jeden muszkuł nie drgnął w twarzy Leamingtona.

— Nie zabiłem go — rzekł w końcu — a jeśli telefonował o 10 godzinie, to był cud... Włamałem się do jego mieszkania z zamiarem zabicia go, ale on już nie żył.

— Kiedy to było?

— O 9 godzinie — godzinę przed jego telefonowaniem — odrzekł Frank. — O 9 Louba już nie żył — nie żył już przed powtórny przybyciem doktora Warden. Widziałem jak doktor schodził, gdyż śledziłem dom. Jestem pewny, że drugi raz widział mnie — nie mówił panu o tem?

Hurley Brown potrząsnął głową.

— Pewny jestem, że widział mnie — ten dobry człowiek nie chciał mnie wpakować w nieprzyjemności. Zaraz wytłumaczę przyczynę mego postępowania.

— Miss Martin wie — przerwał Trainor.

— Nie wiem, dlaczego wspomina pan o miss Martin — rzekł Frank chłodno — niema pan chyba zamiaru wmieszać w to wszystkich mych przyjaciół, co?

— Ona była z panem wczoraj w nocy po dokonaniu morderstwa — rzekł Brown. — Będzie pan musiał przedstawić nam jaknajwiarygodniej — wszystko. Może życie pana od tego zależy...

Frank wstał i włożył szlafrok. Czoło jego marszczyło się w zamyśleniu. Przeszedł po pokoju, z rękoma założonymi w tył — potem znów usiadł na łóżku.

— Biorę pana za słowo. Czy miss Martin opowiadała panu o jej zaręczynach z Loubą? Opowiadała... Więc pan wie. Gdy dowiedziałem się o tem, pragnąłem go zabić. Wiem, co to było za bydlę — to był podlec! Znam jednego człowieka, który zajęty jest w policji, i on i jego przyjaciele próbowali już od lat złapać Loubę. Policja zna więc oczywiście tę stronę jego charakteru.

Trainor skinął głową.

— Udałem się do Braymore House tego samego dnia. Było to przedwczoraj. Zamierzałem zabić go chłodno i poważnie, ale noc snu poddała mi lepszy plan. Louba posiadała pewną ilość weksli, które miss Martin podpisała w szaleństwie. Na ile były wystawione — nie domyślała się nawet. Chciała je wykupić, ale Loubą udał, że wynoszą one mało. Jestem pewny, że gra, grana u sir Harry Marshley'a, nie była bridge'm, tylko baccaratem i Loubą trzymał bank. W przeciwnym razie nie wszystkie weksle byłyby w jego posiadaniu. Owej nocy powiedział jej, że winna mu jest 50 tysięcy funtów i pieniądze są mu potrzebne natychmiast. Była przerażona. Przez cały czas miała dziwne uczucie, że winna mu jest więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Mojem zdaniem — trzy czwarte tych kwitów — to są papiery sfalszowane! Wypełnione były ołówkiem, a fałszowanie ołówkiem jest bardzo łatwe. Miss Martin ma matkę chorą na serce. Stanąwszy wobec dwu możliwości: poślubić Loubę i oszczędzić matce wstydu i upokorzenia

przez to małżeństwo, wybrała to mniej egoistyczne. Zagroziłem, że zabiję go. Groźbę tę wzięła tak poważnie, że też śledziła Braymore House. Nie widziała jednak, jak tam wszedłem. Wczoraj rano znów się tam udałem i przeciąłem drut alarmowy. Wczoraj wieczór zaś zarzuciłem linę na drabinę i ściągnąwszy ją na dół, wszedłem do góry. Ku memu zdziwieniu okno było otwarte i światła zaświecone. Ujrzałem zwłoki Louby zeszywniałe na łóżku. Przez chwilę omal nie załamałem się pod grozą tego wykrycia i chciałem rzucić się do ucieczki. Ale przypomniałem sobie kwity Beryl i wszedłem do pokoju.

— Okno było otwarte? — spytał Brown. — Miller powiada, że było zamknięte i że niemożliwą jest rzeczą, utworzyć je z zewnątrz.

— Było szeroko otwarte — rzekł Frank. — Wszedłem do środka i podszedłem do łóżka. Zdawało mi się, że żyje jeszcze i zbadałem jego serce. Wówczas poplamilem płaszcz. Był już jednak martwy. Poszedłem do drugiego pokoju. Była cisza.

— Czy klucz był w zamku?

— Nie. To mi się wydawało dziwne. Zacząłem przetrząsać szuflady, ale nie znalazłem nic. Potem ogarnęło mnie przerażenie i powróciłem na ulicę. Wówczas ujrzałem Beryl — miss Martin. Była przerażona, a ja nie mogłem od razu jej upewnić, wkońcu przekonałem ją, że ja nic Loubie nie uczyniłem, chociaż — przyznałem — widziałem go, i odbiegłem od niej, zanim zdołała mi stawić dalsze pytania. Chciałem być sam i rozpamiętać te rzeczy. Wiedziałem, że podejrzenie padnie na mnie: przecięty drut, groźba, jaką rzuciłem.

— Dlaczego przyszedł pan do klubu? Widzieliśmy pana — rzekł Brown.

— Gdzie byliście? Nie zauważyłem. Przeglądałem rozkład pociągów w razie, gdyby mi udowodniono włamanie i gdybym musiał uciekać. To była rzecz, która mnie najwięcej martwiła. Uciec — znaczyło przyznać się do winy. Obowiązkiem moim było, zawiadomić policję, co widziałem lub wziąć portjera do spisku. Czekałem godzinami, nie mogąc się zdecydować. Widziałem doktora — szkoda, że nie przemówiłem do niego. Potem widziałem policjantów i pana z Wardenem. Byłem zrozpaczony. Chciałem wiedzieć, co się dzieje — co sądzą — kogo podejrzewacie — i jak szaleniec znów wszedł do ogrodu. Widziałem, jak ktoś schodził i wychodził, potem jakiś policjant przeszedł tuż koło mego ukrycia — potem spuściłem drabinę. To była rzecz szaleńcza, ale odgłos kroków oddalającego się policjanta zachęcił mnie do tego. Zaledwo doszedłem do pierwszego piętra, gdy ktoś zaczął schodzić — zeskoczyłem. To cała moja historia.

— Nikogo innego nie widział pan koło wyjścia w razie ognia?

— Nikogo.

— Gdy był pan w mieszkaniu, czy popatrzył pan do pokoju, który wychodzi z pracowni, gdzie zostało popełnione morderstwo?

— Nie.

Brown podszedł do okna i wyglądał.

— Czy widział pan papier — kartkę papieru z jedną literą — literą „P“? — zapytał, nie odwracając się.

Frank odrzekł:

— Nie. Widziałem tylko dwa przewrócone krzesła i pęczek listów na podłodze, tuż koło stołu. Sądziłem, że są to kwity Beryl, ale były to listy od jakiejś kobiety, skarżącej się na swego męża, jak mi się zdaje.

— Listy? — Brown i Trainor wymówili razem to słowo.

— Czy jest pan pewny, mr. Leamington? Ja nie znalazłem żadnych listów. Jak były podpisane?

— K — odrzekł. — Adresowane z Rumunji, z jakiejś kawiarni w Bukareszcie — nie przypominam sobie nazwy. Były pisane na zwyczajnym papierze.

— Trainor był zaskoczony. Nie znalazł tych listów i nie zastał krzesel przewróconych.

— Jeśli to prawda — rzekł — to morderca był jeszcze wówczas w mieszkaniu. Musiał mu pan przeszkodzić w szukaniu czegoś. Pańskie opowiadanie będzie musiało być potwierdzone i ostrzegam pana, że bez żadnych dowodów trudno będzie panu przekonać sędziego!

— Mnie ono przekonuje — rzekł Brown.

— Obawiam się, że to nie wystarczy — rzekł chłodno, a Brown zaśmiał się, co było niezwykle u niego.

— Przyjmuję słowo mr. Leamingtona i ponoszę wszelką odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo! Trainor, wmieszałem pana w tę sprawę, bo jest pan najsprawiedliwszym i najzdolniejszym człowiekiem, jakiego znam i nie mam zamiaru przeszkadzać ci, czy uchybiać twemu autorytetowi. Ale dlatego, że mam pewną teorię w tej sprawie, chcę, by Leamington narazie pozostał na wolności. Nie chcę nic przedsięwziąć, zanim nie usłyszę zdania doktora Warden. On słyszał kłótnię i słyszał, jak Louba powiedział: Ona to musi uczynić — czy coś podobnego. Warden może nam pomóc. Przypominam sobie, że gdy poszedł drugi raz do Louby, słyszał, że zadzwonił dzwonek na trzecim piętrze. Portjer wyjechał windą, ale nie było tam nikogo. To jest ważne! Górne piętro zamieszkuje Bennett da Costa, który był rywalem Louby na Wschodzie. Dzisiaj dowiedziałem się o tem. Da Costy niema — ma być na południu Francji. Mieszkanie jest próżne — niema służby — nikogo. Jeżeli morderca Louby mógł zejść wyjściem w razie ognia, to

mógł i wyjść dalej. Jest możliwość, że morderca cały czas czekał na górnym piętrze.

— I zadzwonił po windę? — spytał Trainor sucho.

— To mógł być przypadek. Dana osoba mogła była dojść do drzwi i zaglądać na dół otworem windy — i niechcąc dotknąć się dzwonka.

Zapukano do drzwi i Leamington usłyszał głos gospodyni:

— Doktor Warden chce się z panem widzieć!

Frank popatrzał na detektywów, a Brown skinął:

— Proszę, niech wejdzie — rzekł.

Doktor był szczerze zdziwiony, gdy ujrzał, jakich gości ma Frank.

— Więc znaleźliście go... Miałem nadzieję, że nie uczyni pan tego, Brown...

Frank ujął gorąco rękę doktora.

— Doktorze, był pan wiernym towarzyszem... Nie powiedział pan...

— Nie widziałem pana — odrzekł doktor Warden. — Jeżeli ktoś tak twierdzi, to się myli. Ale — mówił dalej — przyszedłem zapytać, co złego uczyniłeś w okolicy Braymore House — przypuszczam, że postawiono ci już to pytanie?

Frank krótko powtórzył swą historję, a twarz doktora poważniała.

— Nie — mam takie dalekie wspomnienie, że nie było przewróconych krzesel...

— Czy przypomina pan sobie, jak zadzwonił dzwonek windy? — zapytał Brown. — Czy słyszał pan kogoś na trzecim piętrze?

Doktor Warden zawahał się.

— Nie przysięgnę, że słyszałem kogoś — rzekł — portjer powiedział, że tam ktoś jest i mam wrażenie, że tam ktoś był. Co zrobicie z Frankiem?

— Nie aresztuję go — brzmiała odpowiedź. — Musimy zabrać poplamione ubrania.

— Dzięki Bogu! — rzekł doktor oddychając z ulgą. Jego radość była przedwczesna.

ROZDZIAŁ XVII.

Człowiek, który został zaaresztowany.

Beryl tylko co zesłała na dół, gdy powiedziano jej, że jakiś pan pragnie się z nią widzieć.

Odwróciła się w beznadziejnym ruchu jakby myśląc o ucieczce.

Po odwiedzinach Trainora zasnęła, ale był to sen nawiedzany okropnemi, krwawemi widziadłami. Zbudziła się ze strasznym bólem głowy.

Przypominając sobie rozmowę z Frankiem zeszłej nocy przekonana była, że powiedział jej prawdę, zaprzeczając, że coś złego uczynił Loubie. Ale przypuszczała, że musiał coś wiedzieć o śmierci Loubie i że wyprowadziło go z równowagi to, co widział, a nie to, co uczynił. Wiedziała jednak bardzo dobrze, że nie można spodziewać się, by inni tak mu wierzyli, jak ona, i serce jej omdlało, gdy dowiedziała się o gościu. Trainor rzekł, że będzie zmuszony znów ją odwiedzić!

— Idę — rzekła słabym głosem i służąca opuściła pokój.

Wdzięczna była, że matka rano nie opuszcza swego pokoju. Przechadzała się po pokoju starając zapanować nad sobą, zebrać odwagę, by stawić czoło inkwizytorowi i kłamać dzielnie, by ratować życie Franka.

Plamy wystąpiły na jej opadłe policzki, gdy otworzyła drzwi pokoju, gdzie spodziewała się zastać inspektora.

Ku swemu zdziwieniu ujrzała małego człowieka, który mrugnął do niej nieśmiało.

— Jakto... co — pan jest tym, którego widziałam zeszłej nocy — zawołała i chociaż widok jego napelnił ją nowym przerażeniem, to przyznać musiała, że w zwykłych okolicznościach jego zjawienie się nie było by tak okropne.

— Tak, miss Martin — uklonił się. — Czy mogę złożyć pani gratulacje? Nie potrzebuje już pani poślubić Louby! — Uśmiechał się i promieniał. — Co za szczęśliwy poranek!

Gdyby nie to, iż byłyby to jej własne myśli, gdyby śmierć Louby nie oznaczała zarazem niebezpieczeństwa dla Franka, gdyby nie to, patrzyłaby na niego, jak na warjata, tak odrażającą wydawałaby się jego radość nad trupem człowieka. Teraz było jej to przykre tylko z powodu ironji, jaką zawierały jego słowa. Tysiąc razy lepiej być żoną Louby, niż patrzeć jak Frank płaci życiem za jej wolność!

— Proszę mi wybaczyć — rzekła — to nie jest szczęśliwy ranek dla mnie. Ale jeśli ma pan jakąś sprawę...

— Tak — oczywiście — pani boi się o mr. Leamingtona.

— Jakto — nie boję się — dlaczego miałabym się bać o niego?

— Dlatego, że Louba został zamordowany, a on był tam. —

— Nie był! — przerwała gwałtownie. — Nie był!

Uśmiechnął się łagodnie:

— Ma pani rację, że go pani broni. Ale obawiam się, że oni wiedzą...

— Oni? Kto taki?

— Policja. Zdaje się, że poszli go zaarrestować.

— Co pan mówi? — szepnęła. — Dlaczego pan tak mówi!

— Widziałem, jak szli — Trainor, Brown — a za nimi —

— Niech pan usiądzie — proszę — rzekła bez tchu i opadła w najbliższe krzesło. — Więc mówi pan, że ich pan widział?

— Tak, wcześniej rano. Ale nie zaarrestowali go.

— Jest pan pewny tego? — spytała gorąco.

— Tak. Ale w tej sprawie przyszedłem właśnie. Oni tylko na razie go zaoszczędzili, bo zdaje mi się, że jest on przyjacielem Browna, ale — w służbie policyjnej niema przyjaciela, tylko obowiązek! Muszą wypełnić obowiązek nawet przeciw przyjaciołom. A to, co chciałem powiedzieć —

Pokrzepiła się znów na duchu.

— Nie zaarrestowali go, bo przekonał ich — przerwała.

— Nie miał nic wspólnego ze śmiercią mr. Louby i udowodnił im to.

— Jego słowo nie może być dowodem w sądzie... Słyszałem iak rozmawiali wracając. Doktor Warden był z nimi.

— Zna go pan?

— Znam zdaje mi się wszystkich, którzy czemkolwiek złączeni byli z Loubą — odrzekł łagodnie.

— No — i dalej — co pan słyszał?

— Znaleźli na nim ślady krwi i przyznał się, że był w mieszkaniu po zabiciu Louby. Oni w to wierzą, ale — potrząsnął głową. — Trzeba go oddalić — szepnął — trzeba go usunąć!

Przeraźliwy strach przeszył ją.

— Gdyby było tego potrzeba, to poradziliby mu to oni — rzekła z przekonaniem.

— Nie, oni tego uczynić nie mogli. To są uczciwi ludzie. Mogą odroczyć zaarrestowanie w nadziei dowodu uniewinnającego go — ale nic poza to. Proszę nie czekać, póki nie będzie zapóźno. Do życia nie zdoła go pani przywrócić. Jeżeli wierzy pani w jego niewinność, tem większy powód, by nie narażał się na to, by mu udowodniono winę.

— Uciec natychmiast, znaczyłoby uznać się winnym!

— Tylko do czasu, aż go uniewinnią, co, jak pani twierdzi, wkońcu stanie się. A jeżeli nigdy nie udowodnią

mu niewinności, lepiej, by pani żyła z nim szczęśliwie w jakiejś odległej miejscowości, niż by go tu powieszono.

— Niech pan przestanie! — spojrzała na niego prawie nienawistnie. — Jak może pan używać takiego słowa!

— No, tak się stanie, jeśli udowodni mu winę. A to byłoby szkoda. Louba był bardzo złym człowiekiem — wstyd, by ktoś cierpiał z powodu jego śmierci!

— On by nie mógł uciec, gdyby nawet chciał. Nie zdaje mi się... Gdy tylko dowiedzą się, że niema go, otoczą koleje i statki —

— Może przyjść do mnie — rzekł mały człowiek. — Mam mieszkanie w Balham na samym szczycie budynku. Mógłby tam być i niktby nie wiedział, a gdy zapadnie ciemność, mógłby wyjść na dach, by odetchnąć powietrzem. Zdaje mi się, że mógłby wyjechać z kraju dzisiaj, gdyby to natychmiast uczynił — ale jeżeli nie chce ryzykować, mógłbym go przechować u siebie bezpiecznie! Sądzę po sobie — są rzędy i rzędy malutkich mieszkań i nie wiemy, kto mieszka obok.

Spojrzała nań podejrzliwie.

— Dlaczego tak dba pan o niego — zapytała — i dlaczego narażać się na przechowywanie go?

— Ponieważ nie chciałbym, by cierpiał za to... aby oskarżono go o zabicie Louby... Louba nie zasługiwał na to. Ktokolwiek go zabił, był dobroczyńcą społecznym i chciałbym mu dopomóc.

— Ale Frank Leamington nie ma prawa do pańskiej wdzięczności, ponieważ on nie zabił Louby!

— A więc pragnę bardziej niż kiedykolwiek uratować jeszcze jedną osobę, by nie padła ofiarą tego złego człowieka! Czy nie zechce pani pójść do niego i namówić go do ucieczki? Jeżeli pani nie pójdzie natychmiast, to może być zapóźno i nie naprawi tego pokuta całego życia.

Nie potrzebowała, by jej o tem przypominano...

Ponad wszystko pragnęła wiedzieć, że Frank jest poza niebezpieczeństwem i wahała się tylko dlatego, że wiedziała, że ucieczka mogłaby się okazać więcej zgubną dla niego, aniżeli stawianie czoła niebezpieczeństwu.

— Pójdę zobaczyć się z nim w każdym razie — rzekła wkońcu wstając.

— To dobrze! — rzekł wstając zadowolony. — Czy mam zostawić pani adres, tylko w razie, gdyby nie chciał opuścić kraju —

— No dobrze, niech pan zostawi, dziękuję — rzekła i ujęła skrawek papieru, który jej podał.

— Pani nie będzie traciła czasu, prawda? To byłoby nierozsądnie... Dowidzenia — i mam nadzieję, że uda się go nakłonić do wyjazdu. Dowidzenia!...

Uklonił się i wyszedł.

Udała się do domu Franka i zastała go siedzącego przed ogniem, w zamyśleniu przyglądającego się swym wyciągniętym nogom.

— Co się stało? — zawołał wstając szybko na jej widok.

— Frank! Widziałeś Loubę zamordowanego — wczoraj w nocy... Krew była na twojem ubraniu. Dotknęłam się ciebie i zabrałam krew na moje rękawiczki. I ty powiedziałeś im o tem!

— Powiedziałem im wszystko. Nie zabiłem Louby. Lepiej powiedzieć prawdę. Tak mi przykro, Beryl, że wnieesałam ciebie w to, i tak ci jestem wdzięczny za —

— O, nie mów o mnie. Chcę, byś wyjechał, Frank. Twoi przyjaciele mogą ci uwierzyć, ale tamci nie uwierzą bez dowodów. Jeśli nie znajdą prawdziwego mordercy, to ty będziesz cierpieć. To zbyt ryzykowne, Frank! Uciekaj póki możesz. Jeśli twoja niewinność nie zostanie udowodniona — pozostanie ci przynajmniej życie i przyjaciele...

— Nie mogę. Dałem słowo.

— O Frank! — Jej pragnienie ucieczki wzrosło, gdy widziała już jej niemożliwość. — Życie twoje może od tego zależeć. A ten mały człowiek powiedział, że onby cię ukrył, gdybyś się bał opuścić kraj...

— Jaki mały człowiek? — zapytał ostro.

— Ten, o którym opowiadałam ci wczoraj w nocy — stał przed domem... Dziś przyszedł odwiedzić mnie...

— Kto to taki? Mówił ze mną zeszłej nocy — wiedział, zdaje mi się, że Louba nie żyje. Dlaczego chce on mnie ukrywać?

— Nie chce, by ktoś cierpiał za śmierć Louby. Uważa, że nie był on wart tego.

— Czy to jego jedyny powód? Czy dał ci adres?

— Tak. Pójdiesz tam?

— Muszę tu pozostać, gdzie mnie każdej chwili mogą znaleźć. Ale nim może się zainteresować policja.

— O, nie myślisz chyba, że to on uczynił!

— Nie wiem. Wiem tylko, że ja nie uczyniłem tego, a on wygląda na wmieszanego w to. Jeżeli jest niewinny, to mu się nic nie stanie, jeżeli odpowie na kilka pytań.

— Ale nawet jeśli jest niewinny, mógłby się narazić za to, że cię chciał ukrywać!

— O tem nie potrzeba wspominać. Napiszę do Browna i on pomówi z nim spokojnie i znajdzie, czego będzie potrzebował, nie krzywdząc go, jeżeli rzeczywiście z nim wszystko w porządku. Nie pytałaś się, co o tem wiedział?

— Niełatwo uzyskać od niego jakąś definitywną odpowiedź.

— Masz tu adres jego?

— Nie mam. Przypominam sobie, że położyłam go, chcąc go włożyć do torebki, ale zapomniałam. Będzie tam, gdzie zostawiłam. Pójdę i przyniosę. Czy nie możesz pójść ze mną?

— Niema powodu, dla którego nie mógłbym. Zostawię kartkę u mrs. Sittwell, gdzie jestem, w razie, gdyby mnie potrzebowali.

Wychodzili razem, gdy z za rogu wyjechała taksówka i wysiedli z niej Trainor i policjant.

— Bardzo mi przykro, mr. Leamington — rzekł Trainor — ale muszę zaarrestować pana pod zarzutem zamordowania Emila Louby.

— Ależ — ale — wykrztusił Frank blednąc — kapitan Brown powiedział —

— Żałuję bardzo — rzekł Trainor i wskazał na auto — ale są wyższe władze od Hurley'a Browna.

— Dobrze — rzekł Frank i zwrócił się do Beryl. — Nie smuć się, Beryl. To się wyjaśni. Nie zapomnij wydobyć wszystkiego, co wie ten człowiek. Może widział mordercę?

— Kto to taki? — zapytał Trainor.

— Człowiek, którego widzieliśmy w nocy pod Braymore House. Miss Martin zna jego adres.

Skinęła — potem nagle wskazała na przeciwny róg.

— O, tam jest! — zawołała. — Niema go już.

Policjant pobiegł, ale powrócił sam — mały człowiek znikł.

— Podejrzewa pani, że on coś wie o tej zbrodni? — zapytał Trainor.

— Nie. Nie podejrzewam go. Tylko on tam był. Widział, jak wszedłem, mógł więc widzieć też kogoś innego.

— Zatelefonuje mi pani jego adres?

— Dobrze. Uczynię to, gdy tylko wrócę do domu — odrzekła i patrzyła drżąca za odjeżdżającym autem.

Wizyta w mieszkanku w Balham nie odkryła jednak nic nowego. Było zamknięte i lokator nie wrócił. Czekano na jego powrót.

Przy przeszukaniu jego pokoiów również nic nie znaleziono. Niewiadomo było nawet, kim i czym jest. Wypytywania się nie dały nic ponadto, że jest to spokojny, solidny gentleman, od dłuższego czasu zajmujący już to mieszkanie.

— W jaki sposób spotkała się pani z nim, miss Martin?
— spytał Trainor odwiedzając ją wieczór po zaarrestowaniu.

— Był tu dziś rano i powiedział, że chciałby pomóc Frankowi.

— Czy skrytował ten plan pomocy?

Przyzwyczała się już do jego pytań i nie zawahała się.

— Nie — odrzekła. Nie mogła zapomnieć, że człowiek ten chciał ukryć Franka!

— Jak uzasadnił tę pomoc dla obcego człowieka?

— Uważał, że śmierć Louby nie powinna być powodem cierpienia dla niewinnych ludzi.

— Więc nie sympatyzował z Loubą?

— Nie powiedział tego. Był spokojny — taki mały człowieczek. To wydaje się niemożliwe, by on był w to wmieszany. Mr. Louba mógłby go połknąć.

— Jeżeli był przed domem — to może stał na straży, podczas gdy drugi był wewnątrz!

— No — on nie próbował wcale ostrzegać mnie, gdy tam byłam. Rozmawiał ze mną i zdawał się nie pragnąć, bym się szybko usunęła.

— Dlaczego więc uciekł dziś rano?

— Być może — odrzekła z goryczą — że widząc arestowanie jednego niewinnego człowieka, sądził, że żaden niewinny nie jest pewny w promieniu mili.

— No — rzekł Trainor wstając do wyjścia — to dlatego, że mr. Leamington był bliżej niż o milę i nie możemy pozwolić sobie na dalsze zawikłania.

— Wiem — dodała — jakto ponuro przedstawiać się musi — przeciw niemu — innym...

Trainor nie zaprzeczył.

Sprawa ta istotnie była zła dla Franka Leamingtona. I on nie mógł temu zaprzeczyć.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rzeczy, o których Miller zapomniał.

Ażeby ułatwić sobie pracę, inspektor Trainor zamieszkał w mieszkaniu Nr. 2. Z korytarza wychodziło się do mieszkania służby, zajętego przez Millera. Louba nie miał pokoju gościnnego. Sypialnia jego biegnąca od frontu domu do tyłu, mogła być w razie potrzeby przedzielona składanymi drzwiami. Było też łóżko składane, które wyglądało jak fotel i które mogło być użyte w razie potrzeby. Trainor kazał sobie przygotować jeden z pokoi służby i spędził w domu śmierci dwie noce, mierząc, badając, kalkulując, odtwarzając. Każdy cal dywanu zbadał przez szkło powiększające i wywoływał wszystkie odciski palców.

W niedzielę popołudniu po zaarrestowaniu Franka siedział w rzeźbionem krześle Louby, sortując i czytając papiery, jakie w biurku znaleziono, gdy wrócił jego pomocnik z pękiem fotografii, zrobionych w pokoju i powiększenia mi tych rzeczy, które wymagały bliższego zbadania.

— Czy znaleźli coś na połowie arkusza papieru — na tym z literą „P“? — zapytał Trainor, gdy urzędnik położył fotografie na stół.

— Mały odcisk, bardzo słaby, końca rękawiczki — o, tu jest. — Wskazał fotografię. — Na lewym rogu, na dole.

To skórzana rękawiczka — można doskonale odróżnić. Papier musiał trzymać w dole lewą ręką, gdy pisał.

Trainor potrząsnął głową.

— Oczywiście. To zupełnie bezużyteczne, chyba po to, by udowodnić, że morderca miał rękawiczki, a jak na sobotni wieczór, dziwne byłoby, gdyby nie miał. Jest jeszcze coś?

— Wygląda jakby piszący używał suchego pióra przez kilka linijek, nie zdając sobie sprawy, że nie jest zmaczane w atramencie — rzekł urzędnik. — Łatwo było odbić, bo silnie naciskał, ale słów tych nie można odcyfrować. Te dwa pierwsze jedynie podobne są do słów. Brzmia one: becza czy blaszanka i mika — na fotografii wypadły wyraźnie, ale inne są niemożliwe do odczytania.

Inspektor przyglądał się fotografjom w milczeniu.

— To mogłoby być napisane wcześniej. Nie pomyślałem, by zapytać się Millera o to. — Zadzwoił i wszedł służący.

— Nie, proszę pana — na biurku nie było popołudniu żadnej kartki papieru. Mr. Louba powiedział mi rano, bym zawsze przygotowywał papier i koperty w biurku i ganił mnie, że ich tam niema. Otworzyłem nową paczkę i nappełniłem przedziałki w pół godziny przed powrotem z klubu mr. Louby. Przed przybyciem „Charlie“ kilka razy wchodziłem do pracowni.

— No, tyle jest w sprawie „P“ — rzekł — a skrzynka bronzowa?

Urzędnik wyjął fotografie.

— Odciski palców na sprężynce — Millera —

— Tak, to było nierozsądnie, że pozwoliłem mu jej dotknąć — rzekł Trainor.

— Ale gdzieindziej wyraźne odciski inne — niech pan spojrzy.

Trainor przyglądał się fotografii z żywym zainteresowaniem.

— A tak, bez rękawiczek. Ale czy to może Louby? — Odłożył fotografię. — Ale spojrzmy na tę drugą. — Świecznik?

Urzędnik wyjął dwie fotografie.

— Żadnych śladów, tylko mr. Browna, on podobno znalazł tę broń.

Inspektor wstał.

— Niech pan usiądzie tutaj — rzekł. — Mam wrażenie, że Louba siedział, gdy go zaatakowano i że osoba, która go uderzyła, siedziała czy stała koło biurka. Najwidoczniej uderzenie to było niespodziewane.

Stanął przy małym biurku.

— Niech pan odwróci głowę — proszę patrzeć na kominek — czy może mnie pan widzieć?

— No — widzę rękę sięgającą po świecznik. Ale ja się tego spodziewam... Nie, teraz nie mogę widzieć...

Inspektor Trainor położył na stół świecznik, który podniósł.

— Louba nie spodziewał się uderzenia — przyszło ono z tej strony. — Otworzył drzwi do jadalni. — Prawdopodobnie stąd. Większość ludzi siedzi nieco bokiem przy stole. Głowa jego była zwrócona ku kominkowi. Niech się pan tak usadowi.

Detektyw przeszedł przez dywan. Nagle spuścił rękę na ramię urzędnika, aż ten podskoczył.

— Nie słyszał mnie pan, co? Niechże Miller wejdzie!

Miller wszedł do pokoju prawie równocześnie z naciśnięciem dzwonka.

— Miller, czy te drzwi były zamknięte w ową noc morderstwa?

— Nie wiem, sir.

— A od kuchni i pokoi służbowych prowadzi do jadalni dwoje drzwi. Czy były zamknięte?

— Nie, zdaje mi się. Ale tędy nie wszedł nikt, musiałby bowiem minąć doktora Wardena.

— Albo jeśli wszedł służbowym wejściem — rzekł znacząco Trainor. — Naprzykład było zupełnie możliwe, byś ty mógł przejść tak, by cię nikt nie słyszał. Przecież wyszedłeś tędy...

Miller poruszył się i wyglądał niewyraźnie.

— Ja nie powróciłem — to znaczy, gdy drugi raz wyszedłem — rzekł hardo — poszedłem zobaczyć się z moją dziewczynką.

Trainor, który powrócił do krzesła przy biurku, wpatrzył się w niego chłodnymi, przenikliwymi oczyma.

— Kto jest ta dama — jak się nazywa i jej adres.

Miller zawahał się.

— Miss Mary Cardew, 196, Briesty Gardens — rzekł. — Ona jest gospodynią. Będzie jej niemiło, jeśli będzie objęta śledztwem...

— Może ty będziesz się czuł bardziej pewnie, jeśli ona zadowolająco odpowie mi na moje pytania.

Miss Cardew była to ładna dziewczyna, o tak widocznej uczciwości, że Trainor, zanim nie przemówił do niej — interwiew miał miejsce w czystej kuchni w Briesty Gardens — wiedział, że tu nie spotka się z żadnymi wykrętami. Czekwała na narzeczonego o jakich 12 jardów od Braymore House. Prosił, by przyszła o dziewiątej.

— Jak długo był z panią?

— Nie więcej ponad minutę — rzekła dziewczyna — byłam zła, że tak długo daje mi czekać, ale mr. Miller był taki przygnębiony, że gniew mój nie trwał długo.

— Więc tylko minutę — jest pani pewna tego?

— Minutę — może dwie — nie dłużej. Śpieszył się, by wrócić.

Detektyw zagryzł usta.

— A gdy powrócił o dziewiątej, był zdenerwowany, czy tak jak zwykle?

— Był nieco zdenerwowany — powiedział mi, że coraz trudniej żyć mu z mr. Loubą i zapytał mnie, czy gotowa jestem wyjść za niego za miesiąc. Kupił rodzaj pensjonatu w Buth i mieliśmy to razem prowadzić.

Trainor powrócił do Braymore House, by zatopić się w nową teorię. Znowu zasypał Millera pytaniami.

— Nie było cię 15 minut — z miss Cardew spędziłeś najwyżej 5 z tych 15. Na pójście i powrót straciłeś ze 3 minuty. Co zrobiłeś przez pozostałe 7?

— Spotkałem służącego z pierwszego piętra i rozmawiałem z nim.

— O czym mówiliście?

— O jednym panu, którego obaj znamy.

Odpowiedź była tak chwiejna, że Trainor gotów był sądzić, że Miller kłamie. Ale rozczarował się. Służący potwierdził to zeznanie.

Miller oszczędzał przez te 14 lat, jakie przesłużył u Louby. Ludzie, którzy przyjeżdżali do niego z wizytą, dawali Millerowi grube napiwki, a pensja jego była także duża. Niezawahawszy się wyjął swą książeczkę i Trainor przeglądał ją. Była zachowana równowaga — żadna wielka suma nie wpłacana równocześnie — widoczny był bezustanny napływ mniejszych sum.

— Hm — rzekł Trainor, gdy skończył przeglądać.

Zaniepokojone oczy służącego wlepione były w Trainora cały czas, gdy badał książeczkę. Gdy została mu zwrócona, widocznie ulżyło mu się.

— Zaareztowano mr. Leamingtona, sir? — zapytał.

Trainor skinął.

— Nie widzę, jakby on to mógł uczynić.

— Zeszłej nocy był w tym pokoju — sam sobie drogę utorował — rzekł Trainor, a brwi Millera podniosły się.

— Tutaj? Jakże mógł wejść?

— Przez okno — wyważono je z zewnątrz.

Ale mówiąc to, detektyw wiedział, że najdokładniejsze badanie nie wykazało najdrobniejszych nawet znaków wyłamania okna siłą.

Miller potrząsnął głową stanowczo.

— To być nie mogło — rzekł. — Owej nocy mówiłem to urzędnikowi, prawda? Okna były zaśrubowane — dwie zakrętki, które były przymocowane do dolnej ramy.

Trainor wydał okrzyk zniecierpliwienia.

— Nie mówił mi pan o tem! Widziałem na dolnej ramie rygiel, który łatwo było wyważyć.

Miller poprowadził ich do sypialni i pokazał dwie małe dziury w ramie. Trainor zapalił światło i oświetlił ramę. Dziury były bardzo małe i łatwo mogły zostać niespostrzeżone, szczególnie, gdy przyjęło się za fakt, że jedynym zamknięciem jest rygiel.

— Sam je wśrubowałem i zamykałem tuż przed przyjściem mr. Louby — jak zawsze. Zawsze zamykałem okna przed jego przyjściem, ale zaśrubowywałem tylko na noc. Tego dnia uczyniłem to wcześniej, gdy się kąpał — tuż przed przyjściem „Charlie”. Noc była mglista, więc zakręciłem specjalnie dobrze, gdyż takie noce to noce włamywaczy.

Przeszukanie pokoju nie wykazało zakrętek, aż Trainor odsunął kapę pokrywającą łóżko poplamione krwią. Tam, na jedwabnych osłonach leżały śrubki.

— To musiało być pod ciałem — rzekł Trainor. — Nie zauważył ich pan?

— Nie — odrzekł urzędnik — było krótkie śpięcie tuż przed usunięciem go i musieliśmy tę pracę wykonać przy świecach.

Inspektor zaniósł śruby do drugiego pokoju i położył je na arkuszu papieru. Były bardzo cienkie — nie większe od szydeł, po jednej stronie mając obrączki z brązu.

— Na tem nie będzie śladów — rzekł. — Czy miałeś rękawiczki, Miller, wychodząc owej nocy?

— Tak, sir.

— Przynieś je.

Rękawiczki były z gruboziarnistej skóry.

— Byłoby trudno schować komuś te zakrętki — chyba, że był dobrze obeznany ze szczegółami mieszkania, czyż nie?

— No tak, niełatwo je spostrzec. Sam mr. Louba zapominał o tem. Kilka lat temu mieliśmy przez to trochę kłopotu. Mr. Louba chciał wypuścić kogoś szybko z mieszkania, a ja tak zaśrubowałem, że nie mógł odkręcić. To była noc podobna do owej nocy...

— Była to kobieta?

— Tak, sir, przyjaciółka jego. Nie wiem dobrze, kto to był — chciał, by wyszła jak najprędzej.

Miller nie przypominał sobie żadnych szczegółów, tylko ten, że Louba zdrapał sobie skórę przy odkręcaniu śrub. Kobiety nie widział — była to droga przyjaciółka mr. Louby. Miała własny klucz i przychodziła zwykle, gdy Millera nie było i zwykle Louba wypuszczał ją sam przez wyjście służbowe.

— Ona jest jedyną osobą, o jaką mr. Louba dbał kiedykolwiek. Pokazywał jej wszystkie swe jedwabie i rzeźby. Wiedziałem zawsze, kiedy ma przyjść, gdyż wtedy porozkładane były te obce materje. Zdaje się, interesowała się ona Wschodem. To było ostatni raz, gdy się dowiedziałem

coś o niej — ta noc, gdy nie mógł otworzyć okna. Była z tem cała historia, bo zadzwonił alarm, ale mr. Louba musiał jej powiedzieć, by obeszła za tył domu, by portjer jej nie widział.

— Czy mr. Louba miał dużo przyjaciółek?

— Dosyć — odrzekł lakonicznie Miller.

Trainor przyglądał się śrubom.

— Czy „Charlie” będzie wiedział coś o tem? — zapytał.

— Być może. Mam wrażenie, że on tu był kiedyś przedtem i w myślach złączyłem go z historją, jaką panu opowiedziałem. To dziwne, że tak czynię, bo go sobie dobrze nie przypominam.

— Te rzeczy, których nie możesz sobie przypomnieć, mogłyby wypełnić bibliotekę! — rzekł zirytowany Trainor.

ROZDZIAŁ XIX.

Charlie i Kate.

Tego ranka tysiące ludzi czytało z zainteresowaniem i z dreszczami zadowolenia historję morderstwa Louby. Jeden zaś czytał ją z twarzą szarą z przerażenia, z rękoma trząsącemi się.

Mr. Charles Berry był człowiekiem źle wyglądającym w wieku około 35 lat. Wszystko, co było wypisane na jego twarzy, było złe. Niskie czoło, wielka szczęka, szeroki nos — wszystko świadczyło o jednym... Strzępiaste, czarne brwi spotykały się nad oczyma, za małemi w stosunku do tej szerokiej twarzy i potwierdzającemi wszystko, co mówiły jej rysy.

Siedział skurczony na małym fotelu na najwyższem piętrze hotelu Wilberbaum Temperance, gryząc paznokcie, z gazetą rozłożoną przed oczyma.

— Nazywany „Charlie“ — szepnął. Potem przeszedł przez pokój i pchnął drzwi. — Louba nie żyje — krzyknął.

Koło okna siedziała kobieta z rękami złożonymi na szerokim przedokniu. Była ładna, ale zwiędła, mimo pudru, jakim grubo była nakryta jej twarz i mimo przesadnej czerwieni jej warg.

Zwróciła swe głęboko osadzone oczy na dziką postać w drzwiach.

— Kłamiesz, jak sądzę — rzekła — a jeśli nie żyje, to mam nadzieję, że jest w piekle!

Skoczywszy przez pokój chwycił ją za ramię zrywając ją na nogi.

— Tak sądzisz, co? — wypluł wściekle. Potem uderzył ją w twarz — ale ona nawet nie drgnęła. — On był naszym chlebodawcą, przekłeta! A co teraz zrobisz, ty, obrzydliwa szkapo! Nie będą ci placili za śpiewanie w Boida tysiąc lej tygodniowo! A tysiąc lej to nie znaczy nawet pięć centów!

— Będę pracowała — rzekła.

— Oczywiście, że będziesz! Patrz, czytaj!

Wpakował w jej rękę gazetę i stał wpatrzony w nią.

— To ty! Czy ty zabiłaś go? — zapytała.

Wydawszy bestjałski krzyk chwycił ją za gardło i trząśł nią, aż oczy jej zamknęły się i ciężko upadła w jego ramiona.

— Zapytaj mnie o to jeszcze! warjatko! Zapytaj znów, a zobaczysz, co zrobię! Zabiję cię! Otruję! Charlie Berry nie zapomniał jeszcze swego dawnego rzemiosła!

— Pragnęłabym, o Boże, byś mi dal truciznę — szepnęła trzymając się poręczy łóżka. — Nie wiem, jak mogłam przeżyć wszystkie te lata... A teraz, gdy on nie żyje, nie ma już dla mnie wyjścia!

— I także dla mnie niema! — zawołał. — Czyż nie poślubiłem cię? Czy nie przygarnąłem cię, gdy byłaś śmieciem i nie zrobiłem z ciebie szanowanej kobiety!

— Obyś tego nie był zrobił! — rzekła wracając do krzesła pod oknem.

Wypatrzył się na nią.

— Teraz masz sposobność, jeśli chcesz zarabiać na życie — syknął. — Jeśli chcesz uciec, wracaj i powiedz pewnej osobie, czem jesteś i czem byłaś!

— Wiesz, że nie mogę — wiesz, żebyś umarł ze strachu, gdybym to uczyniła — rzekła wzruszając ramionami. — Jestem związana z tobą. Nic na świecie nie może nas rozłączyć.

Porwał gazetę i czytał znów.

— Policja będzie węszyć za mną po całym Londynie — a on miał twe listy, które znajdą!

Na sekundę promień nadziei zajaśniał w oczach kobiety.

— Pokazał mi je — mówił Berry — cisnął mi je w twarz. Powiedział, że cię nie oblaskawił — wyśmiewał się ze mnie — pieniądze tylko wyżebrałem od niego. Powiedział, że trzeba będzie, byś wróciła do Rumunii.

— Nie wrócę — rzekła z ożywieniem. — Możesz mnie zabić, ale nie pojedę tam. Jeśli jest w tobie choć cień człowieka, to nie pošlesz mnie znów do tego piekielnego życia!

Charles Berry w zamyśleniu gryzł wargi. Wróciło mu trochę odwagi.

— Całe szczęście, że dostałem pieniądze — rzekł — ale będziemy musieli czmychnąć stąd. Połowa ludzi w hotelu poznałaby mnie.

— Dokąd możemy odjechać?

— Do Deptford — tam jest jeden mój znajomy. Wystara mi się o mieszkanie. Powinniśmy tam od razu pójść — jak ci już mówiłem.

— Kiedy chcesz jechać? — spytała podejrzliwie.

— Teraz. Wczesne pociągi na północ wyjeżdżają przed jedenastą. Powiedziałem tej starej babie, że zostanę tu tylko kilka dni. Pakuj te drobiazgi.

Pozostawił ją przy tej pracy i powrócił do studjowania gazety. Lepiej nie uczyniłby tego. Gdy czytał znów o szczegółach zbrodni spopielał na myśl niebezpieczeństwa.

Żona jego weszła do pokoju z walizą za ciężką dla niej. Była ubrana. Na twarzy miała czarną woalkę.

Dorózka zawiozła ich naprzód na stację Great Northern. Stąd podziemną koleją pojechali na Farringdon Street i przesiedli się na pociąg New Cross. Mała Kirh Street kiedyś była bardzo ruchliwą ulicą. Królowała w niej średnia klasa 19 wieku. Teraz oddana była biednym. Pięć rodzin było skupionych w tych nędznych domach. Drzwi były otwarte w noc i dzień.

— To tu. — Berry zatrzymał się przed jedyne drzwi, które były zamknięte — i zapukał. Za chwilę otwarł je nieogolony człowiek w zniszczonym ubraniu.

— Hallo, Charlie! Co się z tobą dzieje?

Miał w ręku gazetę i uderzał w nią znacząco brudną dłonią.

— Wpuść nas — wszystko ci opowiem — prosił Berry, a mężczyzna usunął się niechętnie i wpuścił ich.

— Będziecie musieli albo tu albo tam — mruknął — ja się nie mogę narażać.

Wziął walizkę z bolących rąk kobiety. Była mu wdzięczna. Szli schodami do góry. Był tylko jeden pokój, ale obszerny.

Berry pozostawił ją samą, podczas gdy konferował z swym gospodarzem, a ona bez najmniejszego wstępu patrzyła na ponury brud ulicy. Bukareszt w najgorszej dzielnicy był rajem w porównaniu do tego, ale brzydota stolicy Rumunii przedstawiała się więcej ponuro, gdyż leżała w sercach złych ludzi.

Przestała już litować się nad sobą. Miała 27 lat. Czasem zdawało się jej, że ma 100. Jeżeli — minął już dla niej czas tych „jeżeli“... Usłyszała kroki męża na schodach. Wszedł i zamknął drzwi na klucz. Jeżeli tego ranka twarz jego była szara, to teraz była biała. Drżał cały, a gazeta trzymana w ręku szeleściła głośno.

— Kto, myślisz, posiada tę szkatułkę, Kate? — W swem przerażeniu traktował ją prawie—że ludzko.

— Morderca Louby?

— O mój Boże! dlaczego wróciłem do Londynu! — jęczał. — Dlaczego? Mógłbym żyć w tym kraju Madziarów i zarabiać na życie. Poco mnie tu sprowadziłaś, ty tancerko przeklęta! ty dziewczko z kawiarni! — wołał i zbliżał się do niej z wyciągniętymi rękami.

Cofnęła się. Ale on nie tknął jej. Ręce jego opadły i stał przed nią bez tchu.

— Kto posiada tę szkatułkę? — zapytała.

— Hurley Brown — Hurley Brown!

Przez chwilę patrzyła nań nierozumiejąc. Potem z westchnieniem zasłoniła oczy rękoma. Przez chwilę stała chwiejąc się, a potem padła na podłogę i leżała tam z głową w ramionach, płacząc...

ROZDZIAŁ XX.

Teorja Millera.

Jak na Londyńczyka, doktor Warden wstawał bardzo wcześniej. Miał on rozległą praktykę i był sumiennym lekarzem. Skończył śniadanie i przeglądał dzienniki. Był zadowolony, gdy zauważył, że nazwisko jego nie zostało wplątane w morderstwo. Reporterzy przyglęni do lekarza

okręgowego, a chociaż potrzebne były jego zeznania przy śledztwie, był jednak wdzięczny za pominięcie, bo nie lubił udzielać objaśnień reporterom.

Gdy służąca zaanonsowała gościa, robił właśnie doświadczenia w swem laboratorium.

— Poproś, Mary.

Był to Miller, służący Louby.

— Dzień dobry, Miller. To bardzo przykra historia. Bardzo mi cię żal. Przypuszczam, że także jesteś podejrzany. W takich wypadkach każdy jest podejrzany, więc nie przerażaj się tem. Są jakieś dalsze wiadomości?

— Nie, sir, tylko to, że policja wyszła tego „Charlie” aż do jego hotelu, ale już go nie było, gdy tam przybyli.

— Czytałem to — rzekł doktor — ale przypuszczają, że on jest wciąż w Londynie.

— Doktorze — Miller zawahał się — czy mogę panu coś powiedzieć... Przypomina pan sobie, gdy wyszedłem, by zobaczyć się z moją narzeczoną?

— Tak — rzekł doktor — nie było cię przez kwadrans, to znaczy dosyć czasu, jeżelibyś chciał — dodał żartobliwie — by wejść przez wyjście w razie ognia.

— Na miłość boską! Niechże pan takiego pomysłu nie wypycha w ich głowy! — zawołał zdenerwowany człowiek.

Doktor Warden zaśmiał się.

— Ja tylko żartowałem — może żart nieco wątpliwy, co? Więc cóż takiego?

Miller odetchnął głęboko.

— Otóż czy pan wie, że dom był śledzony?

— Słyszałem, że widziano tam niejakiego Weldrake, człowieka, którego nikt nie zna i którego teraz nie mogą znaleźć.

— Nie, nie on, sir. Ktoś, kogo znamy...

Doktor zmarszczył się.

— Masz na myśli mr. Leamingtona? Widziałeś go?

— Nie mr. Leamingtona — ale człowieka, jakiego najmniej spodziewałem się ujrzeć — mr. Hurley Browna!

— Co!

— Mr. Hurley Brown! Widziałem go wyraźnie!

— Ależ, Miller, to niemożliwe! Mr. Brown jadł w klubie, gdy się udałem do was i teraz wróciłem.

— To mi wszystko jedno — rzekł uparcie Miller. — To był kapitan Hurley Brown. Był on w bramie Braymore House, gdy wychodziłem.

— Sam?

— Tak, sir. Rozmawiałem ze służącym na piętrze — tym, który przyszedł potem z zawiadomieniem, że krew spływa z sufitu — i powiedział, że widział człowieka, którym musiał być mr. Brown, stojący w bramie, gdy wchodził Charlie. Służący widział lepiej tego Charlie niż ja.

— Dlaczego policja nazywa go Charlie?

— Dlatego, że biedny mr. Louba tak go nazywał. — Wejdz, Charlie — mówił. Opowiedziałem o tem mr. Trainorowi. Brown stał i widział, jak Charlie szedł boczną ścieżką — jak opowiadał służący — potem odwrócił się, zanim służący nie ujrzał jego twarzy. Mojem zdaniem, sir — pociągła twarz Millera zadrgała w podnieceniu, gdy wykładał swą wielką teorię — mojem zdaniem, sir, tak jak dwa a dwa — pewne jest, że jeśli ktoś wie napewno o tem, kto zamordował — to wie o tem mr. Hurley Brown!

Doktór Warden patrzył nań w milczeniu.

— Tak sądzę, doktorze, że mr. Hurley Brown wie coś więcej o tem morderstwie —

— Jak śmiesz! — zawołał doktor, czerwony z gniewu. — Jak śmiesz wypowiadać takie podejrzenie! Mr. Hurley Brown! Komisarz policji! Przecież to jest idiotyzm! Równie dobrze mógłbyś posądzić mnie — ja byłem przynajmniej tam sam przez kwadrans. Mr. Brown!

— Bardzo mi przykro — rzekł Miller pokornie — nie miałem nic złego na myśli, tylko on był tam wczoraj i szukał za czemś — całe mieszkanie przewrócił do góry nogami.

— Ależ to jest jego obowiązkiem, Miller. Cóż innego może czynić, jak nie przewracać do góry nogami w poszukiwaniu za jakimiś wskazówkami!

Miller zwiesił głowę zgnębiony.

Stał w milczeniu, chociaż zdawało się, że sprawa jest skończona.

— Wszelkiego rodzaju ludzie przychodzili do mr. Louby — rzekł wkońcu.

— Jak kto naprzykład?

— Sir Harry Marshley — lady Marshley... I gdy tak rozmyślałam nad tą sprawą, pewny jestem, że Charlie odwiedzał go często. Nie potrafię dokładnie sobie przypomnieć — ale coś w jego sposobie chodzenia jest mi bardzo znane...

Doktor rzucił nań szybkie spojrzenie.

— Mam wrażenie, że chcesz mi jeszcze coś powiedzieć — rzekł. — Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeśli mi powiesz — albo lepiej jeszcze — powiedz policji.

Ale na wzmiankę o policji nerwowość Millera stała się widoczniejszą i wyszeptawszy usprawiedliwienie za swoje przybycie, wyszedł szybko.

ROZDZIAŁ XXI.

Człowiek, który śledził „Charlie’go“.

Doktor powrócił do swoich doświadczeń i po skończeniu ich zdjął biały płaszcz i poszedł do swego gabinetu doktorskiego. Rano otrzymał telefoniczną wiadomość od Browna, informującą go o wyjaśnianiu się sprawy.

Tego dnia jadł śniadanie w klubie. Dowiedział się od jednego ze służących, że Frank Leamington został powołany przez władze z Bow Street pod zarzutem morderstwa i że zawezwano go ponownie. Popołudnie miał wolne, a po obiedzie pojechał na Edwards Square. Szedł już po schodach 903, gdy otwarły się drzwi i wyszedł sir Harry Marshley. Na jego nieprzyjemnej twarzy trwał wyraz głębokiej posępnosci.

— Dzień dobry, doktorze — mruknął. — Mam nadzieję, że lepiej uda się panu z tą damą, niż mnie. Podlejszej niewdzięczności nie spotkałem nigdy.

Doktor Warden bardzo mało znał barona. Kiedyś był on jego pacjentem.

— Nie wiedziałem, że miss Martin ma jakiś specjalny powód, by być panu wdzięczną — rzekł sucho. — Ciekawy byłbym dowiedzieć się, dlaczego sądzi pan, że ona jest niewdzięczna?

— Prosiłem ją, by w całej tej sprawie nie wymieniała mego nazwiska — ale ona odmówiła mi z miejsca — rzekł z goryczą sir Harry. — Powiedziałem jej: dla dobra matki pani...

— Pewny jestem, że oceniła pańskie względy dla jej matki — rzekł doktor. — Co się panu stało, Marshley? Wzruszył ramionami.

— Jestem zrujnowany — rzekł ponuro. — Policja była u mnie wczoraj wieczór. To byłoby już źle pod każdym względem — ale jeśli się weźmie pod uwagę, że wyszło źródło moich dochodów, to może pan zrozumieć moje uczucie.

— Louba prowadził to za pana, co?

— Tak — odrzekł. — Nie przypuszcza pan chyba, że mam pieniądze na tak wielki dom i tak kosztowne wykwi-

powanie. Moja biedna żona jest zrozpaczona. Od wczoraj wieczór nie przestała płakać. To okropny cios dla nas!

Poszedł do taksówki, czekającej na niego, a doktor zapukał do drzwi. Służąca powiedziała, że miss Martin nie przyjmuje nikogo, ale doktor podał swoje nazwisko i Beryl zjawiała się po kilku minutach. Wyglądała znużona i blada, ale bardzo spokojna.

— Powiedziałam mamie wszystko — rzekła — i mogłabym sobie zaoszczędzić wiele trosk, gdybym była na tyle rozsądna, by jej to wcześniej powiedzieć. Pan doktor nie był w sądzie?

— Nie — odrzekł. — A pani?

— Tak — odrzekła — było tylko formalne przesłuchanie — dowody zaarrestowania. Oczywiście, Frank nie zabił go i zeznania jego są prawdą.

— Jestem pewny tego — rzekł Warden. — Przyszedłem teraz — tu — zawahał się — by zapytać, czy mogę pani w czemkolwiek pomóc. Na szczęście Frank ma dosyć pieniędzy na obronę i słyszałem, że oddał sprawę sir Carthew Barnet. Ale pani —

Uśmiechnęła się słabo.

— Mamy pieniądze, doktorze — dziękuję. Jestem wdzięczna za pamięć. Jeżeli będę zmuszona wykupić te czeki, oczywiście, będziemy zrujnowane. Ale narazie niema obawy o kłopoty finansowe.

— Czy Louba zwierzał się pani kiedy? Czy mówił kiedyś o swem przeszłym życiu?

— Raz tylko — rzekła po namyśle. — Nie znalazłam go dobrze. Przed miesiącem był zupełnie obcy dla mnie.

— Czy mówił kiedyś o kimś, kogo znamy?

Spojrzała nań i skinęła.

— Tak. Powiedział mi, że w Londynie jest człowiek, który go nienawidzi — jedyny człowiek, któremu udało

się wziąć górę nad nim. Takie były jego słowa. Nie znam szczegółów tej sprawy, ale domyślam się, że mr. Louba był lichwiarzem wiele lat temu i że ponosił odpowiedzialność za pewnego młodego człowieka, którego doprowadził do takiej sytuacji, że ów młodzieniec zastrzelił się. Był to wojskowy i ktoś z jego pułku zabrał się do walki z Loubą i zrujnował go — kazał go wyrzucić z wyspy. Przypominam sobie to, chociaż nigdy nie rzekł mi, jaka to była wyspa.

— To była Malta — rzekł doktor w zamyśleniu. — Czy nie wymienił nazwiska tego człowieka?

Odwróciła oczy.

— Wolalabym panu tego nie mówić — rzekła. — W tej chwili nie byłoby to z mej strony zupełnie...

— Czy był to Hurley Brown?

Spojrzała nań.

— Pytam się pani o to w najgłębszem zaufaniu — rzekł — i zapewniam panią, że ani słowo z tego, co mi pani powie, nie przejdzie nigdy przez me usta.

— To był mr. Brown — odrzekła. — Ale to było wiele lat temu — długo przedtem, zanim mr. Brown wstąpił do służby w policji.

— Wnet po tem zdarzeniu wstąpił do policji na Malcie — rzekł doktor — potem porzucił to i dziesięć lat temu przybył do Anglii, zamierzając oddać się rolnictwu. Coś się stało — i powrócił znów do Indji, tam wstąpił do policji i wreszcie przeniesiono go na wakujące miejsce do Scotland Yard.

— To wszystko powiedział mi Louba — rzekła. — A po-zatem jeszcze zwierzył mi się, jaką czerpie przyjemność z należenia do tego samego klubu, co mr. Brown. Czy przypuszcza pan, że Frankowi naprawdę grozi zasądzenie?

Doktor Warden gryzł wargi w zamyśleniu, a szare jego oczy spoczywały na dziewczynie.

— Nie zdaje mi się — rzekł. — Tyle jest rzeczy, które musi się brać pod uwagę. Zostało udowodnione teraz ku zadowoleniu policji, że niemożliwą jest rzeczą, by to okno do sypialni Louby mogło być otwarte z zewnątrz. Jedyne możliwy sposób, w jaki mogło być otwarte, to albo wyjęcie szyby, albo wspólnik w mieszkaniu. Szyby są całe, a dwie śruby, przytrzymujące okna zostały znalezione pod ciałem Louby, musiały więc być tam położone, zanim Louby nie przeniesiono na łóżko. Nie zostały one wyłamane, ale przez kogoś wykręcone. Dlatego całe opowiadanie Franka jest prawdą. A ma on jeszcze to bene, że zupełnie pełne i jak-najszczerze zdał sprawozdanie z roli, jaką odegrał. Nie ulega wątpliwości, że zastał okno otwarte. Sam Louba nie byłby go otworzył, gdyż była to noc zimna i dżdżysta. Opowiadanie Franka jest prawdą. Oczywiście był on szaleńcem! Miałem pewne obawy — owej nocy widziałem go — pani wie...

— Kto go zabił doktorze? — zapytała Beryl.

Doktor milczał.

— Czy podejrzewa pan kogoś?

— Więcej, niż podejrzewam — odrzekł.

Tego popołudnia widział się w klubie z Brownem, ale nie było nic nowego do omówienia.

— Trainor jest zadowolony, że Leamington jest niewinny — rzekł Brown. — Nie, ja tego w niego nie wmówiłem — on do tego wniosku doszedł bez mej pomocy. Faktem jest, że byłby wcześniej na to przyszedł, gdyby nie moja wyraźna przychylność dla Franka.

— Czy znalazł pan „Charlie“?

Browna potrząsał głową.

— Gdyby nie ta przekłeta mgła, złapałbym go owej nocy — rzekł.

Doktor zmarszczył brwi.

— A więc prawdą jest, co mi powiedział Miller — pan śledził „Charlie“! Dlaczego?

— Nie jestem przygotowany na wytłumaczenie, Warden. Jest prawdą, że natknąłem się na niego wkrótce po opuszczeniu klubu w sobotę popołudniu. Widziałem go tuż koło siebie i poznałem w nim kogoś — przerwał.

— Kogo? — spytał doktor niecierpliwie.

— Nie powiem panu tego. W każdym razie śledziłem go, chcąc się dowiedzieć, gdzie mieszka. Widziałem, jak wchodził do Braymore House i widziałem, jak wychodził. Ale mgła zwyciężyła mnie. Przekonałem się, że śledzę innego. Zgubiłem go. Co powiedział Miller?

— Poznał pana — rzekł doktor — i potwierdził to służący z niższego piętra. Zdaje mi się, że dobrze byłoby, byś pan tę czysto detektywną pracę pozostawił swym ludziom. To nie należy do pańskiego zajęcia, śledzić lotrów we mgle.

Hurley Brown nie odrzekł nic. Nie nadeszła jeszcze chwila wypowiedzenia się. Wrócił do swego biura i zastał tam Trainora. W zachowaniu się jego zaszła prawie nieostrzegalna zmiana. Było coś w sposobie odnoszenia się Trainora, co jeśli nie było mu nieprzyjemne, to w każdym razie nie podobało mu się. Czy detektyw wiedział, że był on w pobliżu Braymore House w noc morderstwa? To była myśl niepokojąca...

— Postarałem się o łukowe światło przenośne w mieszkaniu zamordowanego — rzekł. — Pożyczyłem je z pracowni kinowej. Od czasu morderstwa nie mieliśmy tam światła dziennego, a oświetlenie mieszkania jest bezużyteczne.

— Czy znalazł pan coś?

— Mnóstwo! Są czerwone plamy w przedpokoju — kilka... A co jest bardzo ciekawe, to to, że morderca wyszedł głównym wejściem, nie służbowem, ani nie w razie ognia. Na wewnętrznej szybie jest znak, co do którego pewny jestem, że pochodzi z krwi. W łazience znalazłem nieznaczące ślady na ręczniku. To jest bardzo ważne. Jak twierdzi Miller, ręczniki były czyste — zmienił je po kąpieli Louby tego wieczoru. Szukałem przedewszystkiem ręczników — ale jeden, który widziałem, napewno nie był używany. Są one złożone razem. Przeglądając je, znaleźliśmy ręcznik użyty ładnie złożony i włożony pod pół tuzina innych. Był jeszcze wilgotny.

— Sprawa ta staje się coraz więcej zakłębana — rzekł Brown. — A co z Millerem?

Trainor odrzekł dobitnie:

— Miller może być w to wmieszany. Mojem zdaniem popełniono morderstwo między 7 a 9. Doktor Warden powiada, że nastąpiła nagle cisza — tak nagle, że nie mógł jej nie zauważyć. Czytał w przedpokoju — i podniósł głowę, gdy cisza zapanowała, nadśluchował. Potem nie słyszał już nic. Nie słyszał, by „Charlie” wychodził z mieszkania. Cóż prawdopodobniejszego, że „Charlie” wyszedł wyjściem w razie ognia? Gdyby wyszedł tą drogą i gdyby Louba żył, okno pozostałoby zamknięte przez Loubę! Gdyby już nie żył, wówczas „Charlie” i jego wspólnik w morderstwie śpieszyli by się tak bardzo, że zostawiliby okno otwarte. W każdym razie „Charlie” nie mógłby zamknąć okna za sobą.

— Ale mógłby Miller, gdyby był tym wspólnikiem — rzekł Brown.

— Ale on tego nie zrobił! Oto cała sprawa! Miller mógłby być łatwo wmieszany w to morderstwo. Mógł wyjść, zo-

baczyć się z swoją dziewczyną, wrócić po morderstwie i wypuścić współnika. Ale w takim razie —

— W takim razie pozostawiłby okno otwarte, by odwrócić podejrzenie od siebie — przerwał Brown. — Tak byłby uczynił. Ktoś był w mieszkaniu po odejściu doktora — to jest jasne.

— Miller był tam jeszcze przez dziesięć minut. Jeżeli wyeliminujemy Millera i uważać go będziemy za niewinnego, to musimy wytłumaczyć czerwone ślady w przedpokoju, które nie mogły tam być, gdy doktor czekał i gdy Miller był w mieszkaniu. Ślady na szybie zostały starte przez kogoś — prawdopodobnie przez mordercę. Wygląda tak, jakby usiłowano wynieść ciało drzwiami frontowymi. Zdaje mi się, że to musiało się stać między 7.30 a 8... Miller zdał sprawę zadowolająco ze swych czynności od chwili, gdy opuścił mieszkanie aż do powrotu swego o 10.30. Jednak Miller nie jest zupełnie wykluczony z tego. Morderstwo mogło być popełnione w tych 10 minutach, gdy pozostał sam z Loubą. Jest wejście do biblioteki przez kuchnię i jadalnię. Wszystkie tamte drzwi były zamknięte, a te które prowadzą z sypialni Louby, były zawsze zamknięte. Jest jedno zawiązanie w czasie, któreby mogło być wyjaśnione. Czy widział ktoś, jak „Charlie“ wychodził z Braymore House?

To było wyzwanie. Trainor patrzył nań badawczo, czekając na odpowiedź, gdyż wiedział dobrze, że sam Brown widział wychodzącego „Charlie“. Miller powiedział mu o tem.

— Któż miałby go widzieć? — zapytał chłodno Brown.
— Czy zna pan kogoś, kto mógłby widzieć?

Trainor zawahał się.

— Nie — odrzekł.

Tego wieczora o siódmej Trainor stał w swem biurze rozmyślając nad zahaczeniami, jakie wynalazł. Dostosowywał fragmenty zagadki, jaką dano mu do rozwiązania.

Hurley Brown opuścił Scotland Yard zostawiając zawiadomienie, że jest w klubie. O szóstej detektyw udał się do swego szefa i przekonał się, że jeszcze nie przybył do klubu.

— Hurley Brown? — Trainor zmarszczył brwi. Było zupełnie jasne, że Brown chciał się zdala trzymać od tej sprawy. Było też zupełnie jawne na podstawie informacji, jakie zaciągnął, że Hurley Brown miał swe osobiste porachunki z Loubą. Ale morderstwo — to było niemożliwe!

Usiadł, wyjął notes i ołówek i znów wypisał wszystkie hipotezy, wszystkie prawdopodobne i nieprawdopodobne osoby, któreby mogły być odpowiedzialne za zbrodnię.

Nagle ołówek jego zatrzymał się...

Da Costa! Co Brown powiedział o da Coście? Stary rywal Louby — i mieszka w mieszkaniu ponad nim. Oczywiście, to było wygodne dla niego, że nie było go w domu w czasie morderstwa.

Czy go naprawdę nie było?

Nie było powodu przypuszczać, że nie — z wyjątkiem tego — kto zadzwonił na windę podczas drugich odwiedzin doktora w noc śmierci Louby?

ROZDZIAŁ XXII.

Człowiek, który zniknął.

Mała postać niewidoczna czekała na sposobność, gdy portjera nie było już widać i gdy dno windy zniknęło posuwając się ku górze. Wysłiznął się z posępnego światła i pobiegł do góry schodami.

Chociaż było to rano, światła były zapalone, ale lampy nie były silne i było mroczno i pełno cieni na schodach.

Doszedł niepostrzeżenie do mieszkania da Costy i zadzwonił. Uchem przywartem do drzwi słuchał w natężeniu. Wyjął z kieszeni zapieczętowaną kopertę, wsunął ją pod drzwi, jakby się obawiał, że mogą spostrzec ją w skrzynce na listy.

Czekał przez pewien czas jakby na odpowiedź. Potem zszedł i zniknął w mgłę ulicy.

Powrócił o zmroku i używając tychsamyh ostrożności znów udał się pod mieszkanie da Costy i zadzwonił. Ponieważ nie było odpowiedzi, wsunął pod drzwi drugi list i czekał. Ale w mieszkaniu było cicho.

Wyjął z kieszeni płaską puszkę sardynek, którą wsunął przez otwór na gazety. Potem wrzucił chleb, masło i ser ułożone w płaskie paczki dość małe, by mogły przejść przez otwór, poczem zbiegł schodami i znikł jak cień, gdy portjer odwrócony był plecyma.

Wcześniej nazajutrz udał się znów. Sprzyjała mu posępna mgła, chociaż umiał on już pozostawać niewidocznym, gdy pragnął tego. Wychodząc — tymrazem wyjściem służbowem — spotkał Millera, który wracał od doktora Wardena, zajęty myślami, w jaki sposób zdanie jego o Brownie zostało przyjęte. Miller nie zwrócił uwagi na małego człowieka, który wyminał go w mrocznych drzwiach.

Wsiadłszy do autobusu pojechał do rogu ulicy pod mieszkanie sir Marshley'a, wysiadł i poszedł do sir Harry'ego. Miał nieco trudności w zobaczeniu się z nim, przyjęto go dopiero wtedy, gdy napisał na bilecie, że wizyta jego dotyczy obecnych okoliczności.

— Co pan chce przez to powiedzieć — zapytał sir Harry, wchodząc do pokoju, gdzie czekał Weidrake. Po bezskutecznych odwiedzinach u Beryl Martin, zgnębiony sytuacją,

w jakiej się znalazł, Marshley był wściekły. — Obecne okoliczności? Jakie okoliczności?

— Śmierć Emila Louby — odrzekł łagodnie mały człowiek.

— Cóż to ma ze mną wspólnego?

— Sądziłem, że jest to wielka strata dla pana.

— Niech będzie przeklęta ta dziewczyna! — zawołał sir Harry. — Czy już wszędzie roztrąbiła me nazwisko? Dlaczego nie potrafiła przypilnować tego swego młodzieńca? Wówczas Louba żył by, a ja nie byłbym — przerwał. — No, czego pan chce? — zapytał.

— Zastanawiałem się, czy nie żałuje pan, że odmówił pan wizyty mr. da Costy.

— Czy nie będę co?

— Tak... Czy on tutaj nie przyszedł w sprawie zaofiarowania panu finansowania tego zamiast Louby?

Sir Harry wpatrzył się w niego: mały człowiek uśmiechał się uprzejmie.

— Kto mówił, że on tu był? — zapytał wkońcu.

— Widziałem go.

— Kiedy?

— Owej nocy, gdy Louba został zabity.

— Owej nocy było tu dużo ludzi. Co pan ma na myśli mówiąc, że on postawił mi propozycje?

— Widziałem jak rozmawiał z panem — w tym małym pokoiku wychodzącym na ulicę. Widziałem przez okno... Brał na siebie dużo spraw Louby, a więc... Domyśliłem się, że chodzi mu o to.

— A, widział nas pan przez okno? A co pan tam robił?

— Tak sobie spacerowałem.

— A więc tak! Czy zwykle spaceruje pan wglądając w cudze okna?

— Jeśli mają jakąś styczność z Loubą. Bardzo interesowałem się Loubą — odparł Weldrake uprzejmie.

— No, niech mnie powieś! —

Sir Harry włożył ręce do kieszeni i rozstawiwszy szeroko nogi wpatrzył się w swego gościa ze zdziwieniem.

— Oczywiście, było to może słuszne, że tak pan potraktował da Costę — mówił dalej Weldrake. — Prawdopodobnie nie był bardzo taktowny i oczywiście był obcym dla pana. Zauważyłem, że był pan rozgniewany. A jednak —

— Czy da Costa przysłał pana do mnie?

— O nie! — zaprzeczył szybko mały człowiek. — Ja tu przybyłem zupełnie z własnej inicjatywy.

— Po co? — zapytał szorstko sir Harry.

— No — pomyślałem, że teraz, gdy Louba już nie żyje i pan potrzebuje świeżych dochodów, zechciałby pan może zastanowić się jeszcze nad odpowiedzią dla da Costy...

Sir Harry wpatrzył się w niego oburzony. Faktem było, że potrzebował dostawcy nowych dochodów, a gdyby ten da Costa był w stanie zastąpić Loubę, to oczywiście żałowałby, że tak z nim postąpił.

— Jeśli tak, to co? — zapytał.

— W takim razie sądziłem, że jako cofnięcie tej groźby wyrzucenia go przez okno za jego bezczelność — usłyszałem te słowa, ponieważ podniósł pan głos — tłumaczył przyjemnie — sądziłem, że może zechce pan oddać mu usługę.

— Jaką usługę? — zapytał sir Harry podejrzliwie.

— Sądziłem... że gdyby potrzebował jakiegoś ukrycia...

— Ukrycia? — sir Harry przerwał osłupiały. — Mocny Boże! Więc to po widzeniu się da Costy ze mną i po oświadczeniu mi, że zostaną bez pomocy Louby, Louba został zabity!

— Czy sądzi pan może, że było to przedtem?

— Jakkolwiek było, to propozycję tę stawil mi, wiedząc, że Louba nie będzie nadal mógł być —

— Pomocnym panu. Czy nie było to ładnie z jego strony, że nie chciał, by pan przez to ucierpiał?

— Czy wie pan napewno, że miał on coś wspólnego z tem morderstwem?

— O, nie! nie! Ale już dawno temu był w nieprzyjaznych stosunkach z Loubą i myślałem poprostu, że będzie mu niewygodnie, gdyby nie mógł udowodnić, gdzie był w czasie dokonywania morderstwa. Ale gdyby pan zechciał powiedzieć, że on był u pana — toby go bardzo zobowiązało dla pana. Pewny jestem, że zapomniałby tej gwałtowności pana, gdy zagroził mu pan, że wyrzuci go pan za okno...

— I pan powiada, że on potrzebuje ukrycia?

— O, nie...

— Ale jednak widział się pan z nim?

— Nie... Wsunąłem listy pod jego drzwi, ale nie mogę powiedzieć, czy otrzymał je.

— Pan wie, gdzie on mieszka?

— Tak, ale przypuszczają, że niema go w domu. Tylko przyszło mi na myśl, że gdyby istotnie był w domu, groziłoby mu podejrzenie i że wobec tego będzie zadowolony, gdyby mógł tu przyjść na parę dni, jeśli nie uda mu się wyjechać.

— Czy policja poszukuje go?

— Nie wiem.

— Jaką rolę odgrywa pan w tem wszystkim? — zapytał sir Harry.

— Rolę widza poprostu. Ale sądziłem, że jeśli będę mógł mu powiedzieć, że czeka nań nowe miejsce w razie, gdyby go potrzebował, to może odpowiedziałby na me listy i przyjąłby z chęcią gościnę u pana.

— Dlaczego nie u pana? — zapytał szorstko sir Harry.

— Policja śledzi moje mieszkanie. Ja mieszkam w pensjonacie, w Finsbury Park!

— Więc policja poszukuje pana, tak?

— Nie dlatego, żebym coś złego uczynił — pośpieszył upewnić go mały człowiek — ale ja zaproponowałem schronienie młodemu Leamingtonowi, gdyż bałem się, że go aresztują.

Sir Harry krzyknął i spojrzał nań ostro:

— Bardzo pan dobry, że chce pan pomagać wszystkim — syknął.

— Zawsze chętnie pomagam — rzekł Weldrake skromnie.

Nastąpiło milczenie. Sir Harry przechadzał się po pokoju. Jego gość siedział na krańcu krzesła trzymając nogi złożone razem, z miną niezmierniej cierpliwości i spokojnego zadowolenia.

— Kto to jest ten da Costa? — zapytał wkońcu sir Harry.

— Był w wielu zawodach: można go uważać za drugiego Loubę, pozbawionego jednak tych najgorszych cech.

— Jest bogaty?

— Raz tak, raz tak, jak u większości ludzi, prowadzących awanturnicze życie. Teraz zdaje mi się jest w dobrej sytuacji. Niema powodu, dla którego proponowałby finansowanie pana, gdyby nie mógł tego zrobić.

Nastąpiło znów milczenie.

— Być może, że niechce tu wcale przyjść — to był mój własny pomysł. Zdaje mi się, że mógłby poprostu wyjechać, gdyby chciał. Oczywiście, może być, że go niema w mieszkaniu, ale w pewnych okolicznościach pragnie się mieć wszelką pomoc, jaką tylko można i sądzę, że w tem położeniu — gdyby pan mógł powiedzieć, że on był tu w czasie, gdy morderstwo zostało popełnione... i że przebywał tu od tego czasu... to napewno byłby wdzięczny...

— Niewatpliwie...

— Przypuścimy, że będzie właśnie w domu i uwierzy, że jestem jego przyjacielem — czy mógłbym mu powiedzieć, że pan zgadza się na to?

Sir Harry zdecydował się:

— Zanim nie dowiem się, czy jest winny czy niewinny — odrzekł stanowczo — nie mogę myśleć o łączeniu się z nim w jakikolwiek sposób. Lecz jeśli będę przekonany o jego niewinności...

— Przekona pana — pewny jestem — szepnął mały człowiek.

— Wtedy oczywiście chętnie uczynię, co mogę, dla człowieka w tak trudnym położeniu. W każdym razie może obszedłem się z nim niegrzecznie.

— O tak — zgodził się Weldrake — on zrozumie doskonale. Wstał.

— Dziękuję panu bardzo, sir Harry. Nie będę panu więcej zabierał czasu.

— A — hm — kiedy... Co pan teraz myśli uczynić?

— Zobaczę, czy uda mi się wmówić w niego, że jestem jego przyjacielem, a potem upewnię go, że da mu pan każdą pomoc, jakiej będzie potrzebował i jaką pan będzie mu mógł udzielić, oraz że pan sobie dokładnie przypomina, że on był u pana w czasie dokonania tego morderstwa.

— Ale pod warunkiem, że on jest niewinny — dodał sir Harry.

— O, oczywiście! Musi on przekonać pana o tem — rzekł Weldrake. — Pewny jestem, że nie napotka to na trudności. Dowidzenia...

Mały człowiek wyszedł w ukłonach i wydreptał na ulicę zadowolony z udanej.

ROZDZIAŁ XXIII.

Człowiek na schodach.

Trainor zdecydował się rozwinąć przypuszczenie wypowiedziane przez Browna, chociaż nie przywiązywał do tego wielkiej wagi. Nie wierzył też, że sam Brown podejrzewa da Costę, gdyż ani razu nie wspominał o nim od czasu, gdy wypowiedział jego nazwisko. Napewno był to zbieg okoliczności, że da Costa był przeszłym rywalem a obecnym sąsiadem Louby, gdyż zapewne swe porachunki dawno już zakończyli, powodując się swemi metodami. Jeśli w przeszłości kłócili się, to było prawdopodobne, że interesa ich znów się skojarzyły, tak, że nic podejrzanego nie musiało leżeć w ich stosunku; a gdyby coś było, czyżby Louba nie był pierwszym, któryby podejrzewał i powziął środki ostrożności?

Nie ulegało też wątpliwości, że da Costy nie było w Braymore House i że już nie było go pewien czas przed morderstwem.

Jednak definitywne wyeliminowanie da Costy z listy podejrzanych zwięźało krąg podejrzeń, jeśli nie więcej.

Wprost udał się do mieszkania na drugim piętrze.

— Nie mam pozwolenia na rewizję — poinformował pomocnika — ale nie będziemy się bawić w ceremonie. Chcę się dostać do górnego mieszkania.

— Jak tam wejdziemy?

— Mr. Brown powiedział, że niema służby — że niema nikogo. Nie wiem, czy chciał przez to powiedzieć, że niema sposobu dostać klucza — ale ponieważ jest późno, więc spróbujemy oknem.

Wyszli do wyjścia w razie ognia i dostali się na górne piętro.

Zasłony w oknach da Costy były skrupulatnie zasunięte. Okien nie można było otworzyć. Przyciskając twarz do szyby jednego z okien i spojrzawszy ku górze pomocnik oświadczył, że rygiel ubezpiecza okno.

— Pójdziemy na górę — rzekł Trainor — zdaje mi się że potrafię otworzyć ten zamek.

Zeszli na piętro niżej i przeszli tamtędy. Gdy wychodzili z drzwi, usłyszeli głos lift-boya z góry.

— Sir! Czy szuka pan kogoś?

Na to zabrzmiały lekkie kroki i gdy Trainor stanął na schodach, Weldrake wpadł mu wprost w ramiona.

Skoczył na bok i zbiegłby na łeb na szyję, gdyby Trainor nie przytrzymał go silnie.

— Niech pan się tak nie śpieszy — rzekł. — Chcielibyśmy powiedzieć panu dobry wieczór.

— Ale ja naprawdę śpieszę się — oświadczył mały człowiek.

— Przykro mi, że muszę zatrzymać pana... mr. da Costa... — Nazwisko to wymówił jednak niepewnie. Trudno było uwierzyć, że ten człowiek był da Costą.

— Pan omylił się — rzekł Weldrake. — Zapewniam pana, że nie nazywam się da Costa. Proszę mnie nie zatrzymywać. Ja — ja się śpieszę na pociąg.

Winda zatrzymała się.

— Kto to taki? — zapytał Trainor chłopca.

— Nie wiem, sir. Wołałem za nim, ponieważ widziałem kilka razy, jak szedł tam — nigdy nie używa windy i zawsze pędzi tak szybko — wydawało mi się to nieco dziwne.

— To nie jest mr. da Costa?

— O, nie! Tamten jest wielki, z wąsem, z czarnymi oczyma, czerwony na twarzy.

— Czy widziałeś kiedy z nim tego pana?

— Nie. Nigdy przedtem nic o nim nie wiedziałem, z wyjątkiem tych kilku ostatnich dni.

Trainor zwrócił się do Weldrake.

— Muszę pana poprosić, by wszedł pan ze mną na parę minut. Pilnuję mieszkania Louby i interesują mnie wszyscy goście Braymore House.

— Zapewniam pana — to omyłka. Jest taka mgła, że ten budynek wziąłem za inny.

— Więc omylił się pan już kilka razy — zauważył lift-boy.

Mały człowiek patrzył na schody, jakby wypatrywał sposobności ucieczki, ale trzymano go silnie i czujnie uważano.

— Bardzo dobrze — rzekł zmiierzając ku drzwiom mieszkania — ale panowie się całkiem mylicie.

— Czy przypadkiem nazwisko pana nie brzmi Weldrake — zapytał Trainor tonem pełnym nadziei, przypatrując się tej małej skromnej postaci stojącej przed nim, gdy znaleźli się w pracowni.

— Tak... tak się nazywam — przyznał mały człowiek.

— Ale wie pan, naprawdę nie ma powodu, dla którego mnie szukacie. Ja nie uczyniłem nic, poza ofiarowaniem schronienia młodemu człowiekowi, o którego niewinności byłem przekonany.

Od początku jedno ramię trzymał niezgrabnie, starając się odwrócić od tego uwagę. Ale było teraz jasne, że trzymał coś pod płaszczem. Trainor na razie nie zwracał na to uwagi.

— A, dlatego przyszedł pan do miss Martin!

— Nie wolno panu zapominać, że wówczas nie był on jeszcze zaaresztowany.

— Nie. Ale dlaczego uciekł pan wtedy, gdy zaaresztowaliśmy go?

— Jakiż pożytek mielibyście wtedy ze mnie?

— Może dlatego, że pan wiedział, że ja pragnę wiedzieć, dlaczego znajdował się pan przed budynkiem w noc morderstwa?

— Przeglądałem się. Zapewniam pana, że ja nikomu nie uczyniłem krzywdy i nie byłem wmieszany w to morderstwo.

— Przeglądający się widzą większą część gry. Może będzie nam pan mógł dać jakieś cenne informacje?

— Nie — istotnie nie — oświadczył szybko Weldrake.

— Naprzykład — co ukrywa pan pod płaszczem?

Wątła twarz człowieka zatopila się w zaniepokojoną czerwień. Najwidoczniej przeraził się.

— Ja nie ukrywam tego — protestował. — Noszę to — tam — by nie zgubić...

— Coś cennego?

— Nie, nie... ale nie jest dobrze opakowane...

— Mogę zobaczyć?

— Wolalbym nie...

— Skąd to pan ma?

— Ja — ja kupiłem to, nim tu nie przyszedłem...

— I nie jest dobrze opakowane? Znajdziemy tu panu papier i sznurek... Miller!

— O, niech się pan nie trzusi — błagał Weldrake. — Naprawdę mogę mieć to tak, jak jest opakowane. — Postąpił ku drzwiom. — Jeśli pragnie mnie pan wypytać o tę noc — choć nie mam nic do powiedzenia — to przyjdę jutro rano, albo powiem panu, gdzie mieszkam i może pan przyjść do mnie. — Jego gorączkowa chęć wydostania się stąd, byłaby jasną nawet dla najniedomyślniejszego.

— Mr. Weldrake... muszę dowiedzieć się, co pan tam ma — rzekł Trainor.

Nastąpiła cisza. Mała twarz budziła litość przerażeniem i zgnębieniem.

Powoli odchylił płaszcz i wyjął pakiet, owinięty w gazetę — i jeszcze powolniej podał go detektywowi.

Trainor rozwinął go i spojrział zdziwiony na jaskrawą, perłami wysadzaną szkatułkę.

— Proszę zawołać Millera — rzekł.

Wątpił, czy rzecz ta mogła znajdować się między drobiazgami w skrzyni z brązu, nie tylko dlatego, że nie miała ona żadnej wartości artystycznej, ale też dlatego, że gdyby zostało coś skradzione, byłoby wartościowszem od pozostałych.

— Czy widziałeś to kiedyś przedtem? — zapytał, gdy wszedł Miller.

— Tak, widziałem, sir — odrzekł Miller. — Nie leżało to nigdy na wierzchu, tylko zawsze w skrzyni — ale widziałem to parę razy i nie mógłbym się pomylić.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że brakło tego, jeśli pewny jesteś, że zawsze znajdowało się w skrzyni?

Miller spojrział zakłopotany.

— Nie myślałem o tem do chwili, gdy to teraz ujrzałem — odrzekł.

— Ale teraz nie masz wątpliwości?

— Nie, pewny jestem, że znajdowało się to w brązowej skrzyni.

— Czy może mi pan powiedzieć, jak dawno temu? — przerwał Weldrake. — Mr. Louba sprzedał to dość dawno temu. Ja kupiłem to dzisiaj w sklepie z rozmaitościami.

— Gdzie?

— Przy Wardour Street.

— Możemy pójść do wszystkich sklepów przy Wardour Street — rzekł Trainor, a Weldrake spojrział nań spokojnie.

— Nie przypominasz sobie, kiedy widziałeś to poraz ostatni?

— Nie, nie przypominam sobie.

Patrzył bacznie na Weldrake i stopniowo oczy jego rozszerzały się.

— Ale mogę powiedzieć, gdzie ostatni raz pana widziałem — rzekł.

— O! Widziałeś go przedtem? — zawołał Trainor, a wyraz twarzy Weldrake potwierdzał zeznanie Millera.

— Tak. Widziałem go w czwartek przed zamordowaniem mr. Louby. Śledził mnie do knajpki — mnie i... i jednego przyjaciela — rzekł szybko, a ręce zadrżały mu, gdy ujrzał, w jaką pułapkę omal-że się nie złapał. — Siadł przy naszym stole i mówił bardzo dziwnie...

— O czym?

— O da Coście i o czemś, że czeka 20 lat — ale nie wyrażał się jasno. Jeśli mam powiedzieć prawdę, to zdawało mi się, że jest nieco pomyłony — zwierzył się Miller.

— Na co czekał 20 lat?

— Zdawało mi się, że to odnosi się do Louby, ale nie mogę powiedzieć, że on tak akuratnie powiedział. Tylko ja tak myślałem, że on o tem mówi, mówiąc o czekaniu przez 20 lat...

— To wszystko?

Miller był zmieszany tem, że pamięć jego wprowadziła go na tor zupełnie niekorzystnych spraw.

— To wszystko, co było tam do zapamiętania. Wymówił tylko kilka słów, bośmy go nie znali i nie interesowało nas to.

Miller spojrział na Weldrake.

— Ma pan coś do powiedzenia? — zapytał.

— Tylko to, że taki zły człowiek jak Louba, musiał do czekać się tak gwałtownego końca — rzekł Weldrake.

— I pan czekał na to?

— Tak. Tylko czekałem — pan rozumie.

— Rozumiem...

Trainor przyglądał się mu bacznie. Nic nie można było wyczytać w nim poza łagodnem zatroskaniem.

— Kiedy widział się pan raz ostatni z da Costą? — zapytał.

— O... przed jego wyjazdem.

— Był pan teraz w jego mieszkaniu?

— Tak — myślałem, że już wrócił — ale nie...

— Dlaczego poszedł pan do niego?

— Ja... ja myślałem, że może zechce kupić tę szkatułkę...

— Skąd ją pan ma? Czy wziął ją pan z tego pokoju?

— Nie. Daję panu słowo, że pierwszy raz w życiu jestem w tym pokoju!

Trainor patrzył na niego zawiedzionym wzrokiem.

— No dobrze — rzekł. — Dla pana mam nadzieję, że potrafi pan to udowodnić.

ROZDZIAŁ XXIV.

Człowiek pod krzesłem.

Następnego ranka doktor Warden przyszedł do mieszkania nr. 2, by pomówić z Trainorem. Pragnął dowiedzieć się, czy Miller powtórzył detektywowi swą teorię i jaką wagę przywiązywał do tego Trainor. Sam wierzył najzupełniej Brownowi, ale wiedział, że śledzenie przez niego „Charlie“ dziwnie wyglądało wobec odmowy wytłumaczenia motywów, lub nawet wobec tego, że nie chciał przyznać się, że to uczynił.

Doktor zastał Trainora, gdy ten chciał się udać do mieszkania da Costy.

— Udałem się tam wczoraj wieczór, ale przerwano nam, więc zadowolilem się ustawieniem warty przy obu wyjściach — tłumaczył — nie dlatego, bym sądził, że ktoś jest tam

teraz, ale chcę dowiedzieć się, czy mieszkał tam mój mały człowiek, co wydaje się prawdopodobne.

— Ten mały człowiek, który wam zniknął?

— Tak. — Trainor opowiedział zajścia wczorajsze. — Przypuszczam, że Louba nie mówił nigdy o podobnej szkatułce? — zapytał.

— Nie mogę sobie przypomnieć, ale to pewne, że dziwna to rzecz, że ten człowiek, chcąc uniknąć pańskich odwiedzin, zamieszkał akuratnie nad panem, co?

— No, oczywiście, ale on jest takim małym, dziwnym człowieczkiem. Może jest tu jeszcze coś, czego on pragnie... Wczoraj nic nie mogłem od niego wydobyć poza to, że kupił tę rzecz w jakimś sklepie przy Wardour Street.

— Mogę się tam udać z panem?

— Proszę. Zobaczymy, co tam znajdziemy. Ponieważ niema klucza, będę musiał wylamać zamek.

Pozostawwszy pomocnika przy wyjściu w razie ognia, by tamtędy nikt nie wyszedł, Trainor zadzwonił do mieszkania da Costy. Nie było odpowiedzi.

Nie długo trwało otwieranie zamka i zasuw; oparłszy się o drzwi, przekonał się jednak, że one uchylały się, ale dalej nie dały się odsunąć.

— Zaryglowane! — zawołał Trainor. — Zaryglowane od wewnątrz!

Podnieceni zeszli schodami i przeszli przez mieszkanie Louby, nakazując pilnować drzwi da Costy. Weszli znów na górę i Trainor wybił szybę w oknie i odsunął rygiel, ubezpieczając je.

Wpuściwszy drzwiami pomocnika i ustawiwszy go przy drzwiach i tak, że widział jedno z okien, przez które można było uciec, Trainor poprosił doktora Wardena, by pozostał w jadalni, do której dostali się przez okno, podczas gdy sam rozpoczął poszukiwanie.

— Nie będę musiał szukać daleko — rzekł — więc niech pan będzie przygotowany na nagłe zdarzenie. Wszystkie wyjścia zaryglowane od wewnątrz, mówią same za siebie, — niechże doktor spojrzy — wskazał na stół — po świeżości okruszyn można odgadnąć niedawny posiłek.

Widoczne było, że ktoś niedawno posilał się tutaj.

Trainor położył rękę na naczynie od kawy.

— Gorąca jeszcze! — zawołał ze wzruszeniem w głosie.

— Proszę zaświecić wszystkie światła!

Dzień był dosyć mglisty.

Przeszedł do sypialni.

— W łóżku tem spano! — zawołał i ostrożnie otworzył szafę. Popatrzał pod łóżko.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, nie znalazł tam nikogo. Wszedł do kuchni i ujrzał brudne talerze i pustą puszkę z sardynek. Wyszedł, a pomocnik wskazał mu na wielką szafę. Zdawało się to być ostatniem możliwem miejscem ukrycia. Trainor skinął i podeszli, by otworzyć.

W jadalni nie zwrócił uwagi na szeroki i głęboki fotel w najciemniejszym kącie pokoju. Gdyby znał da Costę, to tem pewniej przeoczyłby to. Jednak mimo swej wielkości, da Costa wcisnął się pod niego. Co więcej, pod ramieniem trzymał zduszony kapelusz. Chociaż był zbyt przerażony, by myśleć o odryglowaniu i przez to zachwiać pewnością, że mieszkanie to jest zajęte, pamiętał jednak o tem, że pośpiech dla człowieka bez kapelusza i bez płaszcza w zimowy dzień oznacza klęskę. Gdyby mu się udało uciec, to bał się rozpaczliwie, by nie zapomnieć kapelusza.

Spojrząwszy po pokoju, doktor podeszedł ku oknu, patrząc na zgęszczającą się mgłę.

Da Costa nie tracił czasu. Wysunął się, stanął i z oczyma wlepionemi w doktora, włożył kapelusz i skoczył do okna.

Doktor krzyknął, zatoczył się pod ciosem da Costa, ale szybko odzyskał przytomność i chwycił poły surduta uciekającego. Stracił jednak równowagę, potknąwszy się o podniesiony róg jakiegoś dywanu, i da Costa uciekł.

Trainor i pomocnik wpadli do pokoju i ujrzeli jeszcze znikającego da Costę. Doktor odepchnięty przez Trainora, znów stracił równowagę.

Zanim zorientowali się i wyskoczyli przez okno, da Costa dostał się już na dolne piętro i z zadziwiającą zgrabnością zeszedł po drabinie. Sygnał zadzwonił, gdy doszli do okien drugiego piętra. Miller wyskoczył przerażony.

— Z drogi! — ryknął Trainor, odtrącając go. Wpadł on pod biegnącego pomocnika, który odepchnął go też tak, że Miller odbił się znów o Trainora. — Niech cię jasne pioruny! — zaklął Trainor i prawie że ześliznął się po drabinie.

Na dole chwycił go silnie zadyszany portjer hallu.

— Puść, ty osłe — krzyczał Trainor, oswobadzając się.

— Przepraszam, ale sygnał zadzwonił — sapał człowiek.

— My tego nie słyszeliśmy! — zawołał Trainor z gryzącą ironją, rzucając się ku bramie.

Pędzili w rozmaitych kierunkach, a pomocnik gwizdał co sił, ale mgła sprzyjała zbiegowi.

Da Costa, mijał właśnie policjanta, gdy rozległ się pierwszy gwizd. Stał, nadsłuchując z napięciem.

— Coś się stało! — zawołał.

— Widział pan kogoś? ktoś uciekał? — pytał policjant.

— Nie, tędy nie.

Policjant popędził.

— Można by sądzić, że ta mgła była specjalnie zamówiona przez mordercę! — rzekł Trainor. — Widział go pan?

— Nie. Ledwie rzuciłem okiem. Oczywiście, to było głupio, odwracać się plecyma do pokoju, ale pilnowałem okna...

— Oczywiście. Gdyby był gdzieindziej, dalibyśmy ostrzeżenie. Gdyby nie Miller, złapalibyśmy go!

— Przypuszczam, że to sygnał wywołał Millera.

— Tak. W tem całe zło. Tak chcieliśmy go złapać, że jeden drugiemu wchodził w drogę.

— Widział go pan?

— Z tyłu. Silny, gruby, bez płaszcza. Ale miał kapelusz! I pomyśleć, że on tu był przez cały czas!

— Przypuszcza pan, że to — on? Ale jak mógł on wejść do mieszkania Louby, gdy okno było od wewnątrz zamknięte?

— Nie wiem — odrzekł Trainor krótko. Ale zastanawiał się, czy Miller faktycznie wpadł w ich pościg tak niewinnie, jak się to wydawało. Gdyż pozostawał fakt niezbity, że jeśli morderca miał współnika, to współnikiem tym był tylko Miller...

Przelknąwszy zmartwienie, Trainor dalej badał mieszkanie, szczególnie skrzynkę na listy. Nie było w niej listów, ale końcami palców wyczuł nie zupełnie gładką powierzchnię, gdy szukał, czy niema listu gdzieś na dnie. Wyjął rękę z zaciśniętymi palcami.

— Okruszyny! — rzekł, strzepując je na dłoń drugiej ręki.

— Pozywienie dostawał przez tę skrzynkę? — zapytał doktor.

— Tak wygląda. Ale dlaczego przez skrzynkę? Wszedł Miller i ciekawie rozglądał się.

— Ten mały człowiek wie coś o tem — rzekł Trainor.

— W każdym razie pilnujemy go.

— Czy był pan u niego?

— Nie. Teraz pójdę. — Zwrócił się do Millera. — Nie wrócili jeszcze?

— Nie, sir. W taką mgłę nie złapią go nigdy — odrzekł Miller.

— Złapalibyśmy, gdybyś nam nie przeszkodził.

— Proszę pana! Gdybym został wewnątrz i nie wyszedł, by zatrzymać kogokolwiek wychodzącego przez wyjście w razie ognia, miałby mi to pan do zarzucenia — zaprotestował Miller — i gdyby był to ktoś wychodzący do góry, chwyciłbym go doskonale. Skąd miałem wiedzieć, że wychodzi on właśnie z tego miejsca, gdzie pan się znajduje! Zresztą dogoniłbym go wtedy, tylko panowie omal żeście mnie nie stracili na dół! — Był widocznie zmartwiony.

— Ma rację — rzekł Warden.

— Nie ganię cię — rzekł Trainor — tylko to jest rozpaczliwe, że on nam tak uszedł!

— Oczywiście — zgodził się Miller i znów się rozglądał.

— Więc tu mieszkał przez cały czas — szepnął.

— Kto? — rzucił Trainor.

— Jakto? Morderca, oczywiście — odrzekł Miller, a detektyw odwrócił się rozczarowany.

Doktor patrzył ciekawie na Millera.

ROZDZIAŁ XXV.

Człowiek, który śledził Loubę.

Po swym udziale w bezowocnem ściganiu da Costy, doktor Warden poszedł do klubu, gdzie zastał Hurleya Browna. Twarz jego zdradzała zmartwienie, a zachowywał się jak człowiek nękany niespokojnymi rozmyślaniami. Warden ściągnął na siebie jego uwagę i zbliżył się powoli.

— Obawiam się, że się panu nie poszczęściło w pracy, jaką pan sam na siebie nałożył.

Brown nie odpowiedział, tylko usta jego ścisnęły się trochę.

— No, pan nie jest jedynym, którego pokonała mgła — pocieszał go doktor — Trainor tańczy także z niepowodzeniem.

— Dlaczego? — Brown popatrzył ostro.

— Pomagałem w małym włamaniu się i pościgu. Trainor był rano w mieszkaniu da Costy i ktoś — zapewne da Costa — uciekł stamtąd.

— To był da Costa? — zapytał Brown szybko.

— Nie znam go.

— Czy był to ktoś, kogo pan zna?

— W każdym razie nie poznałem w nim nikogo — odrzekł Warden. Brown unikał jego spojrzenia.

— Uciekł więc?

— Tak. Trainor spodziewa się uzyskać dalsze informacje od człowieka, przyłapanego wczoraj wieczór.

— Gdzie?

— W Braymore House, schodzącego od mieszkania da Costy i niosącego coś, co przypuszczają, że zostało skradzione ze skrzyni brązowej.

— Nie słyszałem o tem. Kto to jest?

— Nazywa się Weldrake — widziano go w dniu mo-
derstwa...

— Nie „Charlie“?

— Nie, nie!

Brown zagryzł wargi.

— Powiada pan Weldrake? Bardzo dawno temu znalazłem kogoś o tem nazwisku, ale to nie może być ten sam. Czy Trainor wydobył coś z niego?

— Niewiele. Poszedł teraz do niego, by go dalej badać.

— Pójdę zobaczyć się z nim.

Odwrócił się już, gdy Warden rzekł znowu:

— Ten Weldrake, którego pan znał... przypuszczam, że nie znał on Louby?

Brown był zaskoczony, jakby w tej chwili właśnie przyszło mu to na myśl.

— No tak... znał go — odrzekł powoli — poznałem go przez Loubę...

— Czy miał powód niesprzyjania Loubie?

— Aż nadto! — odrzekł Brown niechętnie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Przypuszcza pan, że mógł to on uczynić? — spytał Warden.

— Nie, to jest niemożliwe! Gdyby był skłonny do tego, uczyniłby to napewno wówczas! Mocny Boże! nie! — zawołał, gdy przypomniał sobie tę małą postać. — On był taki jak jagnię.

— Więc nie powie pan mi o motywach, jakie miał?

— Jeśli to on — może lepiej będzie, bym go nie poznał — brzmiała zaniepokojona odpowiedź. — A jednak — nie wiem. To by mogło tylko nas obu zgubić... To jest bardzo przykre — odsunął od siebie niedowierzania — pewny jestem, że oni go nie podejrzewają, jeśli jest to przypadkowo on... to ani na chwilę nie przypuszczam, że to on, ale jeśli to on, to będzie umiał wytłumaczyć wszystko!

Opuścił klub i wyszedł w żółtą mgłę ulicy, na której lampy świeciły się jak w nocy.

Przyszedł na czas, by zastać jeszcze Trainora badającego Weldrake i jedno spojrzenie rzucone na niego odnowiło w nim przekonanie o jego niewinności. Jego niemiłe położenie wyłaniające się z tego, że znał powody nienawiści jego do Louby, zniknęło przez to, że mały człowiek poznał go natychmiast i przez to oszczędził mu zdecydowania się, do jakiego

stopnia należy zachowywać dyskrecję. Trainor nie spotkał się ze szczerością w badaniu i wiedział, że sam ponosi winę tego.

— Kapitan Brown zna mnie — oświadczył Weldrake. — Powie on panu, że jestem dość szanowanym człowiekiem. Pan sobie przypomina mnie?

— Oczywiście — rzekł Brown ściskając mu rękę. — To jest ojciec — rzekł do Trainora — przyjaciela i kolegi mego, który umarł lata temu.

— Odtąd spotykał się pan z nim? — spytał Trainor.

— Nie — rzekł Weldrake — ale odtąd nie stałem się zbrodniarzem.

— Pan wie, dlaczego badamy tego pana — zauważył Trainor.

— Tak — rzekł Brown — właśnie widziałem się z Wardenem — ale czy może mi pan wytłumaczyć, mr. Weldrake —

— Dałem słowo, że nie byłem wmieszany w to morderstwo i nie wiem, kto go dokonał.

— Powiedział nam pan, że da Costy niema — jednak był! — rzekł Trainor.

— Czy on panu powiedział, że ja wiedziałem o jego obecności?

Trainor nie odpowiedział i Brown zdał sobie sprawę z jego trudnego położenia.

— Zdaje mi się, że gdyby pan powiedział panu Weldrake wszystko — to on też byłby szczerzy. Pewny jestem, że niema pan co do ukrywania, mr. Weldrake — lepiej więc powiedzieć wszystko, co się wie.

Trainor sądził jednak, że człowiek ten nie zechce mówić ze względu na drugiego.

— Da Costa nie powiedział nam nic. Uciekł i wciąż jest na wolności.

Zadowolenie Weldrake było jawne. Nawet Brown zauważył je ze zdziwieniem.

— Czy teraz powie nam pan wszystko, co pan wie? — zapytał Trainor.

— Tak — odrzekł Weldrake. — Wiecie panowie, że zaproponowałem ukrycie mr. Leamingtona, ponieważ — jeśli zabił Loubę — uważam, że nie zasługuje na to, by być za to powieszonym. Wiedziałem, że da Costa mieszka nad Loubą i wiedziałem, że pokłócił się z nim — lata temu. Nie wiedziałem, czy w to jest wmieszany, ale w razie, gdyby — chciałem mu pomóc, ile mogłem i ponieważ już nic nie mogłem zrobić dla Leamingtona, poszedłem do da Costy. Nie otwierał mi, chociaż pozostawiałem mu listy, przypominające mu, gdzieśmy się poznali, a także zostawiałem mu jedzenie, gdyż przypuszczałem, że może będzie potrzebował. Zeszłego wieczora otworzył mi. Zapewnił mnie, że nie wie nic o morderstwie, ale wobec tego, że powiedział, że niema go, podczas gdy był, obawiał się więc, że spadnie nań podejrzenie i dlatego nie miał odwagi wyjść na ulicę. Najbardziej obawiał się o tę szkatułkę, którą kupił od Louby w dzień morderstwa, nie długo przed przyjściem człowieka, którego panowie szukacie — „Charlie“. Ale Miller nie widział go — on zeszedł wyjściem w razie ognia, bo Loubą wypuścił go tamtędy i zamknął za nim okno.

— To dobry sposób kupowania ciekawostek — zauważył Trainor szyderczo.

— W ten sposób często odwiedzał Loubę — rzekł Weldrake — miał z nim prywatne sprawy. Wziął na siebie część jego interesów, a Loubą nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o oddaniu mu ich.

— A czy ta wykładana perłami szkatułką była jednym z tych interesów?

— Nie. To było coś, czego wartości Louba nie znał a da Costa miał pewne trudności w nabyciu tego, nie budząc podejrzeń Louby.

— Jaką wartość przedstawia ta jarmarczna zabawka?

— Nie wiem. Nie powiedział mi. Prosił mnie, bym to przechował u siebie, obawiał się bowiem, że gdyby to znaleziono, mogłoby się to wydawać podejrzanem.

— A pan pragnął mu pomóc, bo sądził pan, że to on zamordował Loubę?

— Tak — odrzekł Welldrake z zastraszającą szczerością.

— Pragnął pan zamordowania Louby?

— Tak.

Trainor stracił oddech.

— Dlaczego?

— Bo on zamordował mego syna.

— Nikt z pośród znajomych Louby nie może udawać, że uważa, że dostało mu się coś, na co nie zasłużył — rzekł Brown.

— Może nie — przytaknął Trainor — ale to inna rzecz życzyć sobie tego, a inna pomagać w tem!

— Nie pomagałem nigdy. Czekałem tylko.

— I pragnął pan tego?

— Tak.

— Co czynił pan przed Braymore House owego dnia?

— Często śledziłem ten dom szczególnie odkąd dowiedziałem się, że zamieszkał tam da Costa. Wiedziałem też, że miss Martin zerwała z Leamingtonem z powodu Louby i byłem owej nocy przed domem, gdy on się tam udał, by zbadać wyjście w razie ognia. To była noc przed morderstwem. Udał się tam znów nazajutrz rano i portjer wypróbował sygnał, więc wieczór poszedłem znów i czekałem długo. Wówczas to rozmawiałem z miss Martin.

— I co pan widział?

— Widziałem jak mr. Leamington wszedł i wyszedł
i widziałem tam was wszystkich po wykryciu zbrodni.

— Nie widziałeś pan kogo innego?

— Nie.

— Nie widział pan „Charliego“?

— Nie.

— A pan sam nie wchodził?

— Nie.

— Mieszka pan w Londynie tylko pewną część roku?
Gdzie spędza pan resztę czasu?

— Tam, gdzie Loubą — odrzekł spokojnie. — Jestem
w Londynie tylko wówczas, gdy on tu jest.

— Co? — zawołał Brown. — Chce pan powiedzieć —

— Odkąd zamordował mego syna, śledziłem go wszędzie.
Obiecałem Reggie, że nie spocznę, póki on nie zostanie
pomorzony. Tak więc jeździłem wszędzie za Loubą.

— Wszędzie?

— Prawie wszędzie. Nigdy na długo nie straciłem go
z oczu.

Pytania paliły się na ustach Hurleya Browna. Trainor
czekał na ich wypowiedzenie, ale widocznie Brown wołał teraz
ich nie zadawać. Twarz Trainora ściemniała nieco, gdy po-
patrzył na swego zwierzchnika. Przepaść między nimi nie
zmniejszyła się.

— Więc śledził pan Loubę od lat, czekając i pragnąc,
by zamordowano go, ale chce pan, byśmy uwierzyli, że
nie był pan w to wmieszany — zawołał Trainor.

— Tak.

— Nie wie pan, gdzie udał się da Costa?

— Nie wiem.

— To prawda?

— Powiedziałem prawdę — spojrzał na Browna. — Czy wypuszczą mnie już — zapytał. — Chcę pójść do domu i odpocząć. Przedtem nie mogłem — ale teraz, gdy Louba już nie żyje...

— Szkoda, że nie uczynił pan tego przedtem — rzekł Trainor.

— Czulem, że winien jestem pomoc komukolwiek, kto zabił go.

— Dlatego, że pragnąłeś pan jego śmierci i wdzięczny byłeś mordercy?

— Tak — odrzekł mały człowiek.

Trainor popatrzył na Browna...

Czy ten mały człowiek był bardzo prostoduszny, czy bardzo wyrafinowany?

ROZDZIAŁ XXVI.

Człowiek bez płaszcza.

Trainor przekonał się, że Weldrake był otwarty i dokładny. Badania nie zaprzeczyły niczemu i dopiero po stwierdzeniu pewnych jego twierdzeń, detektyw udał się do Beryl Martin.

— Nic nie będę już mówił o pewnych zamilczeniach pani — zauważył — gdyż zdaje mi się, że już rozumiem powody tego. Ale sądzę, że teraz będzie już pani ze mną szczerze postępowała.

— Co... co ja zamilczałam przed panem? — wyjąkała Beryl.

— Nie powiedziała mi pani, że Weldrake zaproponował pani ukrycie Franka Leamingtona i że z tego powodu posiadała pani jego adres.

Beryl zarumieniła się.

— Nie... ale... ja wiedziałam oczywiście, że to karygodne ukrywać ludzi będących pod zarzutem... podejrzenia... i ja... Przecież nie mógłby pan spodziewać się, bym ja chciała narazić na przykrości człowieka, który ofiarował pomoc mr. Leamingtonowi.

— Nie. Ale jakże możemy odnaleźć prawdę, jeśli nikt nam powiedzieć jej nie chce? Czy wie pani, że człowiek ten uważa Loubę za mordercę jego syna i że od lat śledził go w nadziei doczekania się jego śmierci?

— Naprawdę? — zawołała Beryl zaskoczona. — A jednak...

— Jednak! miss Martin!

— Tak... przypominam sobie teraz, że owej nocy mówił niezwięźle — myślałam, że jest niespełna zmysłów...

— I czy nie sądzi pani, że on pod tym względem może być takim? i że w szaleństwie mógł dokonać czynu, do którego w normalnym stanie nie byłby zdolny?

— A — czy przypuszcza pan, że on zabił Loubę? Chyba nie!

— Nie wiemy, kto go zabił. Uderzono go z tyłu i nie miał czasu bronić się — o tem wiemy. Czy ten człowiek nawet w stanie szaleństwa mógł zawlec Loubę aż na łóżko, gdzieśmy go znaleźli — o tem trudno sądzić. Szaleńcy mają specjalną siłę: a może był tam i da Costa. Mógł mu pomagać i wziąć za zapłatę szkatułkę, której pragnął.

— Czy pan istotnie twierdzi —

— Wcale nie. Staram się tylko przekonać panią, że nawet ten człowiek może być winny i że w takim razie ukrywanie tego, co pani wie, przedemną, mogłoby poważnie zażywić na szali mr. Leamingtona, nie mówiąc już o innych względach.

— To była tylko ta propozycja, że pomoże mr. Leamingtonowi — szepnęła jak winowajczyni.

— Co samo w sobie może być już kluczem! A to jego pragnienie, by nikt nie cierpiał za tę zbrodnię, byłoby naturalne, gdyby on sam był winien... Czy teraz mogę liczyć na panią, że powie mi pani wszystko, co pani wie i zaufa pani mojej dyskrecji, że nikt przez to nie zostanie wplątany w przykrości z wyjątkiem tych, którzy na to naprawdę zasługują?

— Może pan, mr. Trainor — odrzekła poważnie.

— Więc niech mi pani powie wszystko, co pani wie o tym człowieku.

— W noc przed zabójstwem Louby zajrzał do okna domu sir Harry Marshlę'a.

— Tak, mówił mi o tem.

— Potem spotkałam go przed Braymore House. — Opowiedziała mu wszystko, co sobie przypominała z tej rozmowy — jak też z rozmowy, gdy nazajutrz przyszedł ją odwiedzić.

— Odkąd wskazałam go panu przed domem mr. Leamingtona, widziałam go raz tylko, i to było wczoraj rano. Widziałam jak wychodził z domu sir Harry Marshlę'a.

— Weldrake?

— Tak.

— Czy bywał tam?

— Nie widziałam go nigdy. Ale gdyby tak, pocóż-by zaglądał przez okno.

— Zresztą otwarcie nie bywał-by nigdzie, gdzie bywał Louba — mówił Trainor w zamyśleniu. — Więc naprawdę wychodził z tego domu — a może tylko wypytywał się o coś przy wejściu?

— Wyszedł stamtąd. Zdaje mi się, że widział się z sir Harry, gdyż stał on przy oknie i patrzył za nim — to znaczy, chcę powiedzieć, że sir Harry śledził oczyma z zainteresowaniem za tym człowiekiem.

— A Wel Drake?

— Wyglądał bardzo zadowolony.

To wystarczyło Trainor'owi. Natychmiast udał się do sir Marshley'a.

— Przypuszczam, że przychodzi pan w sprawie mego biednego przyjaciela Louby — rzekł sir Harry, mnąc jego wizytówkę w palcach. — Bardzo smutny wypadek — bardzo smutny... Taki dobry przyjaciel! Wielka to strata dla mnie —

Trainor uwierzył w te ostatnie słowa i zaraz zaatakował go:

— Staram się odnaleźć pewnego człowieka, który dużo wiedział o Loubie — rzekł — i dowiedziałem się, że on wczoraj rano odwiedził pana.

— Odwiedził mnie? Któż to taki?

— Nazywa się Wel Drake.

Sir Harry potrząsnął głową.

— Nigdy nie widziałem nikogo o tem nazwisku — rzekł.

— Wogóle nie widziałem się z nikim wczoraj rano, jeśli o to chodzi. Byłem zbyt przygnębiony.

— Przygnębiony?

— Ta młoda miss Martin chce nazwisko moje wplątać w tę sprawę. Nie mówmy o tem. Drażni mnie to. A moja biedna żona jest zrozpaczona. Nie — mówił dalej zacierając ręce nad ogniem. — Żle pana poinformowano. Poczóż-by tu przychodził?

— O to przyszedłem się zapytać — odrzekł Trainor.

— Nie znam go — oświadczył sir Harry. — Powiedziałbym panu wszystko, co wiem. Kto powiedział panu, że był on u mnie?

— On sam. — To kłamstwo nie udało się, gdyż było tylko przestrożą dla sir Harry'ego.

— Co pan mówi? Co za przekłety kłamca! Nie znam tego człowieka — nigdy nie widziałem go! Co on takiego zrobił? Zdawało mi się, że pan go także poszukuje — dodał wściekły.

— No, poszukiwaliśmy go aż do wczoraj wieczór.

Sir Harry zwrócił się do gościa z miną majestatycznego oburzenia.

— Chce pan powiedzieć, że sądzi pan, iż coś wiem o tej sprawie? I przyszedł pan tutaj, by złapać mnie na jakimś zeznaniu? — zapytał. — Do diabła z panem! — Trainor podniósł rękę. — To zuchwalstwo!

— Zbyt pan jest gwałtowny, panie Harry — rzekł Trainor. — Właśnie wracam od miss Martin, która ukrywała przedemną wiele rzeczy, by uchronić Franka Leamingtona i by nie wprowadzać w kłopoty tego Weldrake, nie dlatego, by miała coś wspólnego z tem morderstwem, ale dlatego, że była przekonana, że oni z niem nic wspólnego nie mieli. Było więc całkiem możliwe, by pan też mógł ukrywać coś dotyczącego tego człowieka z tego samego powodu...

— A... no... hm... Coś w tem jest — przyznał sir Harry uspokojony. — Ale ja nic o nim nie wiem. On mówił, że poco tu do mnie przyszedł?

— Nie wymienił wcale pańskiego nazwiska. Nie chciał nam też powiedzieć, że widywał się z da Costą, pókiśmy go nie wypłoszyli. I tak powtarzam, było też możliwe, by pan praktykował te same względy w stosunku do niego.

— Ma pan mimo wszystko niemiłe metody — odrzekł wyniosłe sir Harry. — Czy powiedział pan, że da Costa został w to wmieszany?

— Tak. Czy go pan zna?

— Znam to nazwisko. Cóż on miał z tem wspólnego?

— Nie wiemy — odrzekł Trainor wstając. — Straciłszy go z oczu dziś rano.

— Jest na wolności, chce pan powiedzieć?

— Jak dotąd. Czy Louba mówił kiedy o nim — czy wspominał coś o tem, że da Costa mieszka tak blisko niego?

— Nigdy ani słowa. Przypuszcza pan, że to on uczynił? Trainor wzruszył ramionami.

— Znużeni już jesteśmy temi przypuszczeniami — rzekł.

Opuścił dom niepewny, czy wierzyć czy nie w zapewnienia sir Marshley'a i czy Beryl nie myli się co do domu, z którego wyszedł Weldrake. Przypomnił sobie mgłę — jak łatwo było pomylić się co do bramy, gdyż dom sir Harry nie był oddzielony od innych. Ale naprzód dowie się, co sam Weldrake ma o tem do powiedzenia.

Była piąta i mgła była gęstsza, niż kiedykolwiek. Ludzie mijali go jak cienie.

Niezdeterminowany, czy ma przejść do autobusu, czy zejść do kolei podziemnej, przystanął i patrzył dokoła siebie. Minęła go pochylona postać, zatarta w mgle, ale zwróciły na siebie jego uwagę zarysy olbrzymich pleców. Był to człowiek bez płaszcza.

Niewątpliwie, wielu było bez płaszczy nawet w taki dzień. Ale Trainor nic nie ryzykował.

Poszedł za nim spokojnie.

Był to wielki, silny człowiek, nie tego rodzaju, któryby gardził ciepłem i komfortem, nie tego rodzaju, któryby wychodził bez płaszcza w taką zimną mgłę. Przypląszczywszy się do muru, Trainor widział, jak człowiek zatrzymał się przed domem sir Harry Marshley'a, popatrzał do góry wahając się, — potem poszedł dalej. Nie miał odwagi tak zbliżyć się do niego, by ujrzeć coś więcej poza zarysami. Ale miał go wciąż na oku. I gdy ujrzał, że on znów się zatrzymuje, cofnął się szybko za załom muru i ukrył się przed

powracającą postacią. Rzuciwszy spojrzenie w mgłę, człowiek wszedł do bramy, a w chwilę później Trainor ujrzał, że za szklanymi drzwiami ukazało się mgliste światło.

Wśliznął się do bramy i ukrył się między rododendronami, rosnącymi między parkanem a ścieżką, która wiła się dokoła frontu domu aż do stajni i garaży w tyle.

Człowiek nie czekał, by odpowiedziano na jego dzwonienie, ale włożywszy rękę do puszek z listami, szybko pośpieszył wdół schodami i znów wyszedł przez bramę.

Trainor szedł za nim w dół do pierwszego zakrętu i dokoła za tył domu sir Harry Marshley'a. Była tam droga wybrukowana, na którą wychodziły tyły dwu rzędów domów. Teraz nie miał wątpliwości, że był to da Costa, ale zdecydował się nie działać zbyt pośpiesznie, a było tak łatwo pozostać niewidzialnym we mgle, jak łatwo było da Coście czuć się bezpiecznym.

Nazewnątrz u jednych z drewnianych drzwi znajdowały się dwa krzewy w drewnianych wazonach. Trainor stanął przy jednym z nich i patrzył. Da Costa chodził nerwowo tam i z powrotem.

Po kilku minutach ktoś wyszedł z drzwi i stanął, wypatrując dokoła. Z pewnym wahaniem się da Costa zbliżył się i zatrzymał — sir Harry podszedł i spotkali się.

Rozmawiali kilka chwil, poczem sir Harry szybko poprowadził swego gościa do zabudowań. Idąc za nimi, Trainor minął oświetlone okno kuchni, zaszedł ku bokowi domu i przyszedł na czas, by ujrzeć, jak wchodzili przez okno do nieoświetlonego pokoju — przez to okno — choć o tem wtedy nie wiedział — przez które Weldrake widział Beryl i Loubę, a potem da Costę i sir Harry'ego.

Poszedł w dół ścieżką do frontowego wejścia, a krew płynęła mu wartko, gdyż czuł, że wreszcie jest na drodze do rozwiązania tajemnicy śmierci Louby.

ROZDZIAŁ XXVII.

Człowiek, który drżał.

Gdy zatrzymał się w otwartej bramie, rozmyślając, jak uzyskać pomoc nie opuszczając tego domu, minęło go dwu wysokich chłopców, a oznaki szkolne na ich czapkach słabo błyszczały w mroku.

— Hallo — tam — rzekł szybko. Przystanęli i zbliżyli się. Ujrzał ich twarze z zaciekawionemi oczyma.

— Chcę, by jeden z was poszedł na drugi koniec tej drogi aż do wybrukowania za domem i nie pozwolił nikomu wyjść, nie przyszedłszy mnie zawiadomić natychmiast o tem. Drugi zaś by poszedł na policję — wiesz gdzie — i zaniósł tę kartkę. — Napisał coś w notatniku. — Jeżeli spotkasz policjanta po drodze, to proszę go tu przyprowadzić i nie iść na policję. Zrobicie mi to?

— Oczywiście!

Przyjęli to naturalnie i rozeszli się we wskazanych kierunkach spokojnie i szybko.

Niezmierną sprawiło mu to ulgę. Z zadowoleniem czekał między rododendronami, zerkając czasem w stronę okna, za którym sir Harry przyjmował gości a które było teraz oświetlone i story były zapuszczone.

Za dwanaście minut chłopiec powrócił z dwoma policjantami, a wszyscy trzej dyszeli ciężko, gdyż szli szybko.

Sir Harry uradził z da Costą, że natychmiast uda się on do jego dworku w Shoreham i przeglądał teraz rozkład jazdy, gdy Trainor zadzwonił.

— Dam panu płaszcz i trochę rzeczy w walizce — rzekł.

— Ale nie będę ryzykował na tyle, by je znieść. Spuszczę je panu z okna. Upadną koło muru, w krzaki.

Podniósł głowę. Usłyszał głosy za drzwiami.

— Nie trzeba zawiadamiać, że przyszedłem — rzekł Trainor, otwierając drzwi. — Wytlumaczę sam, poco wróciłem.

— Bardzo mi przykro — rzekła służąca — ale ten pan... nie mogłam go zatrzymać — umilkła, patrząc zaniepokojonymi oczyma na swego pana.

— Tak bardzo chciałem pana zobaczyć, mr. da Costa — zamknął drzwi za służącą.

Twarz da Costy, zwykle pełna, była wychudła i blada. Trząsł się w nieukrywanym strachu, gdy wstał, by stawić czoło detektywowi. Usta jego otwierały się i zamykały, ale nie mógł wypowiedzieć słowa. Wzbudzał litość.

Sir Harry milczał zaskoczony, ale skupił się w sobie z szybkością, jaką Trainor musiał podziwiać.

— A — mr. Trainor, pan powrócił? Właśnie chciałem posłać po pana. To, zdaje mi się, jest ten pan, którego pan szuka. Zapewnia mnie, że jest niewinny — i ja wierzę mu: ale oczywiście wiedząc, że pan go poszukuje, chciałem dać panu znać, że on tu jest...

— Oczywiście! — kpił Trainor, nie próbując nawet ukryć swej pogardy. Spojrzawszy na da Costę, litował się prawie nad nim. — Wszystko jedno — nie wiem, czy mam prosić pana, by udał się pan z nami na posterunek.

— Co? ja? — wyszeptał sir Harry. — Zapewniam pana, że nie miałem pojęcia...

— Cóż pan na to, mr. da Costa? — zapytał Trainor. Odpowiedzią da Costy był rozpaczliwy skok ku oknu.

— Mam dwu ludzi na dole — zawołał Trainor — pilnują wyjścia.

Jakby z łkaniem da Costa wpadł w krzesło, załamując ręce.

— Przysięgam, że nie uczyniłem tego! Przysięgam, że nic o tem nie wiem! — wyszeptał.

— Niczego więcej nie życzymy sobie, jak usłyszeć wszystko, co nam pan może opowiedzieć. Zechce pan pójść? — rzekł do sir Harry. — Musi pan przyznać, że pewne rzeczy wymagają wytłumaczenia...

— Ależ powiadam panu, że nic nie wiedziałem, aż nagle zjawił się tu. Nawet nie podał swego nazwiska. Aż do chwili jego przyjścia...

— Widziałem, jak wrzucił coś do skrzynki i czekał na pana w tyle domu — przerwał Trainor krótko. — Wprowadził go pan przez okno. — Wskazał na rozkład jazdy. — Teraz wyszukuje mu pan pociąg.

— O — moja idiotyczna dobroć — jęczał sir Harry. — Kochany panie, niechże pan wysłucha, co on ma do powiedzenia. Przekona się pan, że nie może mnie pan wlec na posterunek.

— No — rzekł Trainor siadając — posłuchajmy, co pan ma do powiedzenia!

— Nigdy nie słyszałem o mr. da Coście, aż pewnego razu przyszedł mi zaofiarować pomoc finansową w miejsce mr. Louby. Oczywiście oburzyłem się i wyrzuciłem go za drzwi. Potem przyszedł Weldrake i prosił mnie, bym dał schronienie mr. da Coście. Powiedziałem, że nie — chyba, że przekona mnie o zupełnej swej niewinności. Dziś przyszedł mr. da Costa i tak przekonał mnie, że chociaż ja chciałem poinformować pana o tem —

— Rozumiem — przerwał Trainor. — Kiedy ofiarował panu pomoc finansową?

— W tym czasie, gdy mordowano Loubę! — zawołał da Costa.

— Więc wie pan, w jakim czasie — bo my nie wiemy...

— No — owego wieczora. Nie byłem w Braymore House od szóstej aż do bardzo późna...

— Był pan tu cały czas?

— Nie. Gdybym tu był, nie potrzebowałbym się ukrywać. Ale właśnie dlatego, że poza mną rozmową tutaj, byłem cały wieczór sam, dlatego bałem się...

— Czego?

— Udawałem, że mnie niema w Londynie — i dlatego, że klóciłem się w przeszłości z Loubą i mieszkałem tuż nad nim. Widzi pan, że miałem rację obawiając się. Pan podejrzewa mnie?

— Dlaczego udawał pan, że pan wyjechał?

— Gdyż brałem na siebie dużo interesów Louby i nie chciałem, by on o tem wiedział. Dlatego też zaproponowałem sir Harry'emu, gdyż wiedziałem, że Louba wkrótce nie będzie już mógł tego czynić.

— Dlaczego nie?

— Dlatego, że był zrujnowany i czynił już przygotowania, by wyjechać z kraju.

— Czy Louba nie zechciał-by sam oddać panu swych spraw?

— Za cenę — za wielką cenę! On zawsze sięgał wyżej ponademnie.

— Dlatego nienawidził go pan?

— Nigdy nie na tyle, by go zabić.

— Czy groził mu pan kiedy?

Da Costa spojrział niepewnie dokoła siebie.

— Nie więcej, niż on mi groził. Ale ja myślałem mniej — rzekł wkońcu. — Jeśli groziłem, to tylko w chwili wściekłości. Ja nie jestem gwałtownikiem — i gdybym chciał zabić Loubę, nie uczyniłbym tego tu! Uczyniłbym to dawniej tam, gdzie byliśmy razem.

— Czy pan jest tym, o którym Weldrake powiadał, że pokłada w nim wielkie nadzieje?

To go zaskoczyło.

— Ten mały człowiek chyba nie oskarżył mnie? — zapytał podniecony. — Jakto! Przed laty sprawił on podpalenie budy Louby! Jeżeli ja wtedy groziłem — on to mógł słyszeć — bo były to groźby tylko z jego powodu. Zbyt wielkie znaczenie przykładał do tego, co mówiłem. Wtedy inni też grozili — na przykład kapitan Hurley Brown.

— Hurley Brown? — Usta Trainora zacisnęły się.
— Jaki łączył pana stosunek z Weldrake?

— Zapomniałem, żeśmy się kiedykolwiek widzieli aż do chwili, gdy wrzucił mi list i pożywienie do skrzynki na listy. A ja potrzebowałem pożywienia! Potem powiedział mi, że sir Harry Marshley mógłby mi pomóc, więc przybyłem tu, gdy mnie pan wytropił dziś rano.

— Gdzie był pan w noc morderstwa?

— Błąkałem się. Ponieważ powiedziałem, że mnie niema, mogłem wychodzić tylko wieczorami, by kupić sobie coś zjeść i łknąć trochę powietrza. Chodziłem zaś i kupowałem tam, gdzie mnie nie znano, dlatego właśnie, że udawałem nieobecność w Londynie.

— Gdzie nabył pan szkatułkę, daną Weldrake?

Da Costa otarł kark chustką.

— Kupiłem ją od Louby, ale nie miałem dowodu na to, dlatego też obawiałem się, by tego u mnie nie znaleziono.

Trainor zamilkł na parę chwil.

— Tylko pogarsza pan sprawę, nie mówiąc prawdy. Przed chwilą powiedział pan, że tylko ażeby zmylić Loubę, udał pan wyjazd — teraz pragnie pan, bym uwierzył, że kupił pan od niego szkatułkę.

— To było... to było, zanim nie udałem, że wyjechałem...

— Powiedział pan Weldrake, że stało się to w dniu morderstwa...

— Nie! nie mówiłem tego! To było już kilka tygodni temu!

Trainor wstał.

— Niema celu oceniać tu pańską wyobraźnię — rzekł.
— Lepiej chodźmy.

— Nie! niech pan słucha! powiem panu wszystko! wszystko! — zawołał da Costa, a gdy zdawało mu się, że obraża sobie zeznanie jako uwolnienie przed aresztowaniem, Trainor uznał, że lepiej nie odbierać mu tych złudzeń.

— Więc! — rzekł siadając znów. — Ale tylko prawda może się panu przydać — niech mi pan wierzy!

— O, ten przekłety morderca! — zawołał da Costa, zaciskając grube pięści. — Tyle trosk na moją głowę! Te okropne dni i noce! Mam nadzieję, że ujrzę go wysoko na szubienicy!

Był pewien ton szczerości w tym wylewie i wywarł wrażenie na Trainorze.

— Czy miał pan jakiś cel w wynajmowaniu mieszkania nad Loubą?

— Tak. Chciałem wydostać tę szkatułkę.

— Ukraść ją?

— No — wiedziałem, że mi nie sprzeda, jeśli się domyśli, że pragnę jej. Wtedy odgadnąłby, że jest ona czemś więcej, niż zdaje się być. Więc postanowiłem zabrać mu ją. Ona nie była jego własnością. Ukradł ją od jednego człowieka w Bukareszcie. Ale wkońcu dał mi ją. Tak, dał mi. Oto kartka, jaką znalazłem w szkatułce.

Wyjął z kieszeni naiwną notatkę, którą Louba napisał po ostatnim widzeniu się z da Costą i którą ukrył w schowku w szkatułce.

— Niech pan zacznie od początku — rzekł Trainor.

— Przyznaję, że wchodziłem do jego mieszkania, kiedykolwiek miałem sposobność. Gdy był w domu, nie otwierał

okien, a służący wietrzył pokoje, gdy go nie było. Wówczas wślizgiwałem się, by poszukiwać. Raz Louba znalazł mnie pod oknem i oskarżył mnie, że miałem zamiar włamać się. To potem udałem, że wyjechałem. Mogłem każdym razem być tylko krótko i zacierać ślady, bo chociaż wiedziałem, że Louba nie odważy się oddać mnie w ręce policji, nie chciałem jednak, by się miał na bacności. Tak więc minęło dosyć czasu, zanim nie znalazłem szkatułki. Wynałazłem, jak otwiera się tę skrzynkę z brązu. Potem znalazłem jakąś szatę i inne podobne rzeczy leżące na wierzchu i gdy zaczynałem grzebać dalej, musiałem ukryć się przed Millerem, który przyszedł zamknąć okno. Wiedziałem, że Louba wnet wróci i nie chciałem zepsuć wszystkiego w ostatniej chwili, więc zamknąłem skrzynię i chciałem już wyjść — gdy wrócił Louba. Schowałem się więc za firankami, ale znalazł mnie tam. Prowokowałem go, by posłał po policję i powiedziałem mu, że rzeczywiście szukam czegoś i wezmę sobie to coś.

Spotkał się z oczyma Trainora.

— Nigdy nie myślałem o gwałcie! — zawołał. — Ale wtedy pewny byłem, że znalazłem i wiedziałem, że będzie to tak proste zabrać to, gdyż znałem już sposoby i drogę.

— Sądził pan, że Louba nie będzie się miał na bacności?

— Widzi pan — nie — szepnął da Costa, a oczy jego błąkały się. Ale nabrał znów odwagi. — Natomiast zrobił mi z tego prezent. Odgadł widocznie, że tego szukam, napisał to i włożył pod fałszywe dno, gdzie sądził, że ja przypuszczam schowek czegoś wartościowego.

— Od kiedy Louba miał ją?

— Od lat. Człowiek, który ukradł ją, był ścigany. Oddał Loubie na przechowanie. Został zabity — a Louba zatrzymał to sobie.

— Pan chce, bym uwierzył, że cały ten trud zadał pan sobie, opierając wszystko na przypadku, że Louba nie odkrył nacisku w dnie? Wystarczy porównać wysokość zewnętrzną z wewnętrzną, by być pewnym, że musi być przestrzeń — lub nadmierne grube dno.

Wahając się i z trudem da Costa odkrywał swą tajemnicę.

— Falszywe dno jest tylko trikiem, aby złodzieje sądzili, że spóźnili się już do łupu... To jest solidna, złota szkatulka, wykładana kamieniami o niezmiernej wartości. Perły i szkiełka okrywają grubo powierzchnię z wewnątrz i zewnątrz i tworzą w ten sposób ukrycie dla złota i kamieni, znajdujących się wewnątrz.

Wyglądał, jakby już nic nie miał do powiedzenia.

— Tylu ludzi ubiegało się o nią — a ja za zwycięstwo płacę — tem!

Oczy sir Harry'ego drżały. Trainor był zamysłony.

— Pan wie o tem, że mamy tę szkatulkę?

— Tak przypuszczałem, jeśli złapaliście Weldrake — brzmiała ponura odpowiedź.

— Kiedy zabrał ją pan ostatecznie?

— Następnego dnia po wynalezieniu, jak otworzyć skrzynię — tego samego dnia, gdy Louba został zamordowany. Było to tuż przed jego przyjściem, gdyż Miller zamknął okna natychmiast po mem wyjściu. Musiałem uczynić to szybko. Spuściłem wieko skrzyni i nie miałem czasu nakryć jej znów. Wychyliłem się przez moje okno, by nadłuchiwać, gdyż zapomniałem coś włożyć do skrzyni i byłem ciekawy, czy Miller będzie coś podejrzewał. Słyszałem, jak zamyka okna.

— A potem?

— Potem wyszedłem. Wróciłem, gdy gonił pan kogoś po schodach wyjścia w razie ognia. Słyszałem, co pan mówił i dowiedziałem się, co się stało. Wówczas zrozumiałem, że

jeśli mordercy nie złapią, to podejrzenia spadną na mnie. Widzę teraz, że powinienem zaraz się wytłumaczyć. Jest tu notatka Louby, która udowadnia, że pozwolił mi wziąć tę szkatułkę — tylko ja...

Łatwo było zrozumieć jego przerażenie. Jego strach był większy od jego brawury.

— W jaki sposób wchodził pan i wychodził, gdy przypuszczano, że jest pan na południu Francji?

— Było łatwo wchodzić i wychodzić wyjściem służby nocnej... aż do morderstwa. Potem nie odważyłem się już.

— No — rzekł sir Harry po chwili milczenia — przypuszczam, że nie może pan wątpić w niewinność mr. da Costy ani dziwić się, że ja w nią uwierzyłem.

Nie dodał, że mr. da Costa nie miał ochoty wyznać mu tak rozległe wszystko, jak obecnie Trainorowi.

— W każdym razie przypuszczam, że nie będę potrzebował pana trudzić, sir Harry — rzekł Trainor wstając — chociaż napewno zwrócimy się do pana w sprawie określenia dokładnego czasu, kiedy owego wieczora przyszedł do pana mr. da Costa.

— Oczywiście — wszystko, co tylko mogę zrobić — odrzekł rzucając spojrzenie na da Costę.

Gdyby tylko znał dokładną godzinę śmierci Louby, łatwo mu byłoby zachować sobie na później do własnego użytku tego właściciela bajecznej szkatułki!

— A ja muszę iść z panem? — błagał da Costa i policzki jego drżały.

— Tak — odrzekł Trainor — ale jeśli powiedział pan prawdę, nie potrzebuje się pan obawiać.

— Pożycz panu płaszcz — zgłosił się sir Harry.

Uważał, że jest zupełnie dobrze okazywać przyjaźń więzionemu. W gruncie rzeczy da Costa wywinął się lepiej,

niż onby sam potrafił. Trainor był prawie przekonany o prawdzie w historii da Costy. Tchórzostwo da Costy i jego przygnębienie dużo tłumaczyło — ale nie tłumaczyło śmierci Louby.

Gdy wkońcu znalazł się w swem biurze, zadzwonił telefon. Zdjął słuchawkę.

— Do pana — rzekł głos operatora.

— Proszę połączyć.

Nastąpił zgrzyt i usłyszał głos.

— To pan zajmuje się sprawą Louby?

— Tak — odrzekł szybko Trainor.

— Jestem inspektor Welsh z dywizji R. Znaleźliśmy właśnie Charlie Berry, człowieka poszukiwanego za zamordowanie Louby.

— Znaleźliście go! Gdzie?

— W zatoce Deptford. Zastrzelono go. Nie żył już. Prawdopodobnie samobójstwo, gdyż znaleźliśmy —

— Co? — rzekł Trainor, gdy mówiący przerwał.

— Znaleźliśmy w jego kieszeni zeznanie, że to on zabił Emila Loubę.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Pomysł Charlie Berry'ego.

Od piątku w nocy do wtorku rana trwała nad Londynem mgła jak niewzruszona, żółta zasłona. Może była nieco gęstsza w okolicy Deptford, gdyż tuż obok płynie rzeka. Pogoda ta świetnie służyła mr. Berry, gdyż mógł wychodzić na miasto.

Dla niej, dzielącej jego losy, okres ten był okresem moralnych tortur. Gdy wkońcu udało mu się wmówić w gospodarza, że może udawać się bezpiecznie na miasto, była serdecznie zadowolona.

Charlie Berry także chciał być sam. Chciał zejść jej z oczu. Nienawidził jej. Zawsze nienawidził jej za to jej zachowanie się i wyższość. Niegdyś, gdy kochał się w niej, traktowała go jak błoto, a pamięć o tem nigdy nie zatraciła się w nim i była bodźcem do tej nienawiści. Miał swe „szanse“ — mógł być poślubić tę bogatą wdowę w Cintra, a miast tego przywiązany był do niej, przyjmującej pokornie jego razy i pragnącej tylko śmierci. Teraz była ona do niego przywiązana w okresie, gdy wolność była kwestją życia. Przeklinał ją, gdy potykał się i wypatrywał w mgle. Hurley Brown chwyci go — staną fałszywi świadkowie, którzy przysięgą odbiorą mu życie. Szlochał w nadmiarze litości nad sobą na tę myśl. A wszystko dlatego, że wziął tę kobietę i dał jej swoje nazwisko. Szedł za dwoma mężczyznami i za śpieszącym się chłopcem, gdy skręcali z ulicy. Nie mógł nic widzieć. Mgła dusiła i ślepiła go, ale przynajmniej pozbawiała go towarzystwa policji! Czuł, że droga schodzi stromo w dół i zapytał przechodnia, gdzie ona prowadzi.

— Do drogi holowni nad zatoką — brzmiała odpowiedź.

— Co się stało? Widziałem, że dużo ludzi idzie w tę stronę.

— Utopiła się kobieta. Znalaziono list na brzegu. Policja szuka jej ciała w kanale.

Berry zadrzał i chciał wracać. Ale coś kazało mu iść naprzód. Stanął w jednej z małych grup przy dwu policjantach i stróży kanału. Zarzucali długie liny żelazne w ciemne wody kanału.

Czekał. Gdyby tylko żona jego chciała popełnić samobójstwo! Ale ona nie będzie miała na tyle odwagi! Przepuścimy — myśl ta zaświtała w nim jak błysk — przepuścimy, że ona też pozostawiłaby list na wybrzeżu — list, który zmaszałby z niego wszelkie oskarżenie, jakie wnieść mógłby przeciw niemu Hurley Brown!

Mysł ta nabierała kształtów w jego niezrównoważonym mózgu. Ale jak ją skłonić do napisania takiego listu! W tem leżała trudność.

Policja wyciągnęła coś obwisłego i ciężkiego na brzeg, a on poszedł do domu, w którym ją pozostawił. Słyszała jego kroki na schodach i westchnęła. Ku jej zdumieniu na twarzy jego jaśniał chytry uśmiech i zachowanie się jego było prawie że uprzejme.

— Kate, spacerowałem sobie po Greenwich — rzekł — i rozmyślałem. Jeżeli Hurley Brown mnie schwyci, wydobędzie wszelkie dowody, jakich potrzebuje, by mnie powiesić. Wszystko jedno, czy ja popełniłem to morderstwo czy nie, ale pewny jestem, że upora się ze mną i ja zawisnę wysoko, a wszystko co do ciebie wyjdzie na jaw.

Mówił tak lekko o „wiszeniu“, że ona, dla której był on otwartą książką, wiedziała, że nie przypuszcza on ani na chwilę tak okropnego końca swego czarnego życia.

— Gdy przechodziłem przez most nad kanałem, policja wyciągała ciało jakiejś kobiety — mówił dalej. — Utopiła się wczoraj wieczór.

Dziewczyna zadrżała.

— Szczęśliwa! — rzekła i przez chwilę trudno mu było zapanować nad napadem wylewności.

— Przypuszczam, że szczęśliwa — rzekł łagodnie, odsuwając słowa, cisnące się na jego wargi. — Ja mam taki pomysł. Przypuśćmy, że znalazłoby tę kobietę, a po przeszukaniu wybrzeża znaleźliby zeznanie, że ona zabiła tego człowieka. Mam mózg, co?

— Oni wiedzieliby, że ona nie mogłaby popełnić tego morderstwa.

— Ależ mylisz się, zapytywałem się o tę dziewczynę. Zajęta była w Braymore House. Cóż ty na taki zbieg okoliczności, Kate?

Popatrzyła nań niedowierzająco.

— To prawie że niemożliwe. Jakże mogłeś się wypytywać?

Twarz jego złośliwie ściągnęła się i ręka mechanicznie zbliżyła się do pasa.

— Zaczynasz znów stawiać mi takie pytania — i wszystkiego się dowiesz — rzucił ostro. Ale opanował się. — Dowiedziałem się, że była tam zajęta — to wystarcza — rzekł. — To jest przypadek zesłany z nieba, Kate. Z takim zeznaniem nie będą mnie mogli nigdy zasądzić, ani tego, którego przychwycili.

— Zaarrestowali kogoś? — zapytała.

— Nie zastanawiaj się, kogo zaarrestowali. Ja ci to mówię. I cóż ty na taki plan?

— Mógłby być dobry — rzekła kobieta obojętnie.

— Mam pomysł: zejść na brzeg kanału, gdy znajdą ciało i wręczyć komu taki papier, nakazując zanieść go policji. Nie poznaliby mnie we mgle.

Zostawił ją, by rozmyślała nad tym planem i zeszedł do gospodarza.

— Chyba nie wychodzisz znów, co? — zapytała. — Na pewno cię złapią, Charlie. Gdybyś był sam, może miałbyś jakieś szanse, ale mając żonę ze sobą...

— Właśnie o tem myślałem — rzekł Berry. Stawiając czoło planowi w całej jego nagości i brutalności, był trochę przerażony. Trzeba było tylko ostrzeżenia Freda, by go do reszty zdenerwować. — Ona jest tam niebezpieczeństwem. Wysłał ją do przyjaciół na wieś.

— Gdzie? Zdawało mi się, że nie masz żadnych przyjaciół — odrzekł podejrzliwie.

— Ona ma wielu — także z wysokiej klasy... Omówiłem to z nią i ona także uważa, że powinna wyjechać.

— Kiedy?

Charlie poślinił swe suche wargi i zrobił mały grymas.
— Pojedzie dziś wieczór — rzekł chrypliwie i wrócił do niej.

Zatrzymał się przed drzwiami, by zebrać siły, a ona dziwiła się, czemu on się waha.

— Omówiłem tę sprawę z Fredem — rzekł zamykając drzwi. — Uważa, że to dobry plan, Kate.

Podszedł do szafki i wyjął paczkę taniego listowego papieru, pióro i atrament i siadł przy stole. Zaczął pisać, a ona ciekawie przyglądała mu się. Przerzywał, by się namyslić i zapisywał kartkę papieru swem długim, kańciastem piórem.

— To wystarczy — rzekł i trzymał papier nad lampą, by wyschnął. — Posłuchaj — rzekł i czytał:

„Przyznaję się, że jestem jedynie odpowiedzialna za śmierć Emila Louby. Od lat otrzymywałam pieniądze od niego. Miesiąc temu odmówił mi dalszych zapłat. W sobotę wieczór udałam się do Braymore House i weszłam do mieszkania przez wejście służbowe. Pokłóciłam się z Loubą i uderzyłam go w głowę srebrnym świecznikiem i uciekłam przez wyjście w razie ognia. Oświadczam, że tylko ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć. Teraz jestem u kresu. Niech Bóg mi przebaczy!”

— To ostatnie dobrze brzmi, co, Kate? — wpatrzył się w nią siedząca z zamkniętymi oczyma.

— Biedne stworzenie! — rzekła łagodnie.

— Biedne stworzenie! — syknął. — Czy ja nie jestem też biednym stworzeniem? Teraz przepisz to.

— Ja? — rzekła wpatrując się w niego.

— Oczywiście. To była kobieta — więc musi to być napisane kobiecym piórem.

— Ja tego nie zrobię — rzekła. — Wykonaj sam swą brudną pracę.

— Czy przepisziesz to, Kate, czy mam tak uczynić, byś żałowała, żeś się kiedykolwiek urodziła? Wiem, o kim myślisz. Myślisz o tym twoim policjancie!

Nie odrzekła, ale wyciągnęła rękę, wzięła pióro i przepisała zeznanie. Cekał, aż skończy, potem złożył papier, który sam napisał i schował do kieszeni, by zniszczyć go przy pierwszej sposobności.

— Teraz poczekaj trochę — rzekł. — Po „Niech Bóg mi przebaczy“ dodaj: „Mój mąż nic o tem nie wie.“

— Ta kobieta miała męża? — zapytała.

— Wszystkie czcigodne kobiety są zamężne — zachichotał Berry. — Dalej, pisz to: „Mój mąż nie jest odpowiedzialny i proszę go o przebaczenie za ten okropny czyn, jakiego dokonałam.“

Pisała, a on wziął od niej papier i dokładnie przeczytał.

— Ładnie! — głos jego drżał, gdy klepał ją po ramieniu. — Wierz staremu Charlie! On już wszystko przeprowadził! Jeśli mamy choć trochę szczęścia, to będziemy z powrotem w Rumunji od dziś za tydzień!

Do wieczora nie było go w domu. O szóstej, gdy piła herbatę, zagotowaną na wygasającym ogniu, wszedł znów.

— Bardzo gęsta mgła — rzekł — ale nie jest niemiło spacerować. Nie możesz tak wciąż siedzieć w domu, Kate. Chodź na spacer!

Wstała znużona, zdjęła płaszcz z gwoźdźcia i ubrała się. Całe to popołudnie spędził on obchodząc okolicę. Był w ostatniem stadjum przerażenia i dla niego każda metoda była usprawiedliwiona, jeśli tylko zapewniała mu własne bezpieczeństwo.

Zeszedł do swego gospodarza.

— Biorę swą damę na stację — rzekł szeptem. — Lepiej nie żegnaj się z nią. Obiecałem jej, że tu powróci.

— Lubi tę okolicę, co? — zaśmiał się człowiek w swetrze. — Ale co w tem jest, Charlie? Ty nie uczynisz jej chyba nic złego? Gdybym wiedział, że uczynisz, skrzyłbym ci kark tu, natychmiast.

— Jej — coś złego? — rzekł tamten z oburzeniem. — Mojej żonie? Za co ty mnie masz?

Gospodarz stał niezdecydowany przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo.

— No dobrze — rzekł — nie pożegnam się z nią, jeśli tego nie chcesz — ale jeśli stanie się coś —

— Słuchaj, Fred — rzekł Charlie — moja żona ma pewne zmartwienia. To nie mnie poszukują — to ją! Dlatego też chcę ją stąd usunąć.

Fred patrzył nań osłupiały.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ona zamordowała Loubę?

— W tych dniach dowiem się — rzekł Berry tajemniczo.

Fred słyszał kroki w korytarzu i chciał wyjść. Dzwonki trzasnęły się. Usiadł, by rozmyślać. Przeprowadził rewizję w ich pokoju: walizka nie była spakowana i nie było żadnych oznak, jakby kobieta ta wyjeżdżała w podróż. Był zdecydowany. Wyszedł w mgłę i znalazł budkę telefoniczną.

— Niech mi pani da Greenwich, policję — nie znam numeru.

ROZDZIAŁ XXIX.

Człowiek w mgle.

Szukając oparcia pod stopami zdawało się jej, że wchodzi w próżnię.

— Nie chcę iść — rzekła — ta mgła jest okropna. Wróćmy.

— Chodź — syknął Berry. — Nie rób ze mnie durnia. Mgła rzednie. Po tamtej stronie mostu jest zupełnie jasno.

Oparła się o niego. Szli w ciemni.

— Jest tutaj zakręt — rzekł — przechodzimy przez ulicę. Włóż to do kieszeni.

— Co to jest? — zapytała, trzymając jakiś papier.

— To zeznanie — odrzekł. — Gdy jesteśmy na dworze, to już możemy to załatwić.

Stanęła.

— Nie pójdę dalej — rzekła stanowczo. — Jakiś człowiek idzie za nami. Przeczekajmy, aż przejdzie. Chcę ujrzeć kogoś oprócz ciebie.

Czekali. Berry wytężył wzrok, ale nikt nie przeszedł.

— Kłamiesz — rzekł — jeśli nie chcesz być sama ze mną, to śpiesz się, za pięć minut będziemy na Greenwich High Street.

— Pewna jestem, że słyszałam kroki — rzekła, a potem, gdy szli obok dalej zawołała: — Słuchaj! ktoś idzie za nami!

Nerwy jego były zupełnie stargane.

— Chodź! — syknął. — Dlaczego nie miałby iść ktoś za nami? Czy kto inny niema prawa chodzić sobie we mgle?

— Wróćmy — prosiła.

Zaśmiał się.

— Która droga prowadzi z powrotem? — zapytał. — Nie bądź szalona! Jesteśmy już koło mostu.

Wziął ją pod ramię i prowadził naprzód. Zszli z bruku i czuła, że idzie po błocie. Raz stąpiła w kałużę i krzyknęła.

— Gdzie idziemy? — zapytała.

— Na wybrzeże nad kanałem. Tam policjanci szukają, więc nie masz się czego bać — dodał, a to jego przerwianie się od możliwego detektywa do pewnego policjanta uderzyło ją.

Zatrzymała się znów.

— Pewna jestem, że ktoś idzie za nami. Słyszałam bryzg wody.

— Chodź tu — ze ścieżki — szepnął.

Doszli do żelaznych szyn podkładu, które tworzyły granicę przejścia nad kanałem. Nic nie słyszał. Wpadła mu pewna myśl.

— Próbujesz mnie przestraszyć — syknął. — Chcesz, bym uwierzył, że ktoś idzie za nami!

Szarpnął ją za ramię i stoczyli się nadół po pochyłości. W miejscu, gdzie stały posterunki ze względu na taką mgłę, zatrzymał się. Usłyszał skradające się kroki.

— Czekaj tu — rzekł i wrócił kilka kroków.

Szmer ustał, gdy zatrzymał się.

— Prawdopodobnie jest to plusk wody uderzającej o łódzie — rzekł wracając. — Chodź tędy.

Przeszli koło posterunków i przywarli do muru na lewo. Nie miał zamiaru dzielić jej losu.

— Kanał jest tutaj — rzekła nagle i głos jej drżał. — Czuję zimno. Czy nie dość daleko doszliśmy już?

— Tak, jest tutaj — odrzekł. — Chodźmy...

— Dalej nie pójdę. — Oparła się o mur, zrozumiawszy teraz, poco ją tu przyprowadził.

Ręka jego zgmiotła krzyk w jej gardle.

— Zawsze chciałaś umrzeć — rzekł brutalnie i chrypliwie.

— Zawsze mówiłaś, że pragnęłabyś już nie żyć — i teraz tak się stanie. Znajdą cię i twoje zeznanie. Słyszysz? A ja powrócę do Buka i znajdę sobie inną dziewczynę!

Broniła się, ale była bezsilna w jego rękach. Wielka dłoń zamykała jej usta, a silne ramię przykuwało ją do miejsca. Potem przez mgłę ujrział sylwetkę — jakiś cień na jaśniejszym cieniu — i cofnął się.

Pop!

Zabrzmiało jak wyciągnięty korek.

Pop!

Charlie Berry osunął się na kolana, zatoczył się i wpadł z pluskiem w czarną drogę kanału. Dziewczyna oparłszy się o mur widziała dwa błyski, które przeszły mgłę i zataczając się, szła ku nieznanemu zbawcy.

— O Boże, dzięki! O Boże! dzięki!

— Kate!

Zatrzymała się skamieniała przerażeniem, osłupieniem, wątpieniem. Widziała, jak ręka poruszyła się i coś wpadło do wody.

— Kate!

— Ty — ty! — szeptała i wpadła w otwarte ramiona.

— Moja ukochana! o moja ukochana! — szeptał i całował zimne policzki.

ROZDZIAŁ XXX.

Komisarz, który zniknął.

Było to w godzinę przed przybyciem do Greenwich inspektora Trainora. Wszelkie wątpiwości co do identyczności zmarłego zostały usunięte po rozmowie z gospodarzem Fredem i zrewidowaniu pokoju, jaki zajmował ze żoną.

— Trzeba podać opis kobiety i schwycić ją — rozkazał — gdy poraz dziesiąty przeczytał zeznanie, jakie znalazł w kieszeni Berry'ego. — Niema wątpiwości, że jest to pismo

tego człowieka — rzekł. — Brak podpisu usprawiedliwiony jest stanem podniecenia przed samobójstwem. Tylko zachodzi pytanie — czy to było samobójstwo?

Inspektor z Greenwich, do którego było zwrócone to zapytanie, nie umiał odpowiedzieć na nie.

— Strzały były oddane z pewnej odległości — tak wynika z ran — rzekł Trainor. — A może były oddane z pistoletu z przytłumiaczem Maxim, gdyż nikt w okolicy nie słyszał ich. Następnie — jest ta kobieta.

Fred mógł dać mało pomocnych informacji. Gęstość mgły czyniła nieprawdopodobnem, by ktoś mógł widzieć ich wychodzących i Trainor doszedł do własnych konkluzyj, zanim nie powrócił do Scotland Yard. Nie zadowolił się tem, że Berry wyprowadził swą żonę z zamiarem zabicia jej. Złe przeczucia Freda pozbawione były dowodów. Była taka możliwość, ale jeśli tak być miało — jak wytłumaczyć sobie to zeznanie? Mogło być podrobione — wszystko zależało od tego, czy odcisk palca, widoczny na lewym brzegu listu, mógł być zidentyfikowany z odciskiem, wziętym od umarłego. Wszystkie te kwestje były usunięte w pół godziny po przybyciu do Scotland Yard. Odciski były takie same.

Ale wtedy właśnie poważniejsze troski zajmowały Trainora. Po powrocie do kwatery poszedł natychmiast do biura swego przełożonego, by przekonać się, że Hurley'a Browna tam nie było — i że nie było go cały wieczór. Zatelefonował do klubu i odpowiedziano mu, że zamykają już na noc i że niema nikogo.

Zaalarmowany zadzwonił do mieszkania komisarza, a nie otrzymawszy odpowiedzi pojechał tam, by się przekonać, że nie było go wcale w domu. Brown wszedł tam na kwadrans i wyszedł z walizką. Gospodyni widziała, jak wychodził i pytała go, czy wróci na noc. Odrzekł: „Bardzo możliwe.“

— Czy poprosi pani mr. Browna, by zadzwonił do Scotland Yard, gdy tylko wróci — rzekł inspektor.

Kobieta obiecała to.

Wówczas zbliżała się już dwunasta. Gdy szukał sposobu wysledzenia komisarza, przyszedł mu na myśl doktor Warden. Z pewną trudnością udało mu się wmówić w taksistę, że koniecznie musi go zawieźć na Devon Street.

Numer 863 Devon Street był domem doktora Wardena, chociaż zajmował tylko dwa piętra, a niższe dzielił z drugim lekarzem. Zadzwonił i po długiej chwili usłyszał kroki w korytarzu. Drzwi otworzył sam doktor. Prawdopodobnie wstał z łóżka, gdyż był w szlafroku i pyjamach.

— Kto tam?

— Doktorze, to ja, Trainor. Szukam mr. Browna. Nie mogę go nigdzie znaleźć.

— Proszę wejść — rzekł doktor. — Stało się coś złego?

— Staram się znaleźć mr. Browna, by zdać mu sprawozdanie z dalszego ciągu sprawy Louby — rzekł Trainor. — To ważne, by dowiedział się o tem dziś w nocy. Przykro mi, że przeszkodziłem panu, ale sądziłem, że może tu jest.

Doktor potrząsnął głową.

— Prawdopodobniejsze, że się zgubił we mgle. Pół godziny — to dziwne, gdyż od miesięcy nie odwiedzał nas wieczorem.

— O której to było? — zapytał szybko Trainor.

— Która jest teraz? — doktor spojrział na zegarek.

— Musiało to być gdzieś po dziesiątej — rzekł.

— Wyglądał podniecony? zdenerwowany?

— Nie — rzekł doktor zdziwiony. — Dlaczego miałby być zdenerwowany?

— Dlatego — nie wiem, dlaczego. Bardzo mi to przykre, doktorze. Ach, gdybym nie był w to wszystko wmieszany! Opowiedział zażdziwiająca nowiny.

→ Charlie zastrzelony? To ważne rozwinięcie się sprawy. Prawdopodobnie Brown dowiedział się o tem i udał się do Greenwich.

— Czy zostawił tu walizkę?

— Nie. Nie miał walizki. Powiedział mi, że będzie u pana rano. Powiada pan, że było zeznanie? Jak to wpłynie na sprawę Leamingtona!

— Nie mogę tego powiedzieć, doktorze — odrzekł Trainor. — To zależy od decyzji prokuratora departamentu. Możliwe jest, że wobec tych okoliczności nie wniosą oskarżeń przeciw Leamingtonowi i w ten sposób uwolnią go. Berry był jednym, który mógł popełnić to morderstwo i który miał sposobność potem — pozatem, który mógł podtrzymać zeznanie Leamingtona, że Louba nie żył już o dziewiętej.

— Ale w jaki sposób tłumaczy pan ten głos przy telefonie? — zapytał doktor spokojnie. — O dziesiątej ktoś dzwoni do mnie do klubu i prosi, bym odwiedził go nazajutrz. Jest to głos Louby, poznał go służący w klubie.

— To nie mógł być głos Louby. Louba mówił łamanym akcentem, a tego rodzaju głos jest najłatwiejszy do naśladowania. Muszę przyznać, że tu jestem zaskoczony, gdyż, jeśli zabił go Charlie, wtedy musimy przypuszczać, że powrócił po opuszczeniu mieszkania i że morderstwo popełnione zostało później, natychmiast przed zjawieniem się Leamingtona — jeśli jego opowieść jest prawdziwa — w taki sposób rozwiązuję czas, doktorze. — Dane swoje wyliczał na palcach. — O 7 Louba żyje i prawdopodobnie o 7.15 żyje jeszcze, gdyż pan nie słyszał żadnego krzyku — przed przybyciem Millera. Co najmniej musiałby pan słyszeć łoskot padającego ciała. O 7.30 Miller wychodzi. O 9 — o ile można sądzić — Leamington udaje się do mieszkania i znajduje Loubę martwego. Zdaje mi się, że możemy to wziąć za fakt, że jeśli Loubę zabił Berry, to stało

się to w czasie między pańskim wyjściem, a przybyciem Leamingtona. Sam Miller wszedł w kwadrans po wyjściu pana z mieszkania. Loubę znaleźliśmy o 10.30. Leży na łóżku. Usunięto kołnierzyk i krawatę — dlaczego? Nie wiadomo. Chyba, że był w trakcie rozbierania się, gdy go zabito. To nie jest prawdopodobne, by się rozbierał w pracowni, chyba, że chciał włożyć tę szatę ze skrzyni, ale i wówczas nie ma wytłumaczenia, dlaczego nie miałby wziąć tej szaty do swej sypialni. Pozatem da Costa zeznaje, że zapomniał włożyć tę szatę do skrzyni — nie miał już czasu. Z wyjątkiem szkatuły, którą miał da Costa przed przybyciem Louby — a gdyby nie, gdyby zabił Loubę, by uzyskać ją, jak mógł wejść, jeśli okno było ubezpieczone? — nic nie zostało skradzione, co jest dziwne, gdyby Loubę zabił Berry. Pęk listów znaleziono na stole, jak to widział Leamington, a spalony list był w kominku z oddartym adresem. Jeśli Berry popełnił mord, wówczas musiał on trzy razy przybywać do mieszkania — pierwszy raz, gdy pan słyszał głos sprzeczący się z Loubą, drugi raz między 8.30 a 9, gdy Leamington ujrzał ciało, trzeci raz po odejściu Leamingtona, a przed przybyciem Browna. Nie wiemy, czy listy te —

Nagle przerwał i zmarszczył czoło.

— Przypuszczam, doktorze, że nie zauważył pan, czy były jakieś listy na stole lub obok na podłodze, gdy pan wszedł do pokoju.

Doktór potrząsnął głową.

— Czy Miller był z panem, gdy pan wchodził do pokoju?

— Tak, on pokazywał nam drogę.

— Wówczas Miller mógł zabrać te listy, więc nie potrzeba było drugiej wizyty.

— Mówiąc Miller, masz pan na myśli Browna — rzekł nagle doktor, a Trainor nie zaprzeczył.

— Cała ta rzecz jest bardzo dziwna — rzekł. — O, gdybym tylko znalazł Browna! Byłaby to ogromna różnica teraz...

— — — — —
We wtorek rano mgła rozjaśniła się. Londyn odetchnął. Trainor wstał wcześniej i poszedł do mieszkania Browna.

— Nie, nie było go w domu — rzekła gospodyni. — Martwię się... z tą mgłą i ludźmi topiącymi się i wypadkami ulicznymi... Może leży gdzieś w szpitalu.

Trainor uśmiechnął się.

— Mogę uspokoić panią co do tego — pytałem się już we wszystkich szpitalach.

— Może jest w rękach jednego z tych zbrodniarzy? — pytała zaniepokojona.

— Nie przypuszczam — rzekł Trainor.

Pojechał na Devonshire Street. Musiał czekać na doktora, gdyż lekarz miał pacjenta. Gdy wpuszczono go, doktor zapytał zaraz:

— Czy dowiedział się pan czegoś o Brownie?

— Jestem zupełnie zrozpaczony — rzekł inspektor.

— Główny komisarz dowiadywał się o niego dziś rano. Całą noc nie było go w mieszkaniu.

— Co pan o tem myśli?

— Mojem zdaniem — nie ujrzymy go już więcej.

Warden milczał. Stał przy stole, bawiąc się bezmyślnie nożykiem do rozcinania papieru.

— Mówimy w zaufaniu — rzekł wkońcu. — Czy mogę powiedzieć coś — tak zupełnie w zaufaniu? Obiecuję panu, że nic nie powtórzę z tego, co mi pan powie, a pan musi mi dać to samo zapewnienie.

— Uczynię to chętnie — rzekł Trainor. — Ja bardzo lubię mr. Browna. Dał mi wszystkie możliwości, jakie miałem kiedykolwiek: popierał mnie zawsze. Raz, gdy popełniłem

Błąd, on mnie wydobyl z tego, co wyglądało na bardzo złą sytuację. Muszę przyznać, że ostatnio miałem dla niego złe uczucie — ale sam potem wstydzilem się tego. Uczynię dla niego wszystko.

— Wierzę — rzekł doktor. — Teraz ja się panu zwierzę. Zdaje mi się, że pańskie obawy są uzasadnione. Londyn nigdy już nie ujrzy Hurley'a Browna. Niech się pan nie pyta, dlaczego doszedłem do takiego wniosku. Lepiej jest nie wypowiadać wszystkiego...

Wziął ze stołu fajkę i zapalił.

— Znalazł pan tę kobietę?

— Jeśli znajdzie kobietę, to znajdzie też Browna — rzekł detektyw.

Doktor palił w zamyśleniu.

— Ma pan rację — rzekł — to też w zaufaniu. Niech pan usiadzie...

Zaczął chodzić po pokoju z rękoma w kieszeniach i fajką zaciśniętą w zębach z wyrazem zmartwienia na zwykle spokojnej twarzy.

— Chciałbym, by pan dobrze myślał o Brownie — rzekł. — On jest człowiekiem, dla którego mam głębokie uczucie. Miał wielką tragedję w życiu. Gdyby nie jego dobroć i odważne rozumienie honoru, mogłaby być podzielona — jeśli tragedja może być podzielona.

— Czy znał pan go od dawna?

— Od wielu lat! Znałem go od chłopca. Najszczerze serce, jakie kiedykolwiek było! Nie jestem przygotowany na opowiedzenie panu historii jego życia. Są pewne fragmenty, które nigdy nie zostaną opowiedziane: Ale Hurley Brown nigdy nie popełnił czynu niehonorowego. Mówię teraz tak, jakby już nie żył — choć wiem, że tak nie jest. Niech pan zawsze pamięta, że Brown nie jest zdolny do niehonorowego czynu.

— Czy morderstwo nazwał by pan czynem niehonorowym?

Krew nabiegła do twarzy doktora.

— Niechętnie słyszę te słowa. O ile ja wiem, a ja wiem o nim najwięcej, nigdy nie zabił nikogo. ○

Cały ten dzień nie było śladu po zniknionym komisarzu. Główny komisarz i sztab jego złożyli konferencję i wysłano prywatne zawiadomienia do wszystkich posterunków, nakazujące poszukiwania. Tego wieczoru został rozesłany rozkaz poszukiwania. Główny komisarz otrzymał list, który nic nie tłumaczył, ale w każdym razie wyjaśniał sytuację.

ROZDZIAŁ XXXI.

Miller.

Dzienniki zamieściły następujące zawiadomienie:

„Dowiadujemy się, że mr. Hurley Brown, znany komisarz Scotland Yard, złożył swą dymisję, uzasadniając ją złym stanem zdrowia. To uspakaja podniecenie, jakie powstało zeszłej nocy, jakoby mr. Brown miał zostać zabity przez bandę opryszków, których przyprowadził przed sąd parę lat temu. Dowiadujemy się, że mr. James B. Lattle, deputowany główny komisarz z Birmingham ma zająć opróżnione miejsce.“

Doktor Warden przeczytał tę wiadomość przy śniadaniu, i w drugiej części dziennika ujrzał artykuł, uzupełniający ten pierwszy. Było to ogłoszenie, że wobec zeznania, jakie znaleziono w kieszeni utopionego w kanale Deptford, nie można czynić dalszych oskarżeń przeciw Frankowi Leamingtonowi i że dwie inne osoby przetrzymane pod podejrzeniem, także zostaną wypuszczone. Chociaż nie było to zawiadomienie oficjalne, było jednak znaczące.

Jaknajściślejse śledztwo nie zachwiało zeznań Weldrake i da Costy, gdy zwrócono im uwagę na konieczność prawdy. Najbardziej wyczerpujące przeszukanie nie dało wyników i nie odnaleziono krwi, która musiała obryzgać ubranie mordercy, a chociaż przepiłowanie górnej powierzchni szkatuły okazało właściwe klejnoty i było to dostatecznym motywem, by przypuścić, że zbrodnia została popełniona przez da Costę, nie było jednak żadnego dalszego dowodu ani przeciw niemu, ani przeciw Weldrake, który mógł mieć taki sam powód, a jeszcze mniej było dowodów przeciw Frankowi Leamingtonowi.

Doktor przeczytał artykuł, a na jego twarzy rozpostarł się wyraz smutku. Brown zrezygnował — porzucił ambicję życia i zawód tak ukochany! Odstawił filizankę z westchnieniem i siedział, patrząc niewidzącemi oczyma w gazetę. Czy szczęście, jakie uzyskał, będzie wynagrodzeniem tego? Cała przyszłość zależała od tego.

Warden przebiegł w pamięci przeszłe tygodnie. Każdy szczegół pamiętał jasno. Przypomnił sobie, jak z uśmiechem zarzucał Brownowi, że mówił z taką wściekłością o Loubie. Wówczas zdawało mu się, że Hurley jest nieco mściwy — bo on sam nie nienawidził Louby. Człowiek ten przedstawiał pewien typ pod pewnemi względami godny podziwu. Warden nigdy nie czuł odrazy do niego. Podziwiał nawet pewne jego zalety.

Gdy wstał z krzesła usłyszał dzwonek.

Weszła służąca.

— Czy przyjmie pan Millera?

— Służącego Louby? Przyrowadź go!

Miller wszedł nieco nerwowo.

— Przepraszam, doktorze, ale jak pan doktor domyśla się, muszę znaleźć sobie inną posadę. Chciałbym się zapytać, czy pan doktor nie powiedziałby mi, czy są pewne

szanse dla człowieka takiego jak ja w południowej Ameryce?

Doktór był zaskoczony.

— To najgorsze miejsce jakie mógłbyś wybrać. Dlaczego nie wyjeżdżasz na kontynent? I po co wogóle wyjeżdżasz z Anglii?

Miller poruszył się niespokojnie.

— Nie mam szczególnych powodów, tylko — no, po tem okropnem morderstwie nigdzie nie zechcą mnie przyjąć...

— Zdawało mi się, że chcesz założyć hotel w Bath? Dlaczego zmieniłeś swe plany?

Miller zawahał się.

— Chciałbym wyjechać z kraju...

— No, to jedź na kontynent lub do kolonii, jeśli masz pieniądze.

Doktór mówił przekonywująco o Kanadzie i Południowej Afryce, ale wiedział, że nie przekona go. Gdy Miller odszedł, doktor zastanawiał się, dlaczego on wogóle przybył do niego. Dopiero, gdy przywołano go na Bow Street, ażeby złożył swe poręczenie co do wypuszczenia Franka Leamingtona, dowiedział się od Trainora o tem, co się stało. Finansowe sprawy Louby zostały oddane do sprawdzenia. Zdawało się, że przeprowadzał dokładne ewidencje swych transakcyj. — Przekonano się, że dzień przed śmiercią podjął wielką sumę z banku we frankach i że pieniędzy tych nie było w mieszkaniu Nr. 2. Pozatem za specjalnem zezwoleniem Miller ożenił się w poniedziałek.

— Szukam go, by mi wytłumaczył, w jaki sposób zmienił wczoraj 1000 franków u Cooka — rzekł detektyw i doktor zrozumiał.

Udał się na policję. Beryl Martin przeszła doń przez pokój.

— Jak to dobrze, doktorze! Mr. Trainor sądził, że zechce pan udzielić potrzebną gwarancję.

— Oczywiście! — rzekł serdecznie Warden. — To znaczy usunąć oskarżenie z Leamingtona!

Trainor skinął.

— Tak — rzekł. — Prokurator chce mieć nas, by rozmyślać nad tą sprawą, ale nie chce, by mr. Leamington pozostał w areszcie.

Wszyscy udali się do urzędnika i gwarancja została podpisana. Pozostawiając ich samych, Warden odciągnął inspektora na bok.

— Są jakieś wiadomości od Browna?

— Niema. Czytał pan zawiadomienie? Zrezygnował. Dziś przysłał po swe papiery. Nie chce dać dalszych wytłumaczeń. Jest znużony i za radą lekarza porzuca pracę. Czy to była pańska rada, doktorze?

Doktor nie odpowiedział wprost.

— Chociaż jestem jego przyjacielem, nie byłem jego lekarzem. Nie lubię odpowiedzialności za leczenie przyjaciół.

— Ma pan jakieś przypuszczenia, gdzie on być może?

— Nie widziałem go od czasu, gdy był u mnie i nie dostałem nic od niego. Słyszałem, że Louba pozostawił wielki majątek?

Inspektor potrząsnął głową.

— Przeciwnie — był beznadziejnym bankrutem. Rewidenci powiadają, że gdyby nie jego śmierć, zostałby zaarrestowany za fałszywe wystawianie papierów i otrzymywanie pieniędzy na podstawie fałszerstw. Był u skraju ruiny.

Doktor spojrział niedowierzająco.

— Naprawdę?

— Bez wątpienia. Tu da Costa mówił prawdę. Zadłużony był wszędzie. Pensji nie płacił Millerowi od miesięcy

i wszystko, co miał, było zhipotekowane aż do końca. Ale wiemy to jedno: w przeddzień śmierci kazał sobie w banku wypłacić wielką sumę w banknotach, tysiącfrankowych, które zniknęły. Wiemy, że Miller zmienił pięć takich banknotów wczoraj i poszukujemy go.

Warden przyłączył się do młodych. Frank był prawie-że szalony w swych podziękowaniach.

— Trainor powiedział mi, że pan pracował na moje dobro od chwili mego zaarrestowania — mówił mi, że był pan u sekretarza stanu...

Doktór zarumienił się.

— Nie mogłem patrzeć się spokojnie na tak wielką omyłkę sprawiedliwości.

O dziesiątej wieczorem zadzwoniono do doktora i gospodyni zaanonsowała gości. Myśląc, że jest to jakieś wezwanie na konsultację, doktor zeszedł do gabinetu.

Jakiś człowiek siedział na krześle. Nieogolony, chudy, z nędzą błyszczącą w oczach, a obok niego blada, ładna twarz dziewczęca, zapewne jego żona. Był to Miller.

— Przyszedłem poddać się, doktorze — rzekł chrypliwie. Tak uważa moja żona. Jestem jednym z tych, który ograbił mr. Loubę, ale, Bóg mi świadkiem, nie podniosłem ręki na niego!

Telefon zawiadomił Trainora i jego pomocnika.

— Tu są pieniądze, mr. Trainor — rzekł Miller. — Przypuszczam, że zaarrestuje mnie pan, ale wolę to, niż jeszcze dalsze nieszczęście dla mej żony.

Opowiedział swą historję.

— To, co opowiem panom, jest najświętszą prawdą. Zeznałem przedtem wiele kłamstw i żałuję. Gdy się zdarza taka rzecz, jak to morderstwo, jest to naturalne, że człowiek jest cały wstrząśnięty. Służyłem u mr. Louby przez 14 lat. Wstąpiłem w jego służbę, gdy mieszkał przy Jermin Street,

zanim nie dorobił się pieniędzy. W Londynie spędzał pół roku, a gdzieś na południu Europy drugie sześć. Pan doktor przypomina sobie to mieszkanie, bo tam przychodził często. Po kilku latach mr. Louba powrócił i wybudował z kilkoma innymi Braymore House. Odtąd zamieszkał tam na stałe. Tam poraz pierwszy ujrzałem Charlie Berry. Nie znałem jego nazwiska ni zawodu, gdyż widywałem go rzadko. Ale był częstym gościem, chociaż nie był przyjacielem mr. Louby. Jego stosunek, o ile mogłem osądzić, był raczej poddanego, niż przyjaciela. Louba zawsze sam go wyprowadzał. Zdaje mi się, że nakazał Charlie, by nie rozmawiał ze mną, gdyż raz, gdy próbowałem wydobyć coś od niego, Charlie powiedział mi, bym pilnował swych interesów, a nazajutrz Louba nawymyślał mi za wtrącanie się do nieswoich spraw. Potem przestałem się więc dopytywać. Dziewięć czy dziesięć lat temu, wnet po całej awanturze z pewną panną, która nie mogła wydobyć się z pokoju, widziałem Charlie poraz ostatni. Zdaje mi się, że to było nazajutrz. Był on ubrany jakby do trumny i można go było wziąć za gentlemana. To mnie uderzyło, gdyż Charlie ubierał się źle. Nawet zauważyłem, że był bardzo szubrawo ubrany, gdy przychodził. Od tego dnia do czwartku przed morderstwem nigdy oczy moje nie widziały go. Wiedziałem o wiele więcej o prywatnych sprawach mr. Louby, niż on się domyślał, szczególnie o jego finansowem położeniu. Wiedziałem, że jego przedsiębiorstwa nie szły zbyt dobrze. Zgłoszono wielkie pretensje i pewnego dnia zastałem go nad pliką rozkładów okrętowych i ujrzałem paszport na nazwisko Goudelas z jego fotografią. Tak więc zaczynałem zestawiać te rzeczy. Wiedziałem, że co tydzień posyła pieniądze ludziom. Raz mówił mi, że są to jego emeryci, których utrzymuje. Przestał je posyłać, a rachunki za mieszkanie zaczęły rosnać. Moja pensja zalegała od tygodni i to wy-

dawało mi się bardzo dziwne. W czwartek przed morderstwem spotkałem Charlie. Stał przed Braymore House. Była ósma. Niosłem listy popołudniowe do Elect-Clubu. Nie poznałem go, aż przemówił do mnie, ale gdy ujrzałem jego twarz, zorientowałem się natychmiast. Powiedział mi, że tylko co przyjechał i pragnie wiedzieć, gdzie jest Louba. Byłem zaniepokojony stanem spraw i chciałem mieć możliwie najwięcej informacji co do mego chlebodawcy. Poszliśmy do baru. Tam właśnie przemówił do nas Weldrake." Mówiłem panu o tem. Wtedy Charlie powiedział mi, że sprawy idą źle i że jeśli się uda Loubie, to źle się to na nas odbije. Piliśmy trochę i może być, że to właśnie to nadmierne picie lub może perswazje Charlie'go — ale gdy on przedłożył mi propozycję, byśmy wyprzedzili Loubę i wykorzystali sytuację, zanim Louba nie zwieje, nie odmówiłem, jak powinienem to zrobić. Mojem zadaniem było śledzić mego pana, czy podejmuje pieniądze z banku, a to było łatwe, ponieważ Louba trzymał swą książkę czekową w biurku i łatwo było zobaczyć, czy nie podebrał pieniędzy. Gdy się dowiem, że są pieniądze w domu, miałem zawiadomić Charlie'go do hotelu, gdzie mieszkał. Wszystko, co miałem zadepeszować było: „Florence przybyła“. W sobotę rano Louba wyszedł i wrócił tuż przed obiadem, który wzięliśmy z restauracji na dole. O pół do trzeciej wyszedł, a ja zacząłem przeszukiwać pokój. Znalazłem książeczkę czekową. Podjął on 12 tysięcy funtów we frankach. Data na książeczce opiewała na dzień wczorajszy, więc domyśliłem się, że czek wystawił tego dnia, by dać bankowi czas nabycia obcych pieniędzy. Czek był wystawiony na rachunek Syndykatu Śródziemnomorskiego, który to syndykat był rzeczywiście prywatnym rachunkiem Louby. Zacząłem przeszukiwać i znalazłem wkońcu pieniądze. Były w biurku koło okna. O ile mogłem osądzić, było tam 100 tysięcy franków.

Nie było klucza do szuflady. „Otwierała się za pociśnięciem dwu małych guzików po obu bokach klamry. Odkryłem to już dawno przez przypadek i wówczas mogłem wziąć te pieniądze, ale znaczyłoby to, że podejrzenie spadnie na mnie. Tembardziej, że Louba zaraz po powrocie z pewnością zechciałby się przekonać, czy pieniądze są w bezpieczeństwie. Plan ustaliliśmy taki: po otrzymaniu mej depeszy, Charlie ma przybyć tu i zobaczyć się z Loubą. Wpuszczając go miałem mu powiedzieć, gdzie się znajdują pieniądze. Miał je wziąć albo wówczas, albo powrócić później przez wyjście w razie ognia. By mu przygotować wejście, miałem odkręcić śruby w oknie, by mógł wejść tamtędy. — Zastanowiliśmy się też nad alarmem, dzwoniącym wtedy, gdy się spuszcza dolną drabinę. Ale w ogrodzie była inna drabina i powiedziałem mu, że ją może znaleźć. W taki sposób można się było dostać na górne piętro nie poruszając alarmu. Potem mieliśmy się spotkać w barze, by podzielić się zdobyczą. To było uplanowanie, jakie się mi najmniej podobało, gdyż spodziewałem się, że on może zechce mnie oszukać. To niepokoiło mnie i byłem bardziej podniecony, niż powinienem być. Wysłałem depeszę. Wkrótce potem Louba powrócił. Był w dobrym humorze i gdy zapytałem go, czy mogę wyjść na wieczór, zgodził się zaraz. Zrobiłem jedną podłą rzecz. Poprosiłem, by moja narzeczona — teraz moja żona — czekała na mnie koło Braymore House, gdyż przyszło mi na myśl, że będę potrzebował alibi. Długo trwało, zanim wyperswadowałem jej, by przyszła, jednak uczyniła to. W pół godziny przed przybyciem Charlie byłem w pokoju, a mr. Louba kąpał się. Jak spodziewałem się, stwierdził, czy są pieniądze. Była sposobność, jakiej nie miałbym już nigdy. Charlie przyjdzie i wiedziałem, że zagarnie wszystko. Jeśli wezmę teraz, będę bezpieczny. Gdyby Luba po odejściu Charlie wykrył stratę, przypuścimy nawet, że Charlie nie

byłby w stanie dostać się do tych pieniędzy, w każdym razie na niego padłoby podejrzenie. Ukradłem. Otwarłem szufladę i banknoty wsunąłem do kieszeni: ażeby upewnić się, że nie znajdą tych pieniędzy przy mnie, wziąłem kopertę, zaadresowałem do siebie do miejscowości, gdzie miałem pokój, gdzie składałem meble, zakupywane w przygotowaniu do małżeństwa i rzuciłem list ten do skrzynki pocztowej. Wróciłem parę minut przed przybyciem Charlie. Wpuściłem go i powiedziałem mu, gdzie są pieniądze. Louba wyszedł ze swego pokoju. Był zupełnie ubrany, miał i kornierz i krawatę. Przywołał Charlie, a ja przygotowałem się do odejścia. Właśnie miałem wyjść, gdy przyszedł pan doktor. Zrobiło mi się słabo z przerażenia. Byłem rozgorączkowany — chciałem wyjść — szczególnie, gdy usłyszałem, że oni się kłócą i ani na chwilę nie przypuszczałem, by Charlie mógł wydostać pieniądze, nie wróciwszy znowu. Co dalej się stało, panowie wiecie. Wyszędłem, widziałem się z narzęczoną, pogadałem ze służącym na dole i wróciłem do mieszkania. Po odejściu pana doktora podsłuchiwałem pod drzwiami. Nie było nic słyhać. Ale nie dziwiło mnie to, gdyż mr. Louba często siedział godzinami nie wzywając mnie. Drzwi były zamknięte, ale to też nie było nic niezwykłego. Najwięcej martwiło mnie to, że pan doktor powiedział mi, że nie słyszał wyjścia gościa. Wytłumaczyć sobie to mogłem tylko tem, że Louba przypomniał sobie, że doktor na niego będzie czekał i wypuścił Charlie'go przez kuchnię. Gdy zastałem drzwi otwarte, potwierdziłem sobie swe przypuszczenia. O 10.40, gdy ujrano krew i gdy doktor przybył z mr. Brownem, byłem przerażony. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem, gdy wszedłem do pokoju — w czasie, gdy oglądano ciało — było wyciągnięcie szuflady biurka. Była pusta. I to jest cała historia, panowie, o ile to mnie dotyczy. Przyszedłem do pana prosząc o radę w sprawie

udania się do południowej Ameryki, gdyż chciałem zmylić ślady.

Doktor pocieszał szlochającą młodą żonę, gdy męża jej zabrano. Dał jej pieniądze i odesłał ją z swą gospodynią do mieszkania matki jej, a gdy Miller otrzymał sześć miesięcy ciężkich robót, Warden zajął się sprawami jego, aby się przekonać, że poza skradzionymi pieniędzmi, miał uskładaną dużą sumę. Oznaczałoby to walkę z władzami, by je dla niego zachować, gdyby nie wykrycie w zawartościach rzeczy Charlie'go dalszej sumy z skradzionych pieniędzy.

— Cała ta sprawa zupełnie się trzyma — rzekł Trainor spotkawszy się z doktorem w Hitehall. — Weldrake i da Costa zostali wypuszczeni na własne uznanie. Ale to zupełnie ich oczyszcza, także i Leamingtona.

— Jest pan pewny tego? — zapytał Warden.

— Legalnie uniewinnia ich. Nie zdaje mi się, by mogła być dalsza wątpliwość, że Charlie nie był tym mordercą. Jedyna tajemnica — to ta kobieta. Gdzie ona się podziała?

Warden poruszył ramionami.

— Czy to nie wszystko jedno? — zapytał i zmienił temat rozmowy. Trainor rozsądnie nie wspomniał o nieobecnym Hurley'u Brownie.

Była jesień. Frank Leamington spędzał swój miodowy miesiąc nad jeziorem Como. Był to cudny dzień. Jezioro było szafirowo niebieskie. Frank leniwie leżał w głębi łódki i patrzył zachwycony na nagie ramiona wiosłującej dziewczyny.

— Wciąż mi się zdaje, że to sen — sen w celi przy Bow Street — rzekł.

Zadrżała.

— Jak możesz! tutaj! Jaki list dostałeś przed wyjściem z hotelu?

Wyciągnął go z kieszeni. Był zaadresowany na maszynie i preadresowany z Londynu.

— Stempel pocztowy — nie mogę odczytać. Znaczek brazylijski.

Rozerwał kopertę i wyjął gruby plik papieru. Przeczytał pierwsze słowa i zerwał się tak gwałtownie, że łódka zakółysała się.

— Co to? — zapytała zaniepokojona.

— Nic. Czekaj, kochanie. Naprzód sam przeczytam.

Milczała wpatrzona w skupioną twarz jego, gdy czytał prawdziwą historję o zabiciu Emila Louby.

ROZDZIAŁ XXXII.

Historja zamordowania Louby.

„Kochany Franku!

Kilka miesięcy temu, tuż przed moim wyjazdem na wakacje, z których ani nie pragnęłam, ani nie zamierzałam powrócić, powiedziałaś mi w zaufaniu, że wobec tego, że znałaś Loubę, nie tylko uczynisz wszystko, aby zapewnić ucieczkę człowiekowi, który go zabił, ale że chętnie uściśniesz mu rękę. Dlatego też, znając Twą szczerść, Twoją szlachetność i mając zupełną wiarę w Twoją dyskrecję, opiszę ci historję morderstwa Louby. Złe jego życie jest nie do opisania.

Naprzód opowiem Ci coś o sobie. Urodziłam się w miasteczku Bucksfast nad Moor w Devonshire w roku 59, tak że dziś zbliżam się do starości. Ojciec mój był farmerem, cieszącym się miejscową sławą jako doskonały weterynarz, chociaż nigdy nie kształcił się w tym zawodzie. Matka moja była kobietą z Gloucestershire i dzisiaj stoi mi w pamięci jako model i wzór wielkich kobiet wszystkich czasów.

Z Cambridge przyjęty zostałem do szpitala Św. Bartłomieja. Podczas mej praktyki tam ojciec i matka zmarli dzieląc majątek na dwie równe części między mną a moim młodszym bratem, Filipem, niezwykle dobrym i łagodnym człowiekiem. Kochałem go bardzo — biedny chłopiec!

Było umówione, że on miał dalej prowadzić farmę. Lubił on życie wiejskie i interesował się rolnictwem, układ ten był więc dobry tak dla niego jak dla mnie. Farma była rozległa i pod kierunkiem Filipa przynosiła więcej niż za czasów ojca. Moje dochody były wysokie, większe niż innych w Bart, mogłem więc sobie pozwolić na rozszerzenie i jakoś moich studjów.

Kupiłem sobie w Exeter gabinet lekarski i mając 35 lat — wybaczysz mi moją próżność — byłem najpopularniejszym lekarzem w tem mieście.

Filip poznał dziewczynę, w której się zakochał i pobrał się. Muszę przyznać, że nowinę tę przyjąłem z pewnym uprzedzeniem, gdyż pod żadnym względem Filip nie był dość silnym człowiekiem, któremu nie przepisałbym trosk, jakie daje małżeństwo.

Żona jego była nadzwyczaj piękna. Byłem przygotowany na piękność, ale Elżbieta Warden była więcej niż piękna. Popatrz na Beryl, a potem na przeciętnie ładną kobietę i potem zrozumiesz różnicę między przystojnością a czarem.

Odrazu ją polubiłem, a gdy urodziła dziecko, przecierpiałem prawie tyle, co Filip. Dzieckiem tem była dziewczynka, a Filip nazwał ją po matce Kathleen. Nie było słodsze go dziecka niż ta moja mała Kate, gdyż było przeznaczone, by stała się moją. Gdy spojrzę wstecz i pomyślę, ile to miała przecierpieć ta mała odrobinka, zdaje się, że gdyby obdarzono mnie darem proroczym i gdybym mógł przewidzieć przyszłość, zabiłbym ją, gdy uśmiechnięta i szczebiocząca leżała w łóżeczku.

Elżbieta nie przyszła nigdy do zdrowia. Kate miała lat siedem, gdy osierociała. Filip poszedł za nią w trzy miesiące. Ja przyjąłem do siebie sierotę. Wówczas miałem już tę praktykę w Exeter i kupiłem już dom przy Devonshire Street za moje prywatne pieniądze plus zarobki z praktyki i to pozwoliło mi stawić czoło ryzyku przybycia do Londynu. Moja książka o chorobach nerwów centralnych zyskała mi już nieco sławy i niedługo przebywałem w Londynie, gdy zacząłem znajdować poczekalnię wciąż pełną.

Kate żyła u mnie do dziesiątego roku życia. Wtedy posłałem ją do szkoły w Gloucestershire, gdzie była bardzo szczęśliwa i zadowolona. Sprzedałem farmę za pokaźną sumę i połowa była moją własnością.

Lata biegły gładko. Gdy Kate miała lat 14 posłałem ją do szkoły do Cheltenham — może najlepszej szkoły w Anglii. Była bardzo szczęśliwa, a chociaż wykryłem w jej charakterze pewien zarys romantyzmu, niezbyt się tem przejmowałem. Romantyczność należy do młodych, do starych — mistycyzm. Kochała Wschód i podczas feryj — zachwycających dla mnie — zwykła była mówić tylko o cudzie Wschodu obecnym i przyszłym. Wschodnią literaturę znała doskonale, Hafiza mogła cytować kilometrami. Bawiło mnie to.

W 14 roku była ładniutka, w 16 była już jak matka — czarujące upiększenie świata... Większość świąt, nawet wakacje letnie, spędzała ze mną przy Devonshire Street.

Podczas takich wakacyj właśnie spotkała Hurley'a Brown'a, młodego oficera w zachodnio-susexskim regimencie, syna starego mego kolegi z Exeter i tak dobrego człowieka, jakiego jeszcze nie spotkałem. Był on na urlopie. Stacjonowany był w Egipcie. Był wielbicielem Wschodu i ona siadywała jak zaklęta słuchając jego opowiadań i jego żywego obrazowego słowa o miastach Wschodu.

Chociaż miała dopiero 16 lat, a on 26, zakochał się w niej rozpaczliwie. Kate zaś — zdaje mi się, że jej miłość do niego była jak Desdemony do Otella — kochała go za te opowieści, które jej opowiadał. Nie powiedział nic ani mnie ani jej. Odziedziczył po dziadku pieniądze, wrócił do Anglii i ponieważ właśnie sprzedawaliśmy naszą starą Buclefast-farmę, kupił ją i osiedlił się jako farmer. Pozwolił sobie na jedną ekstrawagancję — małe mieszkanie w Londynie i mieszkał tam podczas pobytu Kate w Londynie...

Zacynałem odgadywać, co się dzieje, i zresztą nie trzeba się było bardzo trudzić, by to zrozumieć. Gdyby mi kazano przepowiedzieć w tej sprawie, powiedziałbym: zaręczyny za dwa lata, małżeństwo za trzy. Kate lubiła go — miłość spokojna, która jest podstawą wszystkich szczęśliwych małżeństw. Raz powiedziała mi: Chciałabym, by Jimmy był radcą albo wielkim wezyrem lub coś w tym guście, papo... Nigdy nie opowiada już ani o Kairze ani o Bagdadzie. Chce ze mną mówić o zbrodniach Wschodu, pracy policji i takich przykrych rzeczach...

Zwróciłem na to uwagę Jimmy'emu i natychmiast zaczął o wschodnim folklorze...

W kilka miesięcy przed przybyciem Kate już na stałe do domu, spotkałem Emila Loubę. Leczył on się u mego jednego starego przyjaciela na febrę powrotną. Clark musiał opuścić Anglję z powodu zdrowia i na jego prośbę ja prowadziłem dalej leczenie Emila Louby. Lubilem go w ten sam szeroki sposób, w jaki lubi się n. p. Saharę. Był wielki fizycznie i umysłowo, miał poczucie humoru i był dostatecznie wschodni, by móc mnie zainteresować.

Uważałem, że jest tolerancki — z wyjątkiem jednej rzeczy. Nienawidził żołnierzy — szczególnie angielskich — i szczególnie oficerów.

— To są pasorzyty — zwykł mawiać — nie robią nic, tylko wydają pieniądze i pożyczają, a gdy się żąda zwrotu, posyłają żołnierzy i każą spalić człowiekowi dom.

Emil Louba jadł z nami obiad tego dnia, gdy Kate powróciła ze szkoły. Pomyliłem się co do daty, bo inaczej zrobiłbym sobie ten wieczór wolnym. Jedliśmy więc razem, a Hurley Brown, do którego napisałem, ale podałem złą datę, nie był obecny. To jest ten dzień, który będzie przeklęty na zawsze!

Louba wydawał się w jaknajlepszym świetle — był czarujący. Wielki i szorstki miał delikatność i instynkty kobiety. Mogłem zauważyć — znów — Boże, przebacz mi! — bawiło mnie to — że Kate była oczarowana... Odwołano mnie podczas obiadu do pacjenta w Marylebone i to w tym krótkim okresie Louba musiał zwrócić do niej swe wulgarne prośby i wykonał te plany, które pociągnęły zniszczenie mej ukochanej dziewczyny. Gdy powróciłem, uderzył mnie blask ich twarzy i światło w jej oczach. Teraz wiem, co uczynił: zaaranżował przebiegle i zręcznie pierwsze te tajemnicze spotkania, które miały mieć tak olbrzymie konsekwencje.

Brown przybył na drugi dzień. Gdy rozstawał się z Kate, była dzieckiem. — Teraz znalazł kobietę. Stosunek jej do niego był ten sam, a jednak inny. Zauważyłem to, ale znalazłem powody, które — jak się okazało — były bardzo ważne.

— Lubię Jimmy'ego — rzekła potem — ale istnieje takie „ale”. Jimmy jest taki praktyczny, tak bardzo przeciwstawia się moim ideałom...

Nie podejrzewałem jeszcze niczego. Jimmy powrócił na swą farmę i usłyszałem o nim, gdy dowiedziałem się że oddał Tor Scar — tak się nazywała ta farma — i został komisarzem policji maltańskiej.

Kate była zmartwiona — ale była stanowcza.

Pewnego razu spotkałem w klubie Loubę. Był ożywiony i dopytywał się o Kate, jakby nie spotkał się z nią od czasu tego obiadu.

— Czarująca dziewczyna! — rzekł entuzjastycznie. — Ona kiedyś kogoś bardzo uszczęśliwi. Czy jest zaręczona?

Mijając się z prawdą, odrzekłem, że jest zaręczona z kapitanem Hurley Brownem. Twarz jego zmieniła się.

— Hurley Brown? Ten z Malty?

Odrzekłem, że tak.

Dziwna rzecz, że nie przypomniałem sobie tej rozmowy nawet gdy później wspomniał Brown w klubie, że ma niechęć do Louby za coś, co się stało na wyspie.

Przyszedł pożegnać się i muszę przyznać, że Kate była okrutnie obojętna, chociaż potem płakała. To, że go kochała, nie ulega wątpliwości, ale zawładnął nią czar Louby i była bezwolna w jego złych rękach.

Pewnego wieczoru spotkałem dawnego lekarza Louby, Clarka. Wyraził chęć zobaczenia się z nim, więc udaliśmy się do Braymore House. Miller był nieco podniecony, gdy nas ujrzał. Powiedział, że pan jego jest zajęty, ale że on nas zaanonsuje. Fakt jest, że krzyknął nasze nazwiska przez zamknięte drzwi.

Czekaliśmy długo, nim Louba nas przyjął. W pokoju był pewien nieład, krzesła były obwieszane pięknymi wyrobami wschodnimi: złoty *hookah* stał koło fotelu — wyglądało tak, jakbyśmy rozerwali jakieś towarzystwo.

Nie pozostaliśmy długo, czując, że jesteśmy *de trop*. Zeszliśmy na dół. Portjer na dole był zaalarmowany, ktoś zszedł wyjściem w razie ognia i alarm zadzwonił. W danej chwili portjer odwoził windą kogoś na trzecie piętro i zanim zdążył na dół, ten ktoś zniknął.

Wróciłem do domu i zastałem Kate w jej pokoju. Byłem zadowolony, bo przypomniałem sobie, że mam do ukończenia pracę w laboratorium bez pomocy asystenta. Zaangażowałem bowiem Karola Berry, studenta jednej z tych licznych instytucji, wydających rzemieślniczych lekarzy. Był to Londyńczyk o ostrych rysach, pewny siebie i nie nadzwyczajnie uczciwy. Kate nie lubiła go. On był natarczywy, nazywał ją „Kate“ i otrzymał za to jej upokarzającą nauzkę. To go rozłościło. ○

Dziwna rzecz, jaką wartość uzyskuje pewnego rodzaju typ umysłowy z pewnego rodzaju nauki. Zaznajomienie się z *materia medica* i pamięć do angielskich nazw farmaceutycznych od *Acacia* do *Zinziber* nadała Berry'emu wygląd wielkiego pana i manjery profesora chemji. Był dobrym pracownikiem, ale jak powiedziałem znikanie pewnych przyrządów z laboratorium kazały mi wątpić w jego uczciwość.

Gdy powróciłem, nie było go już. Pracował od 9—6. W ostatnich czasach wychodził w nieodpowiednich godzinach i był niedbały. Zauważyłem zmianę w zachowaniu się Kate względem niego. Była uprzejma i raz widziałem ich rozmawiających ze sobą szeptem. Nie widziałem w tym nic niezwykłego, ale potem miałem powody, by przywiązywać do tego specjalne znaczenie.

Zwykle jem śniadanie o 8 godzinie. Pewnego ranka zszedłem do jadalni dziesięć minut wcześniej i ku memu zdumieniu dowiedziałem się od gospodyni, że Kate niema w domu. Powiedziała, że idzie do Covent Garden, by kupić kwiaty i ma się tam spotkać z przyjaciółką. Nie było to nic nadzwyczajnego. Kate lubiła ekscentryczne rzeczy i już raz przedtem nie wróciła na obiad.

Wieczorem wróciłem znużony do domu. Gospodyni przyjęła mnie zmartwiona.

— Miss Kate nie wróciła — rzekła.

— Cały dzień nie? — zdziwiłem się.

— Nie, proszę pana. Przysłała list — to jej pismo...

Nie ulegało wątpliwości — był od Kate. Stempel pocztowy był z Dover.

Z okropnem przecuciem otwarłem list...

„Drogi papo!

Od długiego czasu kochałam potajemnie Karola Berry, ale nigdy nie odważyłam się powiedzieć ci tego. Uciekłam z nim i mamy się pobrać jutro. Nie myśl źle o bardzo kochającej cię córce
Kate.“

Gdy przyszedłem do siebie po tym wstrząsie, zabrałem się do śledzenia uciekinierów, myśląc, że uda mi się to i że wnet dostanę wiadomości od Kate. Ale nie było ich... Użyłem detektywów, którzy śledzili dom Karola Berry, ale jego matka nie otrzymywała też żadnych wiadomości.

Umieściłem ogłoszenie we wszystkich pismach angielskich prosząc, by powróciła, ale nie dostałem odpowiedzi. Jedyne człowiek, który mógł mi pomóc w tych okropnych czasach, był w drodze na Wschód.

Sześć miesięcy potem otrzymałem list od Kate. Pisała, że jest bardzo szczęśliwa i ma nadzieję, że mnie kiedyś zobaczy. List ten był nadany w Wiedniu. Skomunikowałem się z policją wiedeńską, która jednak nie mogła jej wysledzić, ani dać mi żadnych informacji. W latach następnych czepiałem się rozpaczliwie tej jednej wiary, że jest ona szczęśliwą. Nie widziałem się z Loubą, który wyjechał z Londynu. Nie pomyślałem nigdy o przyjęciu go do mego zaufania. To było tuż przed drugim listem Kate, gdy powiedziałem mu o tem. Nawet sam zapytał się pierwszy o Kate. Powiedziałem mu, że wyszła za mąż i jest na kontynencie i że się martwię bardzo tą sprawą i staram się ją

odnaleźć. Zapewne to ostrzeżenie spowodowało list od Kate, napisany — jak teraz wiem — pod dyktandem Louby.

Napisałem do Browna, że Kate wyszła zamąż za Berry'ego, modląc się w duchu, by biedny Jimmy nie przypomniał go sobie. W odpowiedzi swej filozofował...

Co się stało, wiem już teraz. Louba wywiózł Kate, częściowo by zaspokoić swą namiętność ku niej, a częściowo, by zemścić się na człowieku, z którym jak sądził Kate jest zaręczona. Z nimi udał się też Charlie Berry. On był tą zasłoną, tem wytłumaczeniem, chroniącem Loubę, a gdy wkońcu Louba znudził się tą zabawką, oddał ją Karolowi Berry, nalegając jednak na ceremonję ślubną. Pobrali się przed konsulem angielskim w Bukareszcie, a Louba obiecał im pensję miesięczną. Nie będę mówił o tych okropnych latach, gdy Kate została naprzód tancerką, a potem, gdy jej urok i zgrabność zwiędła, kelnerką w podrzędnej kawiarni w Bukareszcie! Dla mnie jest to zdumiewające, że przeżyła te straszne czasy. Jedyne szczęśliwy blask w jej męce, to była nienawiść Berry'ego. Nie zapomniał o przeszłych upokorzeniach. Nienawiść jego oszczędziła mej dziewczynce męczarni, jakie nastąpiłyby w przeciwnym razie. Gdyby nie strach przed Loubą, zmusiłby ją do zupełnego upadku! Zapłaty Louby przychodziły regularnie aż do końca zeszłego roku. Wtedy zaczęły spóźniać się. Były tygodnie, gdy nic nie dostawali. Czasem przybywały pieniądze, by nadrobić braki, ale koniec końcem napisał im Louba, że nie ma zamiaru płacić im dalej i radził Karolowi Berry, by eksploatował żonę zyskowniej, niż czynił dotąd. Berry był przerażony. Był związany z kobietą, którą nienawidził, i jak dotąd nie udało mu się nakłonić jej, by zgodziła się na to, co proponował Louba.

Spakował swe rzeczy i przybył z Kate do Londynu. Wówczas nie wiedział jeszcze, że Kate regularnie pisała do Louby, by uwolnił ją przed tem okropnem życiem i że

w ostatnim liście podała adres do Deptford, dokąd Berry miał się z nią udać. Zaprzyjaźnił się tam z właścicielem jednego domu podczas jednej ze swych korzystnych wizyt w Anglii.

Kate zapamiętała ten adres i domyślając się, że jadą wprost na Littlekirsh-Street, napisała ten adres na górze listu. Ale nie pojechali do Deptford, lecz do hotelu „*Temperance*“, a następnie dopiero przenieśli się pod adres, jaki Kate podała.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Ciąg dalszy historii zamordowania Louby.

Celem Berry'ego było uzyskać zapewnienie od Louby, że będzie nadal wypłacał pensję, albo uzyskać od niego większą sumę, któraby zrównoważyła należitości. Louba widział się z nim i powiedział mu wyraźnie, by się nie spodziewał dalszych pieniędzy i że on sam znajduje się w takim położeniu, że zapewne wnet zmuszony będzie uciekać z kraju.

Z początku Berry nie wierzył mu, ale spotkawszy się z Millerem omówili tę sprawę z rezultatem, jaki znacie.

Hurley Brown dawno już powrócił do Anglii i zajął stanowisko w Scotland Yard. Powiedziałem mu tyle o tej sprawie, ile wiedziałem, ale on odrzekł mi tylko, że prawdopodobnie Emil Louba wie coś o tem zniknięciu, oświadczenie, które zresztą zaraz odrzuciłem.

Jak powiedziałem, zawsze lubiłem Loubę mimo jego wad i szorstkości. Rzadko mówiliśmy o Kate z Brownem i zdawaliśmy się oddalać od siebie aż stało się tak, że staliśmy się dla siebie „Brown“ i „Warden“, chociaż nie straciliśmy nigdy swych uczuć do siebie.

Jakże niezbadany jest los! Jak małe są czynniki, które decydują o naszej całej przyszłości i także o przyszłości tych, którzy są nam najbliżsi i najdrożsi! Jakaś przypadkowa uwaga Browna w klubie przypomniała Loubie, że ma jakąś żołądkową dolegliwość i chciałby, bym go zbadał. Ustaliliśmy datę. Byłem owego dnia na mieście i nie miałem nic do roboty. Był to zły dzień — mgła — byłem zadowolony, że coś mnie zajmie. Umówiłem się na kolację z Clarkiem, ale on nie przyszedł. Jestem przewidujący. Powiedzieć, że nie miałem Kate na myśli, byłoby nieprawdą. Nigdy nie przestałem myśleć o niej. Ona była moją pierwszą i ostatnią myślą w dniu. Ale poza tem długim milczeniem było jej dawne zeznanie, że jest szczęśliwą... Ból był już teraz odrętwieniem — rana blizną...

Przypominam sobie, że myślałem o niej jadąc do Louby — i myślałem też o dziwnym człowieku, Loubie, którego Brown tak nienawidził. Że nienawiść ta była odpłacana, wiedziałem. Mimo bogactwa i wpływowości Louby, Brownowi udało się wyrzucić go z Malty. To było prawdą, że spalono mu dom wkrótce potem, gdy Jimmy zagroził mu, że za wszelką cenę wyrzuci go stamtąd i podobno uczynili to żołnierze kompanji oficera, który przez długi popelić musiał samobójstwo.

Miller przyjął mnie i zauważyłem odrazu, że coś jest w nieporządku. Później zeznał, że uplanował kradzież i zdawało mu się, że Charlie wykonuje ją w danej chwili. Powiedział, że się ma widzieć z narzeczoną i że powróci za kwadrans, więc ja usiadłem i wyjąłem książkę z kieszeni.

Wrzawa z pokoju dobiegała coraz wyraźniej, więc nie mogłem czytać. Odłożyłem książkę, nie zamierzając słuchać, jednak nie mogłem nic słyszeć. Nagle usłyszałem zgrzyt klucza, drzwi zostały otwarte — i wściekły głos Louby zawołał:

— Precz i nie pokazuj mi się więcej! Przyjdź tu znów, Karolu Berry, a dam ci tak, że popamiętasz!

Karol Berry? Zerwałem się na nogi.

— Słabo by ci się zrobiło, gdybym poszedł do starego doktora i powiedział mu wszystko, co wiem — rzekł Berry — poznałem jego głos...

— Idź i powiedz mu — powiedz mu, co zrobiłeś! Powiedz mu, że przez dziesięć lat utrzymywałem ciebie i twoją żonę! Teraz precz stąd i powiedz jej, że jeśli dalej pisać mi będzie te swoje jęczące listy, to przyjadę i zabiorę ją od ciebie — i będzie żałować!

Stałem skamieniały. Drżałem na całym ciele. Potem Berry wyszedł i zapanowałem nad sobą. Wszedłem do salonu i podszedłem do Louby.

Spojrzał, gdy wszedłem i zbladł jak ściana.

— Kiedy? Kiedy pan tu przyszedł, doktorze?

— Tylko co — odrzekłem.

— Czy słyszał pan — czy widział pan kogokolwiek?

— Nie — odrzekłem stanowczo. Panowałem znów nad sobą. Tylko ręce me drżały.

— Boże! — westchnął Louba. — Zapomniałem, że pan miał przyjść; zechce mnie pan zbadać?

— Proszę zdjąć koszulę — rzekłem mechanicznie i siadłem przy biurku, podczas gdy on zaczął zdejmować kołnierzyk i krawatę.

Wiedziałem, jakie chciałem zapisać mu lekarstwo. Mechanicznie więc wyjąłem kartkę papieru i zacząłem pisać. Skończyłem część recepty, gdy spostrzegłem, że pióro jest suche. Położyłem je więc starając się panować nad ręką i wyjąłem stetoskop z kieszeni.

Wówczas ujrzałem list... Leżał na podłodze tuż przy mej stopie, więc pochyliłem się i podniosłem go. Louba był odwrócony do mnie plecyma, więc nie mógł widzieć.

Poznałem pismo... W tych kilku liniijkach agonji i jęku wyczytałem całą podłość tego człowieka. Wyczytałem tak jasno, jakby stała przedemną przysięgając w sądzie... Wiedziałem już, jakich podstępów użył, by porwać ją ode mnie. Wiedziałem, jaką rolę naznaczył Karolowi Berry i wiedziałem, przez jakie piekło przechodziła w współżyciu z tem zwierzęciem.

Nie miał ani kołnierzyka, ani krawatki, gdy się odwróciłem. Wziąłem pierwszą rzecz, jaką miałem pod ręką — był to ciężki świecznik. Uderzyłem. Ręka moja działała tak szybko, że uderzyłem go znów, zanim nie padł na podłogę i zadowolony byłem potem, że już pierwsze uderzenie było śmiertelne.

Popatrzyłem na świecznik. Był oblany krwią. Trzymałem go zdala od siebie i postawiłem go w jadalni i zamknąłem drzwi. Potem wróciłem do Louby. Nie żył już. Nie potrzebowałem go badać, by wiedzieć o tem. Poszedłem do jego sypialni, gdyż zdecydowałem się w jednej cząstce sekundy.

Otworłem okno na wyjście w razie ognia i włożyłem jego jedwabny szlafrok, zapinając aż pod szyję. Otwierając okno usunąłem śrubę, leżącą na murku. Podniosłem ją i rzuciłem z drugą na łóżko z tego tylko powodu, by zmylić tego, kto przyjdzie badać zbrodnię. Zanim uczyniłem coś innego, oddarłem adres z ostatniego listu Kate i podpaliłem resztę w kominku. Potem podniosłem ciało i położyłem je na łóżku. Zdawało mi się, że słyszę w korytarzu jakiś szmer. Podeszedłszy słuchałem przy drzwiach. Wówczas to czerwone plamy z szlafroka dostały się na szyby drzwi.

Tylko cztery minuty z tych piętnastu, jakie pozostawił mi Miller, minęły. Zrzuciłem szlafrok i poszedłem do łazienki. Umyłem ręce, otarłem je w czysty ręcznik i włożyłem go z powrotem do szafy. Potem starannie zbadalem

się przed długim lustrem, oglądając też buty, by się upewnić, czy niema śladów krwi i wychodząc, zamknąłem drzwi na klucz. Klucz włożyłem do kieszeni. Do tego klucza przyczepiony był klucz od mieszkania. Wypróbowałem go przy drzwiach frontowych. Przy próbowaniu klucza zobaczyłem tę czerwoną plamę — zmasałem ją więc chusteczką. Potem chusteczkę spaliłem w laboratorium.

Byłem bardzo ostrożny. Zbadałem rękawy i mankiety. Potem usiadłem, by czytać — i dziwne! — czytałem! — Czytałem, gdy wszedł Miller — a potem przeszedłszy przez farsę wołania Louby przez drzwi, poszedłem do klubu.

Dlaczego kłamałem? Dlaczego otworzyłem okno? To jasne. Chciałem zwalić zbrodnię na Berry'ego. Nie dlatego, że bałem się ponosić konsekwencje, ale dlatego, że pragnąłem jego śmierci. Wychodząc z mieszkania, ujrzałem ciebie, Franku, i przeraziłem się, że w jakiś sposób zostaniesz wmieszany w tę zbrodnię. Omal-że nie zatrzymałem cię. Ale to mogło być niebezpieczne — dla nas obu. Udałem się do klubu. Ku mej wielkiej uldze, Clark zawiadomił mnie, że nie będzie mógł zjeść ze mną kolacji. Zjadłem kolację z Brown'em i większość wieczoru spędziłem z nim.

Doznałem jednego wielkiego wstrząsu — wtedy, gdyś wszedł do palarni i szukał w rozkładzie jazdy. Tak bardzo byłem tym zmartwiony, że zdecydowałem się powrócić do mieszkania. Millera nie będzie — będę miał wytłumaczenie na moje wyjście. Mogłem wejść bez trudu i byłem zaniepokojony, czy znajdą jakiś ślad mej obecności. Dziwna rzecz, że nie ujrzałem nieskończonej recepty!

Bez trudności wszedłem do mieszkania. Millera nie było. Wszedłem do pokoju i wówczas zobaczyłem pozostałe listy Kate. Wyobrażam sobie, że Louba sztydził z Berry'ego na podstawie tej korespondencji. Potem zobaczyłem telefon. Przyszło mi na myśl — zadzwonić do

klubu! Głos Louby można było tak łatwo naśladować. Uczyniłem to i także kłamałem co do godziny śmierci Louby. Ja także zadzwoniłem w dzwonek na trzecim piętrze. Resztę historii znacie. Wyszledzono Berry'ego, ale policja przyszła za późno, by go zaarrestować w hotelu. Jedyнным dowodem, jaki znaleźli, była umówiona depesza, jaką przysłał mu Miller.

Ale ja już byłem na tropie w Deptford. Gdy policja skończyła ze mną, udałem się tam i zacząłem śledzić na własną rękę. Mogłem to uczynić, bo noc była szczególnie mglista i nikt by mnie nie mógł poznać.

Gdy następnego dnia dowiedziałem się, że Berry i Kate opuścili hotel, domyśliłem się, dokąd się udają i odtąd nocami całymi śledziłem ten dom. Wiedziałem, że jest tam Berry — i Kate. Wróciwszy do miasta w poniedziałek rano, poszedłem do mej pracowni, by się przekonać, że Brown czeka na mnie.

— Gdzie był pan, doktorze? — zapytał spokojnie.

— Pojechałem do pacjenta — odrzekłem w swój zawodowy sposób, a na to bez żadnego wstępu on rzekł mi:

— Pan zabiłeś Emila Loubę!

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zakończenie.

To prawie że złamało mnie.

— Dlaczego pan tak sądzi? — zapytałem.

— Nikt inny nie mógł go zabić. W mieszkaniu był sam tylko Miller. Nikt inny nie miał powodu do zabicia go. Loubą porwał Kate!

— Skąd pan wie? — zapytałem.

— Przyszło mi to jak błysk! Pan musiałeś wykryć wszystko i zabił go pan. Gdzie ona?

Usiadłszy przy biurku zapaliłem fajkę. Byłem na przełomie życia.

— Nie mogę powiedzieć. Ona jest w Londynie, z Berry'm.

— Berry, to nazwisko tego człowieka, który był ongiś pańskim asystentem. To on?

Skinąłem.

— Oczywiście ona nie z nim uciekła — ona odjechała z Loubą. Berry dał jej swe nazwisko za zasłonę!

Długi czas paliłem w milczeniu — potem opowiedziałem mu wszystko...

— O, czemu to nie ja — szepnął. — Szkoda, że nie ja!

— To szczęśliwie, że się tak nie stało. Ja jestem już stary i kończę swe życie. Umrę zupełnie spokojnie z tą świadomością, że zabiłem tego łotra.

— Nikt nie umrze — rzekł szorstko. — Musimy znaleźć Kate. A ten jej mąż —

Przeczytałem już listy Kate do Louby, które wzięłem przy drugim pobyciu w mieszkaniu, więc mogłem opowiedzieć mu coś o ich stosunku.

— Musimy ją wydobyć! — rzekł. — Ale co zrobimy z jej mężem? Gdy go zaaresztują, cała rzecz wyjdzie na jaw.

— Niema powodu, dlaczego miałby on być zaaresztowany — rzekłem i nie zdaje mi się, bym w całym swym życiu czuł się kiedy tak wesoły, jak wtedy. — Przecież ja go zabiję.

Brown wpatrzył się we mnie.

— Oszalał pan!

— Zabiję go — powtórzyłem — za to, co uczynił Kate i panu nie wolno stanąć mi w drodze. Chcę tylko jednej rzeczy: jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym ją zaprowadzić i stworzyć jej jakąś przyszłość.

Odetchnął głęboko.

— Niech się pan nie obawia o przyszłość. Ja spensjonuję się.

— Lepiej — rzekłem — niech pan przygotuje paszporty dla siebie i dla Kate. Statek do Południowej Ameryki odchodzi z Cherbourga pojutrze. Potem przyjadę do was...

Umówiliśmy wszystko. Nawet wtedy on nie wierzył w to, bym chciał zabić tego człowieka, gdyż przy pożegnaniu rzekł mi:

— Niema potrzeby, by pan ryzykował... Zabierzemy Kate i zostawimy go.

— By rozповідаł? By powiedział, co wie o pięknej bratanicy doktora Wardena? By dał swe tłumaczenie na to morderstwo? By powiedział, że wie, iż Hurley Brown — nie, niech pan wykona swą część, a ja swoją...

— — — — —

Można było powiedzieć owego wieczora, że ciemność zapadła nad Londynem... Pod wieczór ulokowałem się przed domem przy Little Kirk Street. Miałem automatyczny rewolwer z tłumikiem Maxima, a planem moim było pójść za Berry'm, gdy wyjdzie z domu, zastrzelić go w mgłę i powrócić, by zabrać Kate. Ale on już poczynił plany. On zdecydował się zabić ją i zmusił ją do napisania zeznania, o czym ja nie wiedziałem. Oryginał, z którego przepisywała, znaleziono przy nim.

Wyszli. — — — — — za nimi. Miałem gumowe podeszwy, mimo tego Kate słyszała, że ktoś za nimi idzie.

Raz człowiek ten wrócił, by odszukać mnie, ale ja przyłuszczyłem się do muru i on nie ujrzał mnie.

Bardzo dobrze domyślałem się — słyszałem ich głosy — jaki był plan Karola Berry. Zbliżyłem się więc do nich i stałem, milczący widząc wszystkiego, co się działo...

Berry przyskoczył do niej i chciał ją zrzucić do wody. W tej chwili strzeliłem dwa razy. Zdaje mi się, że zabił'go pierwszy strzał. Kate podeszła do mnie i poznała mój głos.

Już nie wiele pozostaje do napisania. Brown czekał na umówionem miejscu. Pożegnałem ich. Sam wróciłem do normalnego życia przy Devonshire Street, czekając, aż ujrzę cię na wolności. Potem opuściłem Anglję, by nigdy nie powrócić.

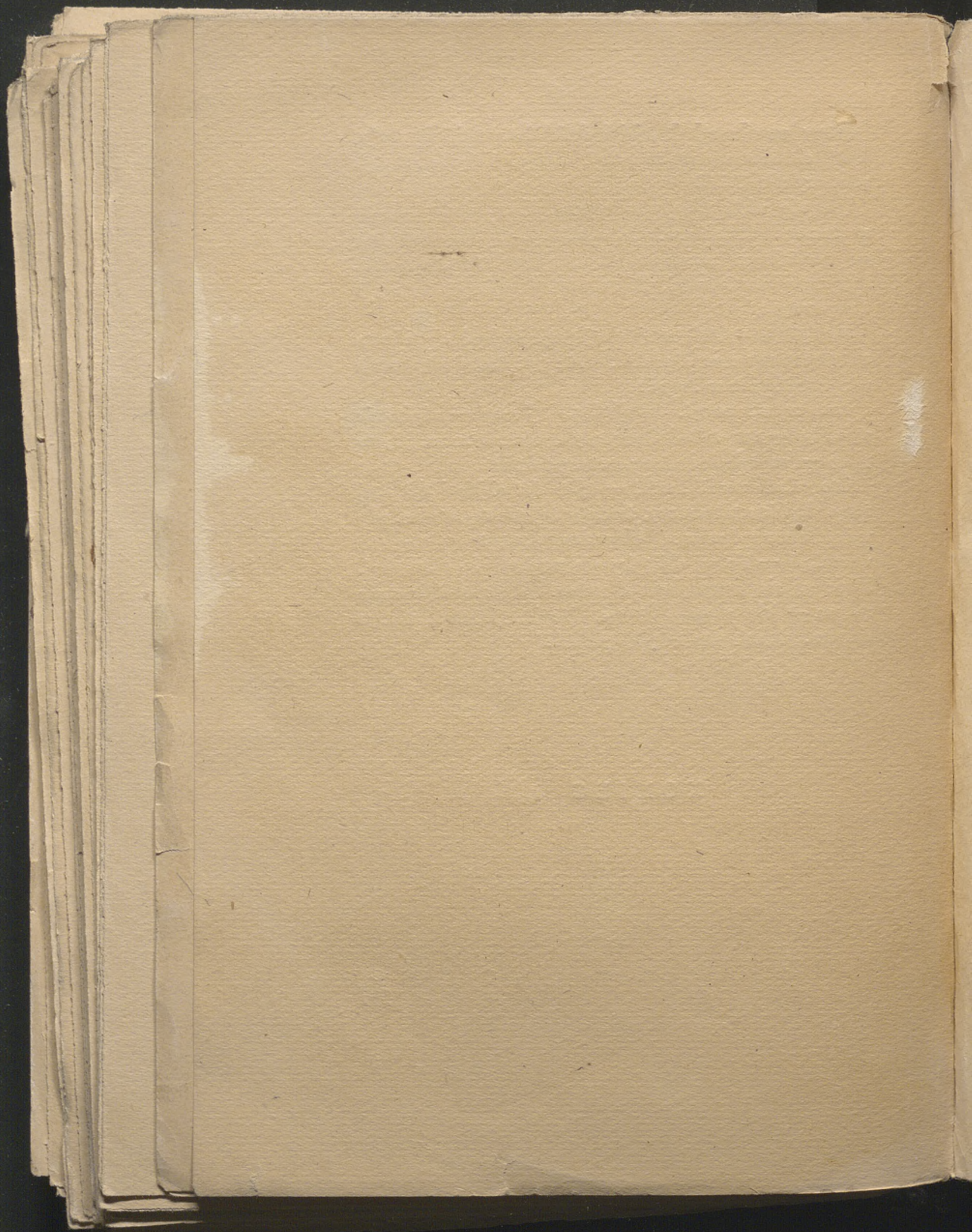
Kiedys może prochy moje złożą przy prochach ojca i brata na cmentarzyku w Buchfast. Ale przedtem noga moja nie postanie już w Anglji!

Kate wyszła zamąż. Szczęśliwa! Jimmy — nigdy nie sądziłbyś — ten człowiek siedzący naprzeciw mnie, gdy to piszę — on był kiedys komisarzem policji!

Oto cała historja, Frank — tylko dla ciebie i dla twej żony. Byliście tak dobrzy, żeście pożegnali się ze mną, gdy wyjeżdżałem na urlop. Obiecałem wam, że powrócę na wasz ślub — ale tej obietnicy nie zamierzałem dotrzymać. Zdaje mi się, zrozumiecie, dlaczego. Wspominajcie mnie zawsze — jako waszego lekarza. To jest próżność starego doktora. Niech was Bóg błogosławi!"

KONIEC





1349

30, 43

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018023105

b 52978783

2887210